W NUMERZE: ■ Sensacyjne odkrycie: – czyli historia rewelacyjnego wynalazku inż. Frontczaka ■ „Sezonowiec i jego ludzie" — relacja o rekinie podziemia gospodarczego ■ Początek cyklu: „małe zakłady" ■ Bilans wielkiej gry o tegoroczne plony ■ Zadania nauki ■ Rozmowa o kulturze studenckiej ■ Jak nas widzą inni? — czyli polemika z reporterem „Argumentów" ■ Fotoreportaż z trasy W-Z ■ Proza T. Chróścielewskiego i T. Papiera

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 39 (1085) ROK XXI 24 WRZEŚNIA 1978 R. CENA 3 ZŁ

— To było zupełnie proste — mówi inż. Stanisław Frontczak demonstrując nowy typ paszy „RT". *Foto: W. Parys*

RYSZARD BINKOWSKI

KRYPTONIM „RT" (III)

SENSACYJNE ODKRYCIE

czytaj strona 7

TADEUSZ GICGIER

KAPITAN

I

Umyśliłem sobie, że będzie to reportaż literacki. Reportaż o kapitanie, którego imię splotło się na trwałe z Wizną, nazwaną drugim polskim Westerplatte. Pojechałem więc do Wizny, a wysiadłszy z autobusu w rynku, stanąłem twarzą w twarz z kamiennymi, marsowymi obliczami żołnierzy na obelisku, postawionym na cześć poległych obrońców tego odcinka frontu w roku 1939. I wydało mi się, że może to być dobry początek reportażu.

Potem powiodłem wzrokiem po okolicznych budynkach, budynkach o szlifie miejskim, tak różniących się od reszty zabudowań Wizny: starych, drewnianych, pokrzywionych chałup, może i swojskich, ale ubogich. Okazały budynek szkoły, trochę mniejszy, lecz również niebrzydki budynek Ośrodka Zdrowia, murowana remiza strażacka, takaż świetlica. I pomyślałem sobie, iż trzeba będzie napisać, że jest to właściwe sąsiedztwo dla obelisku, niejako jego współczesne dopełnienie.

II

Kapliczka przy szosie, obok niej grób kapitana. W trzech narożnikach mogiły — trzy wyrośnięte drzewa, teraz jeszcze nagie. Czerń ich pni jest po zimie ciemniejsza od czerni nagrobka, na którego wyższym prostokącie wygrawerowano krzyż virtuti militari.

U stóp mogiły wyblakły proporzec, na mogile zwiędłe goździki. Ale oto przez żelazne ogrodzenie przechyla się jakiś młody człowiek i rzuca na mogiłę wiosenne wierzbowe bazie.

Potem wspiąłem się na wzgórze, gdzie sterczały ogromne, potrzaskane bryły schronu kapitana. Ten schron przeżył go prawie o sześć lat. Dopiero w roku 1945 Niemcy w odwrocie podminowali górę i wysadzili schron w powietrze.

Na wzgórzu hulał wiatr, więc podniosłem kołnierz płaszcza. Przeczytałem na tablicy pamiątkowej: „Schron obserwacyjny dowódcy odcinka Wizna w 1939 r. W dniach 7 — 10. IX. 1939 — 720 żołnierzy i oficerów pod dowództwem kpt. Władysława Raginisa powstrzymało na tym odcinku główne siły XIX hitlerowskiego korpusu pancernego. W schronie tym walczył i poległ dowódca obrony kpt. Władysław Raginis".

A przeczytawszy, to, powędrowałem wzrokiem w dół, na dachy wioski u stóp wzgórza, i dalej, na rozlaną szeroko Narew, której wody podeszły aż pod pasmo lasu na horyzoncie. I pomyślałem sobie, że we wrześniu płynęła ona wprawdzie krętym, ale wąskim korytem, i tylko to jej wąskie koryto oddzielało niemieckie czołgi od schronu kapitana. Na przestrzeni 9 km, od wsi Maliszewo do wsi Kołodzieje — 300 czołgów, 500 dział i moździerzy, 1000 karabinów maszynowych. I pomyślałem jeszcze, że trzeba będzie napisać, co czuł ten trzydziestojednoletni oficer, patrząc ze swej wieżyczki obserwacyjnej na to żelazne mrowie, które podpełzło pod jego schron wkrótce potem, gdy z porucznikiem złożyli przysięgę, że żywi schronu nie opuszczą. I kiedy porucznik został ranny w głowę, śmierć ułatwiła mu zadanie, a jemu zosta-

Dalszy ciąg na str. 5

ZBIGNIEW S. NOWAK

SEZONOWIEC I JEGO LUDZIE

Niezwykły to człowiek... wart 150 milionów! Na tyle bowiem właśnie ocenia się jego aktualny stan posiadania. Oczywiście nieoficjalnie. Oficjalnie prowadzi skromny prywatny interes, o niewielkich dochodach. Ot, na pozór przeciętny rzemiecha, jak wielu. Na pozór! A tak naprawdę to jeden z największych „rekinów" prywatnej inicjatywy. Wart 150 milionów!

W poznańskich kręgach ludzi interesu nazywają go Sezonowiec. Nie bez kozery, bowiem on właśnie, jak nikt inny, potrafi wykorzystać do maksimum wszystkie, najsubtelniejsze nawet drgnięcia rynku, czyli tzw. koniunkturę, albo inaczej — sezon. W tym względzie jest niezrównany; ma — jak powiadają — „cholernego nosa i cholerne szczęście".

Chwyta każdy interes. Chwyta w porę. Produkuje towar i wchodzi z nim na rynek zawsze, kiedy hossa nań dopiero się zaczyna, gdy popyt skacze w górę. Zanim inni zdążą się zorientować, „co jest grane", on już zbija fortunę, działając w pojedynkę, bez konkurencji, bo inni nie zdążyli. A kiedy inni wchodzą do interesu, kiedy w branży zaczyna się robić coraz tłoczniej, a zyski coraz mniejsze, on wtedy akurat już się wycofuje, z ogromnym łupem. I już wchodzi na rynek z innym towarem, na który właśnie zaczyna się „wielki boom".

Taki jest Sezonowiec. Wielki gracz! Przy tym wszystkim skromny, aż dziw. Nie obnosi się ze swoimi sukcesami, nie pyszni bogactwem, nie „kłuje ludzi w oczy" blaskiem ogromnej fortuny. Nie ma, wbrew oczekiwaniom, luksusowej willi z basenem, ni też iluś tam supersamochodów. Jemu wystarcza zwykły „Fiat" i skromny domek na przedmieściu Poznania. Mieszkania także urządzone bez przepychu. Nawet meble z Wyszkowa, choć mogłyby być luksusowe „garnitury" z pobliskiego Swarzędza.

PIERWSZA ZŁOTÓWKA

Zaczynał dawno temu, kiedy ukończył technikum. Nie dostał się na studia i nawet nie wzięli go do wojska, bo nie miał zdrowia. Miał wtedy dużo wolnego czasu, do byle pracy na razie mu się nie spieszyło. Nic nie robił. Czekał na swoją wielką życiową szansę. Czekał, aż przyszła!

Była akurat jesień. Wszyscy robili zapasy na zimę, różne przetwory w „weckach". Zapobiegliwy, gospodarny ludek poznański w mig wykupił całe sklepowe zapasy owych słojów, jak zawsze. Aliści dystrybucja nie w pełni dopisała i brakło sprężyn do zamykania, a bez tego wiadomo, nic się nie da. On wtedy skombinował trochę stalowego drutu, zrobił parę takich sprężyn „do domu", na własne potrzeby. To był właśnie moment przełomowy w jego życiu, pierwszy krok do olbrzymiej fortuny. W czym rzecz?

Zagrała wyobraźnia, błysnął ten nieprawdopodobny zmysł interesu, ocknął się nagle uśpiony głęboko temperament wielkiego gracza! Ot, przyszło mu naraz do głowy, że na tych sprężynach można nielicho zarobić. Był więc pomysł, to najważniejsze. Dalej sprawa była prosta. Zapożyczył się u znajomych, choć cholernie ryzykował w razie niewypału. Ale poszedł ostro. Za pożyczone pieniądze w okolicznych sklepach wykupił cały zapas stalowego drutu. U znajomego ślusarza-mechanika zamówił „ekstra" kilka dziwnych maszynek. Do spółki wziął kilku kolegów. Cichaczem rozkręcił ogromną produkcję. Ryzykował dużo, bo interes ruszył przecież nielegalnie, bez zezwolenia. Ale business is business!

Dziennie robili po kilka tysięcy sprężyn. On organizował rynek. Upychał towar hurtem, handlarkom na bazarach i gdzie się tylko dało, w kilku województwach. Zysk wynosił dokładnie złotówkę na sztuce. Była to owa symboliczna złotówka w jego karierze! Obroty były duże. W ciągu niespełna dwóch miesięcy, po odliczeniu kosztów własnych, zarobił na tych sprężynach ponad 150 tysięcy złotych. To były dla niego ogromne pieniądze!

Dalszy ciąg na str. 9

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

Filmowy Gdańsk 78

Już po raz piąty w Gdańsku całoroczna produkcja filmowa stanęła do konkursu-przeglądu. Jak zwykle FPFF dzieli się na część filmową i dyskusyjną. Ostatnio temperatura obydwu wzrasta. Na peryferiach festiwalu — coroczny przegląd filmów krajów nadbałtyckich: reguła jest przysyłanie przez Szwecję, Danię i Norwegię utworów, których nie da się już z pewnością upchnąć na żadnym innym festiwalu. Naprawdę nasze kino 1978 roku jest o wiele bardziej godne uwagi. Miał rację Krzysztof Zanussi mówiąc przed rokiem, że kino jest obecnie terenem, na którym najsilniej ujawniają się tendencje i przemiany w kulturze artystycznej.

Filmy: przede wszystkim nagrodzone. Grand Prix: „Pasja" Stanisława Różewicza i „Bez znieczulenia" Andrzeja Wajdy. Pierwszy od dawna na ekranach, omawiany i oceniany (dobrze) przez krytykę. Drugi był festiwalową premierą. „Bez znieczulenia" to film o treściach publicystycznych wpisanych w historię małżeńskiego trójkąta; może nawet trochę „film z kluczem". Jak słusznie zauważył jeden z dyskutantów Forum wymaga traktowania przede wszystkim jako wypowiedź, jako następny etap w poszerzaniu terenów współczesności eksploatowanych przez nasze kino. Walory artystyczne filmu — za które został nagrodzony — są, moim zdaniem, akurat w tym przypadku mniej istotne. Nagrody główne: „Akcja pod Arsenałem" Jana Łomnickiego i „Bilet powrotny" Ewy i Czesława Petelskich. Film Petelskich reprezentuje niestety kino jawnie ostentacyjnie dydaktyczne. Jest to tzw. „dydaktyzm drapieżny" — rzecz dotyczy krytyki konsumpcyjnego stylu życia, destruktywnej roli mitu „forsy za wszelką cenę", ale szlachetne intencje stanowią główną wartość utworu. Ciekawe, że scenarzysta jest współtwórcą „szkoły polskiej" — Jerzy Stefan Stawiński.

„Akcja pod Arsenałem" była już wielokrotnie omawiana, stawała się przedmiotem dość ostrych polemik prasowych. Pomijając inne względy, trzeba przyznać, że w temacie wojny i okupacji jest to głębokie cofnięcie się w stosunku do osiągnięć „szkoły polskiej" poziomu refleksji sprzed lat dwudziestu. Nagrodę specjalną otrzymał film „Gdziekolwiek jesteś panie prezydencie" Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego obecnie już na ekranach kin. Najbardziej może przypominający w klimacie „Westerplatte" Różewicza. Tak zwana „chłodna", stylizowana na dokument relacja (zresztą autentyczne materiały z okresu obrony Warszawy w 1939 roku pojawiają się w filmie) co nie oznacza, że rezygnuje z oddziaływania emocjonalnego. Wręcz przeciwnie.

Nagroda dziennikarzy akredytowanych przy festiwalu „Spirala" Krzysztofa Zanussiego (laureata Grand Prix w roku 1977). Jak widać Zanussi zamienił się rolami z Wajdą, którego film w ubiegłym roku nagrodzili właśnie dziennikarze. Nagroda ta tradycyjnie już przyznawana jest filmowi, który najbardziej zasługiwał na dostrzeżenie przez jury — a został pominięty w oficjalnym werdyktcie. W tym roku poza werdyktem znalazło się parę filmów oprócz „Spirali": na pewno „Wodzirej" Falka, „Płomienie" Czekały, chyba także „Pokój z widokiem na morze" Zaorskiego. „Spirala" była jednak filmem już dla którego warto było jechać na festiwal. Ktoś z recenzentów nazwał film Zanussiego „histerycznym". Pozornie tak — tematyka śmierci jako zjawiska rozpatrywanego w kategoriach egzystencjalnych działa emocjonalnie nawet w tak precyzyjnym filmie jak „Spirala". Tylko że to problem nie zezwala na obojętność; film jest wyjątkowo spokojny.

Pozostałe filmy: temat współczesny stał się faktem powszechnym. Wystarczy wymienić „Próbę ognia i wody" Włodzimierza Olszewskiego, „Zapowiedź ciszy" Lecha Majewskiego i Krzysztofa Sowińskiego czy „Pejzaż horyzontalny" Janusza Kidawy. Wybrałem te tytuły nieprzypadkowo — wszyscy wymienieni autorzy to debiutanci (Majewski i Sowiński — niedawni absolwenci PWSFTviT debiutują w zespole „Profil" dwiema nowelami zrealizowanymi na terenie Bełchatowa). Oczywiście Kidawa jest debiutantem jedynie w filmie fabularnym, w którym wykorzystuje swoje niedobre, niestety pomysły z dokumentu (znów pojawia się „człowiek z cyfrą"). Podobnie postępuje Janusz Rzeszewski do spółki z Mieczysławem Jahodą przenosząc telewizyjny program „Z wizytą u was" na duży ekran w formie musicballu „Hallo, Szpicbródka", umiejscowionego we wczesnych latach trzydziestych w teatralno-kabaretowej Warszawce. Po projekcji może się jednak wydawać, że z okresem międzywojennym najwięcej ma wspólnego świadomość zarejestrowana w filmie. Jakkolwiek więc pewne, że Piotr Fronczewski w roli słynnego kasiarza zrobi „Szpicbródce" kasę — to jednak od czasów „Przygody z piosenką" Bareji w filmowej rozrywce muzycznej nie nastąpiły żadne zmiany. Zmiany takie daje się natomiast odczytać z komedii — tym razem już nie muzycznej. Po projekcji filmu Stanisława Bareji „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz", ktoś w trakcie dyskusji rzucił zdanie stwierdzające, że Bareja dorósł do współczesności. Zdanie to przewyższałoby swoją odwagą wszystko, co kiedykolwiek powiedziano o polskim filmie, gdyby było zgodne z rzeczywistością. Tak jednak nie jest. W filmie Bareji cały dramatyzm rzeczywistości bez chwili odpoczynku narkotyzowany jest tym samym całkowicie mechanicznym śmiechem. Tandetność programowa filmu i świata w filmie jest coraz bardziej opanowywana, naturalna, swojska.

Poza tym: udany debiut Jerzego Trojana i Jerzego Kołodziejczyka — twórców dwu nowel składających się na „Wielki podryw", ponura kryminalna historia wśród nocnej ciszy — etatowego reżysera komedii Tadeusza Chmielewskiego. Z filmów łódzkiego zespołu „Profil" zwracają uwagę, poza już wymienionymi, przede wszystkim „Płomienie" Ryszarda Czekały — twórcy pamiętnej „Zofii". Jest to, mówiąc najogólniej, precyzyjna dramaturgicznie analiza przemian obyczajowości, mentalności wsi, rozszerzająca swoje zainteresowania na przeobrażenia w odchodzącej, patriarchalnej kulturze wiejskiej. Ponadto „Antyk" Krzysztofa Wojciechowskiego — film ten otrzymał nagrodę zakładów przemysłowych Wybrzeża patronujących festiwalowi.

Z tematyki „młodzieżowej" odnotować można dwa filmy: „Akwarele" Ryszarda Rydzewskiego i „Śmierć świerszcza" Wojciecha Fiwka. Pierwszy z nich słusznie może być porównywany z „Con amore" Batorego — wiadomo, że ekranowy dydaktyzm jest sprawą jeszcze bardziej trudną od pozaekranowego. Film Fiwka jest w tym wypadku próbą bardziej udaną — może przede wszystkim dlatego, że dotyczy nie tyle wychowywanych, ile wychowujących.

Forum SFP: w piątek, 8 września, coroczne, przyfestiwalowe spotkanie środowiska filmowego. Według programu — od 10.30 do 14. Trwało — prawie do piątej po południu. W tym czasie w kinowej sali kilkanaście osób oglądało polsko-jugosłowiański „Zapach ziemi". Z jurorów pojawił się podobno tylko Bryll. W sali konferencyjnej natomiast prawie komplet: zabrakło prezesów — Kawalerowicza i Zanussiego. Dyrektor NZK we wprowadzającym referacie przedstawia planowane zmiany — perspektywa optymistyczna (w porównaniu z rokiem ubiegłym). Poszerzenie samodzielności Zespołów Filmowych, zwrócenie większej niż dotąd uwagi na problemy debiutów, na trudną sytuację absolwentów PWSFTviT, poprawa działalności komisji kolaudacyjnych. Poza tym sprawa szczególnie istotna: budowa nowej wytwórni filmowej w Warszawie. Jak bardzo inna jest ta część Forum, niż w roku 1977. Referat programowy prof. Henryka Jankowskiego stanowi nie wyreżyserowany wstęp do dyskusji. Problemy etyczne, będące głównym tematem wystąpienia, znajdują rozwinięcie w części zasadniczej obrad. Zintegrowane środowisko filmowców na poprzednim Forum — zintegrowane w obliczu poddanych pod dyskusję decyzji i propozycji władz kultury — w tym roku przejawia daleko idące rozbieżności. Zazwyczaj środowiskowe spory uznaje się za rzecz drugorzędną wobec dokonań artystycznych i ich społecznej roli. Czy dotyczy to także tych — ujawnionych w Gdańsku? Na ocenę jest jeszcze za wcześnie. Początkowo sprawa ogranicza się do roli krytyki filmowej w kształtowaniu opinii na temat poszczególnych tytułów, a także grup twórców. Nie są to jedynie echa polemik i ocen zamieszczanych na łamach branżowych tygodników, a przede wszystkim „Ekranu". Chodzi o coś więcej: o dziennikarską uczciwość, etykę. Te głosy stanowią większość. Artykuł Wojciecha Roszewskiego „Nietuteisi tubylcy" o grupie młodych twórców, w znacznej części członków Zespołu „X", który ukazał się w trakcie festiwalu, stanowi najnowszy przykład oceniony negatywnie przez dyskutantów Forum. Argument statystyczny: liczba widzów kinowych — mógłby spełniać wobec niego swą polemiczną rolę, ale jest przecież zbyteczny. Jednakże statystyka pojawia się kilkakrotnie w wypowiedziach dyskutantów. Liczba widzów pomnożona przez złotówki i porównana z kosztami realizacji wykazuje bardzo różny stopień deficytowości Zespołów. Różnice artystyczne, często przeciwstawne poglądy reprezentowane przez twórców — pozostają poza salą obrad. Ale to tylko pozory: wiadomo, że chodzi o sprawy bardziej podstawowe — o tolerancję wobec odmiennych postaw twórczych. Powstaje sytuacja, w której po jednej stronie znajduje się Zespół „Profil", po drugiej — „cała reszta". Biorąc jednak pod uwagę różnice w twórczości filmowej np. Królikiewicza i Poreby — trzeba ostatecznie uznać całą sprawę za rezultat różnic światopoglądowych, lub... za zbyt oczywiste uproszczenie. Wśród głosów krytycznych, często ostrych wystąpień — pojawiają się propozycje nie mechanicznego kompromisu, ale integracji i podjęcia dyskusji przede wszystkim na ekranie. Są to głosy Sokorskiego Gogolewskiego i Petelskiego. Atmosfera ostrego sporu zapewne nie sprzyja myśleniu. Jednocześnie — co paradoksalne — pojawiła się w okresie dla polskiego kina dobrym. Jest więc może konieczność na etapie coraz bardziej odważnego traktowania w kinie tematu współczesnego? Otwarcie filmu na współczesność — którego genezy można poszukiwać właśnie na Forum gdańskim roku 75, nieuchronnie prowadziło do polaryzacji stanowisk, pozostających w okresie adaptacji literatury i historii na ekranie w uśpieniu.

Forum nie kończy się wcale powszechną zgodą — nikt zresztą nie mógł się tego spodziewać. Nie ma jednak potrzeby demonizowania sprawy. Jeżeli istnieje jakaś racja obiektywna i to na pewno bez przydziału do wybranego Zespołu (wierzę że tak bo widziałem filmy Czekały, Falka, Wajdy i Zanussiego) to jest szansa, że da się ją odczytać z ekranów kin w przyszłym roku jeszcze wyraźniej niż to było teraz.

W STRONĘ FAKTU

„Gdziekolwiek jesteś, panie prezydencie" nowy film Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego należy do tych dzieł ekranowych, w których sam temat zmusza do szacunku. Temat ten należy do najbardziej dramatycznych epizodów wrześniowej epopei, a jego bohater do najbardziej znanych postaci mitologii narodowej tamtego okresu. Potoczne skojarzenia związane ze Stefanem Starzyńskim ograniczają się do informacji lakonicznych i pobieżnych, podręcznikowych przede wszystkim — przynajmniej dla pokolenia, które wojnę zna już tylko z książek. Starzyński nie doczekał się sugestywnych przekazów literackich i popularno-naukowych, choćby takich jak Hubal. Jest to postać, która pełnia heroizmu żyje w pamięci swojego pokolenia i jest to pamięć lokalna, ograniczona do Warszawy, której mieszkańcy doskonale pamiętają z wrześniowych dni 1939 r. ochrypły, pełen dramatyzmu głos prezydenta, wzywający do oporu. Myślę, że film Trzosa-Rastawieckiego niewiele ten stan powszechnej świadomości zmieni. Nie jest to zarzut pod adresem reżysera, dotykamy tutaj bowiem samej postaci, jej charakteru i stopnia mitycznej nośności.

Przypomnijmy fakty. Stefan Starzyński był politykiem sanacyjnym sprawującym w przedwojennej Polsce szereg prominentnych stanowisk. Wiceminister skarbu, wiceprezes Banku Gospodarstwa Krajowego, poseł na Sejm, zostaje w 1934 r. komisarycznym prezydentem Warszawy. Podczas wojny obronnej Polski we wrześniu 1939 roku w opuszczonej przez rząd prezydenta Mościckiego Warszawie podejmuje, przekraczając własne kompetencje organizację cywilnej obrony stolicy i staje się faktycznym przywódcą walczącej ludności. Jest to zatem życiorys i kariera dygnitarza politycznego ze szczytów państwowej hierarchii dość typowa w swoim przebiegu i gdyby nie jej heroiczny finał dość odległa od personalnych stereotypów narodowej hagiografii pobudzającej zbiorową wyobraźnię. Jeśli zajmują w niej miejsce mężowie stanu, to ich osobowość i działalność posiadają znacznie szerszy wymiar historyczny, przekraczający zakres pełnionych funkcji. Ich polityczny los układa się we wzory znacznie bardziej efektowne, aniżeli biografia Starzyńskiego. Heroiczna kulminacja życia Starzyńskiego wnosi jego podobiznę do narodowego panteonu, ale trudno zaprzeczyć wrażeniu, że wśród jego mieszkańców odlanych z jednolitego kruszcu zajmuje on pozycję outsidera. Myślę, że dzieje się tak dlatego, iż nasze najbardziej sugestywne pojęcia o bohaterstwie narodowym związane są z czynem zbrojnym, straceńczą odwagą walką z bronią w ręku „do ostatniej kropli krwi". Bohaterstwo ma dla nas nieodłączny aspekt militarny, tymczasem gest Starzyńskiego miał charakter wyłącznie cywilny, robił wrażenie prawem kontrastu, w sytuacji, kiedy inni politycy uciekli on został „na posterunku" i próbował konkretnymi działaniami organizacyjnymi opanować chaos, drogą radiową mobilizować ducha walki. Był człowiekiem ubranym w garnitur a nie w mundur i w ręku miał telefon a nie karabin. Stąd też z pewnością płynie doznanie jak gdyby nieco mniejszej siły emocjonalnej, jaką promieniuje ta postać.

Film Trzosa-Rastawieckiego nie stara się zburzyć tego mniemania, przeciwnie, sposobem realizacji tego tematu je pogłębia. Z jego utworu wyłania się bohater daleki od wyrazistej jednoznaczności. Szkicowy prolog filmu ograniczony do dwóch scen — mianowania na stanowisko prezydenta i kryzysu prezydenta w sprawowaniu tej funkcji tuż przed wybuchem wojny — sugeruje autokratyczny i konserwatywny charakter jego rządów które nie cieszyły się popularnością wśród ludu Warszawy. Więcej, poznajemy człowieka skrytego w sobie i oschłego, odpychającego i antypatycznego biurokratę. Jego decyzja pozostania w Warszawie i pokierowania jej obroną nie płynie bynajmniej z nagłego porywu. Nie znamy jej do końca, domyślamy się raczej, że nie bez znaczenia są tu motywy osobiste, desperacja po śmierci żony, ktoś z otoczenia prezydenta cynicznie sugeruje jego nadmierna ambicję. On sam w przemówieniu radiowym wskazuje na godność, która wyznacza konsekwencje jego postępowania. Nie jest ono zresztą pozbawione momentów drastycznych, by przypomnieć decyzję nie wpuszczenia do Warszawy uciekinierów. Tadeusz Łomnicki, który stworzył w tym filmie kreację potwierdzającą swoje dotychczasowe osiągnięcia również gra niezwykle dyskretnie, nie nasycając tej roli nawet cieniem spodziewanego patosu. Podkreśla w odcieżałej sylwetce prezydenta właśnie jego zwyczajność, nawet pewną pospolitość daleką od monumentalnych wyobrażeń.

Ten styl gry aktora odpowiada całości stylistycznej filmu. Andrzej Trzos-Rastawiecki, dokumentalista z pochodzenia stworzył kino historycznego faktu. Jego ambicją była rekonstrukcja nie tyle dokładnej kroniki kierowanej przez Starzyńskiego obrony Warszawy ile — przede wszystkim — klimatu narastającego zagrożenia, pogłębiającego się chaosu, dławiącej utraty nadziei. Stąd mozaikowy charakter narracji, w której postać prezydenta stanowi tylko jeden z elementów szalejącego żywiołu, wtopiona w tło katastrofalnej zagłady. Zdjęcia dokumentalne obficie wykorzystane stanowiły kompozycyjny i stylistyczny klucz do scen inscenizowanych i określiły atmosferę obrazu surową, poważną i chłodną. Powstał film rzetelny, wierny historii i moralnie wzniosły.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

O Prusie, ale jeszcze nie o „Lalce"

Przed paru tygodniami nadany został w programie telewizyjnym film łódzkiego reżysera Zygmunta Skoniecznego, zrealizowany dla TV w Wytwórni Filmów Oświatowych „Serce serc". Z pewnym opóźnieniem wracam do omówienia tego obrazu.

„Serce serc" Skoniecznego zapoczątkować ma serię filmów biograficznych o wybitnych pisarzach polskich. Dotyczy on sylwetki Bolesława Prusa. Gotowy już jest i czeka na emisję film o życiu i twórczości Elizy Orzeszkowej, planuje się filmowe portrety Słowackiego, Zapolskiej i in. W ciągu pewnego okresu czasu w WFO powstać ma więc ożywiony poczet luminarzy naszego piśmiennictwa. Jest to zamierzenie tyleż ambitne co trudne. Warto więc na przykładzie filmu „pilotującego" serię zastanowić się nad sama jej formułą.

Nie trzeba dodawać, jak ważną rolę przy tego rodzaju twórczości odgrywa scenariusz. Znacznie większa niż w przypadku filmu fabularnego nie skrępowanego rygorami wierności faktom przeszłym, ani serwitutami oświatowymi. Z drugiej strony obarczenie tym balastem nie powinno pozbawiać odbiorcy filmu wrażeń estetycznych. Realizacja taka jest więc rodzajem balansowania na wąskiej kładce przerzuconej nad przepaścią...

Autorstwo scenariusza „Serca serc" dzielił z reżyserem pisarz łódzki Konrad Frejdlich. Dla godzinnego mniej więcej obrazu scenarzyści skupili się na 30-letnim okresie życia pisarza: od początku lat osiemdziesiątych, kiedy Prus wszedł już w stadium pełnej dojrzałości życiowej i pisarskiej, aż po rok 1912, rok jego śmierci i manifestacyjnego pogrzebu w Warszawie. To okres długi, obfitujący w ważne wydarzenia w biografii twórczej Prusa — w tym czasie pisze i wydaje swoje wielkie powieści: „Placówkę", „Lalkę", „Emancypantki" „Faraona", a także chybione artystycznie i ideowo „Dzieci" — wypełniony aktywnością publicystyczną, charytatywną i uczestnictwem w życiu społecznym kraju.

Tak wiele tego, że nie wiadomo aż, w jaki sposób przeprowadzać selekcję, z czego zrezygnować, co zaś uwypuklić i to jakimi środkami ekspresji filmowej. Prócz tego autorzy nie chcieli rezygnować z ukazania prywatnego życia pisarza, spraw rodzinnych, pożycia z żoną Oktawią, bolesnej straty adoptowanego wychowanka, szerokich kontaktów z ludźmi, z których wielu to postaci historyczne, jak Świętochowski, Żeromski, Witkacy, czy redaktor „Kuriera Warszawskiego" Wacław Szymanowski.

Zdecydowanie na plus scenariusza zapisałbym brak tendencji do sztucznego udramatyzowania życia Prusa. Było bowiem to życie pozbawione szczególnych sensacji. Pracowite wędrówki między domem a redakcją czy wydawnictwem, doroczne wakacje spędzane w uroczym Nałęczowie, dwie wszystkiego wyprawy zagraniczne, jedna do Paryża, druga do Niemiec. Nękająca go agorafobia (lęk przestrzeni) uniemożliwiła Aleksandrowi Głowackiemu prowadzenie bardziej ruchliwego trybu życia.

Olbrzymia, decydująca część jego biografii wypełniało pisarstwo, publicystyka, przemyślenia, rozmowy z ludźmi. Zgódźmy się, że nie stanowi to łatwego materiału do przekazu filmowego. Dlatego z uznaniem podkreślić muszę, że film „Serce serc" nie jest nużący i potrafi udźwignąć spory wybór myśli i sądów wielkiego pisarza. Stąd wartość poznawcza utworu Skoniecznego jest niewątpliwa, a to już dostateczny argument, by uznać celowość takiej produkcji.

Nie znaczy to, że nie uzbierała się we mnie niemała garść żali i zarzutów zarówno pod adresem scenariusza, jak i realizacji. Znakomicie obsadzony w roli Prusa Andrzej Żarnecki usiłował nie tylko upodobnić się zewnętrznie do pisarza, ale także nasycić przedstawianą postać cechami ludzkimi, które stanowiłyby przeciwwagę dla miejscami zbyt mentorskich, a nawet rezonerskich tekstów dialogu. Nie zawsze mu się to udawało, nie zawsze mogło mu się to udać ze względu na nikły w tym względzie materiał scenariuszowy.

Może słabość polega na tym, że realizatorzy chcieli powiedzieć zbyt dużo? Nośność ekranu w określonych granicach czasowych ma swoje granice, których przekraczać bez poniesienia strat nie można. Ten nadmiar materiału informującego ulokowany został w filmie kosztem głębszego przeżycia, lepiej wypracowanej środkami filmowymi emocji, wzruszenia, intymności. Ta sfera odczuć jest w filmie Skoniecznego raczej tylko markowana, konwencjonalna, co niewątpliwie osłabia finalną wymowę obrazu.

Nie obyło się i bez błędu dramaturgicznego. Nie powinno się chyba do utrzymanego w czysto realistycznej konwencji filmu wprowadzać pod sam koniec zainscenizowanego fragmentu nie dokończonej przez Prusa powieści „Przemiany", podczas gdy o innych utworach tylko się mówi. Współczesne kino w ogóle odrzuciło już typ narracji ilustrowanej inscenizacją. To zbyt proste, by mogło jeszcze epatować.

A przecież mimo niedomogów powiem autorom „Serca serc", do których zaliczę jeszcze operatora Zdzisława Kaczmarka: dobrze, że taki film powstał. Jest potrzebny.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

Wykorzystywanie nauki jako siły wytwórczej od wielu lat towarzyszy dynamicznemu rozwojowi naszego kraju w licznych dziedzinach. Jej szczególną rolę uwydatniło dobitnie XII Plenum KC PZPR. Z najwyższej trybuny partyjnej padło niejako pytanie — co należy czynić, jakie mechanizmy usprawnić, aby owe moce wykorzystać jeszcze bardziej — szerzej i skuteczniej na miarę istniejących potrzeb społeczno-gospodarczych.

Foto: W. Parys

BAZYLI BOŃCZAK

POWINNOŚĆ NAUKI

Nie trzeba uzasadniać, iż socjalizm otworzył przed nauką polską nowe, rozległe horyzonty rozwoju, stworzył warunki dla aktywnego współuczestnictwa w kształtowaniu materialnych i duchowych zdobyczy narodu. Naukę określono jako cenne źródło dokonań społeczno-gospodarczych i kulturalnych, jako istotną część składową rozbudowy potencjału ekonomiczno-technicznego. Dodajmy, że rozwój nauki uznano jako niezawodną gwarancję wzrostu poziomu wiedzy i umiejętności zawodowych społeczeństwa, jako ważną dźwignię wartości ideowo-politycznych narodu.

Plenum podkreślając rangę nauki stało się zarazem wykładnią jej możliwości jak i odpowiedzialnych zadań. Wytyczono najważniejsze kierunki i obszary działania. Takie postawienie problemu było ze wszech miar słuszne i pożądane. Znajduje ono niezaprzeczalnie swoje szczegółowe odbicie nie tylko w konkretnej realizacji, lecz i w raporcie o stanie nauki zapowiedzianym przez prezesa Polskiej Akademii Nauk. Raport, w którym zostanie ukazany obraz głębokich przemian jakie dokonały się w latach 70-tych, stanie się podstawą opracowania planów rozwojowych i programów badawczych na lata 80.

Upływające dziesięciolecie dowiodło, iż docenianie nauki jest równoznaczne z odkryciem bogatych złóż nie wykorzystanych rezerw, twórczych inicjatyw, nowych frontów naukowo-badawczych o dużym wymiarze i znaczeniu teoretyczno-praktycznym. Idzie więc nieprzerwanie o maksymalne wykorzystanie osiągnięć nauki, o ich nowoczesne pomnażanie, o stałe wzbogacanie dorobku narodowego.

Tak właśnie rozumie swoją rolę środowisko naukowe Uniwersytetu Łódzkiego. Wielopłaszczyznowa dyskusja nad tezami na XII Plenum KC PZPR nt. „O dalsze umacnianie roli nauki w społeczno-gospodarczym rozwoju kraju" stała się z jednej strony okazją do podkreślenia dotychczasowego wkładu wniesionego do ogólnopolskiej skarbnicy, z drugiej zaś do ukazania dalszych możliwości niebywale ważnych w procesie socjalistycznych przeobrażeń kraju. Rozważania te zostały pogłębione w świetle postanowień na Plenum. Na licznych zebraniach organizacji partyjnych wysunięto postulat przyśpieszenia — między innymi — badań w zakresie nauk społecznych, doskonalenia metod, wzbogacania teorii, bardziej konsekwentnego wdrażania osiągniętych efektów w praktyce. Niejednokrotnie zwracano uwagę na konieczność racjonalnego dysponowania kadrami, otoczenia właściwą opieką młodych nauczycieli akademickich, doskonalenie warsztatu pracy naukowej, ale równocześnie przejawiano szczególną troskę o zatrudnianie absolwentów uniwersyteckich nie tylko na tradycyjnych stanowiskach, lecz także w przemyśle i w roznych gałęziach gospodarki produkcyjnej. Rozszerzenie więzi z przemysłem jest dla Uniwersytetu sprawą dużej wagi. Sprzężenie więc wartości humanistycznych i poszukiwań badawczych z wysiłkiem produkcyjnym znajduje w działalności poszczególnych instytutów realne kształty.

Jednym z zasadniczych celów uczelni jest przygotowanie wysoko kwalifikowanych, głęboko ideowych specjalistów dla kultury, oświaty i ekonomiki kraju. Tylko w ostatnim pięcioleciu mury uczelni opuściło ok. 12 tys. absolwentów reprezentując 32 kierunki studiów dziennych i zaocznych. Dominująca pozycja przypada w tej mierze Wydziałowi Ekonomiczno-Socjologicznemu, Wydziałowi Prawa i Administracji, a także Wydziałowi Filologicznemu. Na uwagę zasługują wysokie i rosnące efekty uzyskiwane w dydaktyce i wychowaniu. Absolwenci UŁ cenieni są zarówno jako pracownicy, jak i działacze społeczno-polityczni. Liczni z nich posiadają szczególne predyspozycje i przygotowanie do działalności partyjno-politycznej. Około 10 proc. absolwentów posiada wszystkie dane by osiągać awans naukowy. Dzieje się tak. m. in., za sprawą studenckiego ruchu naukowego, który stanowi płaszczyznę włączania się SZSP w kształtowanie twórczych postaw, podwyższania wiedzy i kwalifikacji zawodowych studentów. Działalność ta ma duże walory wychowawcze, stanowi ważny element w pracy dydaktycznej i naukowej uczelni.

Od 5 lat Uniwersytet Łódzki włączył się bardzo szeroko w kształcenie nauczycieli w zaocznym systemie studiów czteroletnich. W naszej uczelni zrodziły się nowe propozycje organizowania procesu dydaktycznego i różnych innych optymalnych rozwiązań na studiach zaocznych dla nauczycieli. Można stwierdzić, iż jest to tworzenie dobrze przygotowanej kadry do zadań związanych z wprowadzeniem w bieżącym roku powszechnej średniej szkoły 10-letniej.

Rezultaty naukowe UŁ w latach 70 w porównaniu z minionym dziesięcioleciem wzrosły bardzo poważnie. Stało się to możliwe, m. in., dzięki szerokiemu włączeniu się uczelni w realizację problemów centralnie sterowanych. Podpisano kilkuletnie umowy z siedmioma województwami i kilkudziesięcioma zakładami przemysłowymi. Nawiązano znaczące, konstruktywne kontakty z zagranicznymi ośrodkami naukowymi szczególnie w państwach socjalistycznych. Dość powiedzieć, że w roku 1971 mieliśmy zawartą zaledwie jedną umowę z Uniwersytetem w Tbilisi, zaś w chwili obecnej zawarto już 23 umowy, a negocjowanych jest 10 następnych. Przedstawiciele Uniwersytetu pełnią odpowiedzialne funkcje w PAN, w Radzie Głównej Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki, w radach naukowych innych resortów, w towarzystwach naukowych krajowych i zagranicznych. Od kilku lat na wszystkich wydziałach zwiększano kontrolę merytoryczną nad jakością i stopniem przydatności prac magisterskich i doktorskich dla rozwoju różnych dziedzin życia kulturalnego i gospodarczego aglomeracji łódzkiej. Zrozumiały nacisk położono na przyśpieszenie uzyskiwania habilitacji nie tylko przez nauczycieli akademickich, ale również reprezentantów innych środowisk.

Zewnętrznym wyrazem dynamiki prac badawczych jest między innymi znaczący wzrost konferencji naukowych o zasięgu krajowym i międzynarodowym od kilku w roku 1971 do kilkudziesięciu w ostatnich 3 latach.

W krótkim przeglądzie nie sposób wymienić wszystkie osiągnięcia będące świadectwem prawidłowego wykonywania przez uczelnię swoich powinności. Jest to również dowód działań świadomych aspiracji na miarę współczesnych potrzeb. W przytoczonych dokonaniach zawarty jest ogromny ludzki wysiłek, ofiarność i zaangażowanie nauczycieli akademickich, pracowników inżynieryjno-technicznych i administracyjnych. Dyskusje przed i po XII Plenum KC PZPR wyzwoliły wiele inwencji i umożliwiły wykrycie nowych rezerw. Nie wolno wszakże pomijać, mających miejsce, słabych punktów, a koncentracja wysiłków jest w dalszym ciągu potrzebna.

W świetle współczesnego rozwoju nauki i techniki coraz większego znaczenia będą nabierać nauki, zaliczane tradycyjnie do humanistycznych. Dzięki nim podnosi się poziom kulturalny społeczeństwa, rozszerzają horyzonty myślowe jednostek, doskonalą się wzorce postaw ludzkich. Nie ulega wątpliwości, iż w procesie budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego niebędne jest niwelowanie dysproporcji między wielkością bazy produkcyjno-technicznej, a rozwojem myśli humanistycznej. Z twierdzenia tego wynikają określone istotne dyrektywy dla przedstawicieli nauk społeczno-humanistycznych. W tej mierze pracownicy nauki Uniwersytetu Łódzkiego nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Wydaje się, iż dalsze pogłębienie współdziałania z zakładami przemysłowymi i ośrodkami produkcyjnymi jest postulatem niezmiernie interesującym, zasługującym na rozszerzenie dotychczasowej działalności. Współpraca z gospodarką narodową stwarza dla dyscyplin uniwersyteckich szerokie pole do działania. Sięgnijmy po przykład Huty „Katowice". W jej budowie mają swój udział nie tylko inżynierowie i technicy, ale również uniwersyteccy fizycy, chemicy, biolodzy, ekonomiści, socjolodzy i inni specjaliści. W kontaktach tego typu upatrywać należy korzyści obustronnie ważne, istotne w procesie optymalizacji produkcji, warunków i atmosfery pracy, a także związane z weryfikacją poglądów naukowych, kształtowaniem najwłaściwszego modelu przyszłego absolwenta, postaw ideowych itp. O potrzebach występujących w tej materii mówiono w dyskusji plenarnej. Rzecz zrozumiała, iż muszą być one dostrzegane, należycie rozpoznane i objęte stosownym programem. Istnieje np.: stale aktualne zapotrzebowanie na badania kompleksowe dotyczące uwarunkowań potrzebnych dla uzyskania wzmożonej, o wysokiej jakości wydajności pracy, uwarunkowań uwzględniających aspekty ekonomiczne, socjologiczne i inne. W przemyśle łódzkim, nie w pełni zbadanym, problemem jest praca kobiet podlegająca najwyższemu w Polsce współczynnikowi zmianowości — 2,8, co dowodzi jej uciążliwego i wyczerpującego charakteru.

Powiedzmy przeto, iż tematów naukowo-badawczych zawierających jednocześnie określoną wymowę utylitarną jest jeszcze bardzo wiele. Kierownictwo akademickie i Komitet Uczelniany PZPR Uniwersytetu Łódzkiego liczą na dalszą aktywizację życia naukowego. Jest ona bowiem zaakceptowana przez całą społeczność uniwersytecką, wiąże się również z ambitnym planem rozwoju uczelni, z rozwijaniem jej walorów społeczno-gospodarczych, z dążeniem do umocnienia pozycji w nauce polskiej.

Doc. dr BAZYLI BOŃCZAK — I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR Uniwersytetu Łódzkiego.

DWA OSTATNIE TOMY NOWEJ „HISTORII POLSKI"

Co za dużo, to niezdrowo, trudno więc nam ciągnąć tu w nieskończoność i tak trwające już dość długo omawianie nowej, czterotomowej „Historii Polski", opracowanej przez grono specjalistów z Uniwersytetu Jagiellońskiego, a opublikowanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1978). Trzeci tom tego dzieła wyszedł podobnie jak poprzedni spod pióra Józefa A. Gierowskiego. Autor potraktował go jako dalszy ciąg rozważań, przedstawionych w tomie drugim, z którym stanowi on też całość. Nic więc dziwnego, że sposób ujęcia i przedstawienia materiału jest tu właściwie taki sam, jak poprzednio. Tom składa się z trzech części. Pierwsza została zatytułowana „Rzeczpospolita Oświecona" i jest doprowadzona do III rozbioru Polski, drugą autor opatrzył lelewelowskim tytułem „Polski odradzającej się" i zakończył na upadku powstania listopadowego, trzecią wreszcie zatytułował: „Polska rewolucyjna" i doprowadził do końca powstania styczniowego. Część ta kończy się zwartymi, syntetycznymi rozważaniami o kształtowaniu się nowoczesnego narodu polskiego. Podobnie jak w tomie poprzednim, każda część rozpoczyna się od zwięzłego zaprezentowania literatury i źródeł; przy tej okazji autor podzielił się ze swymi czytelnikami niejednokrotnie bardzo interesującymi spostrzeżeniami na temat poszczególnych szkół czy kierunków historiograficznych.

W moim przekonaniu tomy, opracowane przez Józefa A. Gierowskiego, przedstawiają w porównaniu z innymi ujęcie najbardziej indywidualne, a zarazem najnowocześniejsze. Podobnie jak w poprzednim, również i w trzecim tomie udało się autorowi powiązać w jedną koherentną całość narrację o omawianych zagadnieniach z ogólniejszą, pogłębioną historyczną refleksją. Uczony starał się przedstawić proces dziejowy możliwie całościowo, nie odrywając od siebie poszczególnych jego stron czy aspektów. Udało mu się to w znaczniejszej mierze, niż innym autorom. Przykładem niech będzie potraktowanie przez Józefa A. Gierowskiego zagadnień kultury. Nie są one w jego ujęciu doczepione gdzieś na końcu rozważań o przemianach gospodarczo-społecznych i politycznych, ale zostały z nimi zintegrowane w ten sposób, że czytelnik może zrozumieć, że kultura stwarzała w poszczególnych epokach ramy ludzkich zachowań i działań, a nie była tylko elementem dekoratywnym procesu dziejowego.

Można oczywiście dyskutować tu nad wieloma sprawami, można też zastanawiać się nad znaczeniem przyjętej w tym opracowaniu cezury 1864 r. Od niej rozpoczyna się czwarty i ostatni tom syntezy, opracowany przez Józefa Buszkę, obejmujący — jak powiada autor na wstępie — „zarys dziejów Polski począwszy od popowstańczej epoki 1864 roku poprzez drugą połowę XIX stulecia, poprzez wiek XX aż do lat ustabilizowania się nowej polskiej rzeczywistości społeczno-politycznej — Polski Ludowej — po drugiej wojnie światowej". Czy tak silne wyeksponowanie cezury 1864 roku — z pewnością niezmiernie istotnej w naszym procesie dziejowym — nie zaciera jednak znaczenia innej historycznej cezury, którą trzeba by umieścić w 1918 roku? Sprawa to z pewnością do dyskusji, chociaż już tyle o tym powiedziano. Nie wydaje mi się jednak słuszne stawianie na jednej płaszczyźnie tak istotnego faktu, jak reforma uwłaszczeniowa, z przełomowym dla całego narodu wydarzeniem, jakim było odrodzenie się niepodległego państwa polskiego.

Nie dziwię się autorowi tego tomu, że ujął go stosunkowo tradycyjnie, oczywiście w skali propozycji, zgłaszanych przez naszą marksistowską historiografię. Autorska narracja rozwija się tu w sposób właściwie klasyczny; rozpoczyna się od przedstawienia przemian, zachodzących w strukturze społeczno-ekonomicznej i prowadzi do opisu stosunków i wydarzeń politycznych. Sprawy kultury zostały przez autora potraktowane w sposób tradycyjny, jako zlepek rozważań o różnych jej dziedzinach, doczepianych gdzieś na końcu opisu innych zagadnień. Rozdzialik o „kulturze, literaturze, oświacie, nauce i sztuce na ziemiach polskich u schyłku XIX i na początku XX w." — czemu „na ziemiach", a nie po prostu „w kulturze polskiej", tego nie rozumiem — z pewnością do najbardziej udanych w tej pracy nie należy. Wiele jest w niej jednak rzeczy cennych, przede wszystkim zaś rzeczowy, spokojny, pozbawiony banałów i wszelkich sloganów opis przemian społecznych i politycznych. Uczony zdobył się tu z pewnością na rzetelny wysiłek w celu zobiektywizowania sądu o sprawach, mających wciąż dziś jeszcze charakter kontrowersyjny. Rozważania swe doprowadził Józef Buszko do 1948 r. Czemu nie dalej? Szkoda, że nie zakończył swego tomu bodaj krótkim rzutem oka na czasy nam najbliższe. Rozumiem, że każdy autor, który by się o to pokusił, spotkałby się z zarzutami uprawiania bardziej publicystyki niż nauki, ale mimo wszystko nie jestem zdania, by o najnowszych czasach nie należało pisać w syntezie dziejów Polski.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

★ ☆ ★

O cóż powiedzieć ci mam,
dziecino ma,
gdy w nocy wstaję od ksiąg,
podchodzę do łóżeczka
poprawić kołderkę,
popatrzeć na twoją twarz
i bezbronnie snu
oddane ręce?

I czy mówić ci mam,
że czytam, piszę, kreślę
i że światło lampy
żadnej duszy z kartki
nie może wyświetlić,
i że na białym tle
wciąż tkwi ciemny znak,
że tak wieczór w wieczór
podejmuję świat
i że trudy daremne?

Więc mam ci powiedzieć,
że w słowach się mozolę
i że już liczę sobie
lat trzydzieści dwa,
a nie ułożyłem życia swego
i ludzi, i ich spraw
w jedno zdanie
sensownie rozwinięte?

I czy mówić ci mam,
że nasze istnienie
porażone jest
bólem rosnącym,
który ciało zżera,
a umysł rozżarza
po bytu kres?

Więc cóż powiedzieć ci mam,
dziecino ma?
Może to, że gdy nad tobą
pochylam się w zamyśleniu,
znikają z twarzy mej
zmarszczki kart,
cień uśmiechu wschodzi
i staje się cisza wielka
i czysta, co koi...

Ale i tego nie powiem,
zaprawdę nie umiem.
Takie piękne, takie trudne.

MIECZYSŁAW M. SZARGAN

PRZYPOWIEŚĆ

Widziałem chłopa — stał na wzgórzu, wypatrywał łąki.
A taka mu tęsknota patrzyła z oczu jak psu,
Gdy zabłądzi i wie, że może trafić już tylko do klatki.
Koguty piały gdzieś za betonową krawędzią miasta.
W niebie skowronek t a m dzień zaczynał.

Widziałem chłopa — stał na wzgórzu a szedł piaszczystą drogą
Wysadzoną topalami — w chłodnym otwartym kościele
Chrystus mu się pokłonił i odwrócił oczy.
Dalej jeszcze minął bez przewieszony nad płotem Dzieciństwa.
Na widnokręgu wschodził codzienny polny kamień.

I chłop podszedł do pola — pole stało w słońcu
Kłosami wiernymi, że nie mógł ich wymówić ani dotknąć.
Więc zbiegł ze wzgórza i ból ukrył w rękach.
Z betonowego sufitu zaskrzypiała jabłonkowa gałąź sucha.
I chłop wziął powróz, zaskowyczał — i ziemię spod nóg

TADEUSZ PAPIER

IZYDOR I KAROLCIA

(FRAGMENT)

Mojej babki Karoli, żony Izydora, nie znałam. Babka umarła w czasie wojny, w roku 1940. Podobno była bardzo ładna. Tak ją wspomina moja mama i ojciec. „Piękna była", powiada dziadek Izydor. „Ty jesteś do niej podobna. Masz takie same włosy rude, jak moja Karolcia. Taki sam uśmiech. Moja żona, kiedy się śmiała, to odsłaniała górne zęby. Lubiłem, kiedy ona się śmiała". Zachowało się kilka fotografii babki Karoli. Najbardziej podoba mi się jedna, zrobiona w lesie łagiewnickim. Samo zdjęcie nie zachwyca, takich już nie robią, ale jeszcze dzisiaj zdarzy się spotkać przygodnego fotografa, który namawia do fotografii na tle płaczącej wierzby, albo samolotu, lub nawet tak, jak w przypadku babki, w wyciętym sercu. Babka właśnie sfotografowała się w takim serduszku. Obok jej twarzy widać twarz dziadka, młodego wtedy chłopaka. Sama fotografia jest bardzo pretensjonalna, ale twarz babki, gdyby ją wyciąć z tego serduszka, byłaby naprawdę taką, jaką dziadek opisuje. Pytałam się nieraz dziadka, dlaczego kazał zrobić taką fotografię, a dziadek na to: „A bo to, moja wnuniu, brzydkie? Myślisz, że złe zdjęcie?"

Dziadek miał wtedy trzydzieści lat, a babka siedemnaście. Zdjęcie robione było w lesie łagiewnickim. W czasie wolnym ludzie urządzali sobie majówki. Wyjeżdżali, albo szli całymi rodzinami do Łagiewnik lub okolicznych lasów, tam odpoczywali, bawili się. Dziadek był, jak to się określa, „zuch chłopak". Czapkę nosił zasuniętą na lewą stronę, nosił krótkie, podkręcone wąsiki, oczy patrzyły śmiało, podobał się dziewczynom. Matka opowiada, że dziadka zaczepiały kobiety jeszcze po ich ślubie. Pod tym względem przypominał stryja Benedykta. Ale dziadek, mimo że się uśmiechał do wszystkich, chodził tylko za jedną. „Opętała mnie, jakby kto rzucił urok. Chciałem się oderwać od niej, bo tak sobie myślałem, że jednak jestem trochę dla niej za stary, ale nie dało rady. Chodziłem za nią wszędzie, na zabawy, na majówki. A już najbardziej lubiłem wycieczki do lasu. Człowiek opuszczał fabrykę (pracowałem wtedy u Biedermana, Karolcia także, i tam ją poznałem) z myślą o niedzielnej wycieczce. Na inne rozrywki nie było pieniędzy. A na majówce można było się spotkać z kolegami, porozmawiać. Na odwrocie fotografii jest napis: „Odpust w Łagiewnikach, 1923". A więc fotografowali się na rok przed ślubem. Dziadek często powracał we wspomnieniach do tego dnia. Mówił, że mógłby dzisiaj odtworzyć każdą godzinę. Wybrali się do Łagiewnik tylko we dwóje. Dziadka namawiali inni do kompanii, ale on chciał być sam, ze swoją dziewczyną. „Nie wyobrażasz sobie, wnusiu, jak można się zagubić w lesie i w tłumie. Tego dnia w Łagiewnikach było tłoczno. Ludzie wybierali się całymi rodzinami. W dusznych domach rzadko kto zostawał. Chyba jaki stary dziad, chory, albo ktoś, kto musiał w tym czasie pracować. Obok klasztoru rozłożone były kramy ze słodyczami i różnymi świecidełkami. W słońcu mieniły się szklane, kolorowe paciorki, medaliki i łańcuszki. Na długich tykach zwisały lampiony. Można było podziwiać wymyślne kształty, jakie nadawano tym, jak mówił dziadek, cackom. Dzieci i dziewczęta mogły przebierać w tanich pierścionkach. Tego towaru nie brakowało. Zdarzały się też i srebrne wyroby. Dziadek mówił: „Chciałem kupić mojej Karolci srebrny pierścionek, jeszcze nie byliśmy po słowie, ale wtedy byłem już zdecydowany, że ta albo żadna, więc chciałem podkreślić moją szczerość tym pierścionkiem. Kupiłem, pierścionek miał być srebrny, a okazał się tylko posrebrzany. Gdzie ja miałem oczy! Chciałem wracać i drania kramarza stłuc po czerwonej gębie. Pamiętam do dzisiaj tę wredną, złodziejską twarz. Byłbym go rozniósł, gdyby mnie Karolcia nie powstrzymała. To jest najmilszy podarek, powiedziała. Milszy mi niż ze szczerego złota. „Resztę dnia spędziliśmy — opowiadał dziadek — bardzo miło. Cały czas trzymaliśmy się za ręce. W lesie słychać było bez przerwy muzykę. Grały różne kapele. Jedni lepiej, drudzy gorzej. Słychać było gitary, mandoliny, akordeony, ustne harmonijki. Wesoło było człowiekowi. Wytańczyliśmy się z Karolcią, wyobracałem moją dziewczynę, że ha! Dech nam zapierało od tego tańca. Byłem taki radosny, że tańczyłbym z całym lasem. Przyśpiewywałem:

Nie ma jak to w mieście Łodzi,
Człek swobodnie sobie chodzi,
Choć nie dośpię i nie dojem,
lecz cwaniaka z siebie stroję.

Musieli mi grać taką nutę, jaką zaśpiewałem. Inaczej marny byłby ich los. Nie dlatego, żeby ze mnie był łobuz, lecz mój wygląd budził szacunek. Ustępowali mi z drogi. A gdyby doszło do czego, to ja już wiedziałem, jak się zachować. Mój ojciec, a twój pradziadek, też był taki. Ale on mieszkał na wsi, gdzie często dochodziło do zamieszek, więc miał wprawę." Na zakończenie majówki zrobili sobie tę fotografię. Dziadek zaprowadził Karolcię do fotografa, kazał mu wykonać zdjęcie, ale żeby „było ładne, bo panna jest śliczności". Fotograf zatarł ręce, lubił takich klientów. Na drzewie miał rozwieszone dwa płótna, na jednym wymalowany był las, na pierszym planie szeroki, rozłożysty dąb; pod tym dębem ustawiali się amatorzy zdjęć. Na drugim płótnie były wycięte dwa serca, otoczone wieńcem kwiatów i ozdobnych roślin. „Chcieliśmy — powiada dziadek — ustawić się pod dębem, ale fotograf kazał nam stanąć za drugim płótnem. W sercach ukazały się nasze głowy. Było nam głupio, co było robić, na upór fotografa nie było rady. Kolego, mówił fotograf, ja widzę po waszych oczach, że tylko serca będą wam pasowały. Nie opierać się. Stańcie z tyłu, główki proszę do otworów, tak, panienko, teraz proszę o uśmiech, no co, panienka nie potrafi się uśmiechać? Proszę spojrzeć na swojego partnera, pięknie, pan też niech patrzy trochę jaśniej, wspaniale, uwaga, dziękuję!" Dzisiaj można się uśmiać z tych serduszek, ale portreciki wypadły interesujące. Uśmiech, o który chodziło fotografowi, przetrwał do dziś. Kto zobaczy zdjęcie dziadka i babki, nie może powstrzymać się od okrzyku: piękna para! Dziadek jednak nie dał za wygraną. Te serca nie bardzo przypadły mu do gustu. Przyłapał innego fotografa, który miał stanowisko przy klasztorze franciszkanów, ustawił się na tle muru, objął Karolcię za plecy i w ten sposób narodziło się drugie zdjęcie, które oprócz postaci zakochanych utrwaliło krajobraz, pokazało fragment budynku klasztornego i drzewa prześwietlone słońcem. „Widoczek pierwsza klasa" mówił dziadek. Sąsiad Łukasz rówieśnik dziadka, który nie darował żadnej okazji, aby mu nie przygadać, odpowiedział: „Pierwszy raz słyszę, żeby komunista lubił kościoły." „Toś, bracie, jeszcze wiele nie słyszał i nie widział. Trzeba się uczyć. Poznawać historię". Dziadek Izydor opowiadał mi o tym klasztorze. Mówił, że zakonnicy pomagali powstańcom w sześćdziesiątym trzecim roku. Po powstaniu klasztor został przez władze carskie zamknięty. Byłam kiedyś z dziadkiem w tym klasztorze. Oprowadzał nas jeden zakonnik. Kościół zbudowany jest w stylu barokowym. Bardzo mi się podobały ołtarze. Dziadek zaś przystawały przed tablicami. Wiele jest tych tablic, poświęconych zmarłym. Dziadek sumiennie je studiował. „Takie tablice — mówił do mnie — dużo więcej powiedzą o przeszłości niż niejedna książka. Co nie znaczy — dodał — że ja pogardzam książkami". Klasztor pochodzi z początków osiemnastego wieku, a wzmianki o Łagiewnikach spotykamy w zapisach z 1400 roku, a więc jest to miejscowość bardzo stara, ukryta kiedyś wśród wielkich borów, zresztą tak samo jak i nasza Łódź, która mniej więcej w tym czasie otrzymywała prawa miejskie. Od dziadka jeszcze się dowiedziałam, że dawniejsi mieszkańcy Łagiewnik wyrabiali tak zwane łagwie, czyli naczynia drewniane albo skórzane do przenoszenia napojów. „Stąd i ja, moja wnuniu, lubię tę miejscowość. Bardzo mi te łagwie odpowiadają".

Notuję rozmowy z dziadkiem, albowiem dzisiaj wydają mi się szczególnie ważne. Gdziekolwiek moje oczy się zatrzymają, na jakimś starym budynku, na fragmencie ulicy, na pałacu fabrykanckim czy fabryce, patrzę na te obiekty oczami dziadka. Te dwie fotografie z Łagiewnik wywołują wiele wspomnień i wzruszeń. Fotografia, zrobiona przy klasztorze, kryje w sobie jeszcze jedno zwierzenie dziadka. Oto wybrał to miejsce do zdjęcia i dlatego, że tutaj był aresztowany w dwunastym roku. Był odpust w Łagiewnikach i kilku towarzyszy, a między innymi dziadek, wybrało się na agitację. Dziadek opowiadał, że były to lata kryzysu. Nie ustały jeszcze represje po rewolucji 1905 roku. Robotnicy znaleźli się na skraju nędzy. Kto miał co wartościowego, zanosił do lombardów. Sprzedawano świąteczne ubrania, aby tylko znaleźć pieniądze na chleb. W prasie pojawiały się rubryki: „Ofiary głodu", „Z dramatów życia", „Z dna nędzy". Można było w tym czasie przeczytać w gazecie: „To tu, to tam jakiś człowiek pada na ulicy, zemdlony i osłabiony głodem i nędzą, a często zdarza się, że pada i więcej nie wstaje". Fabrykanci pogłębiali kryzys. Obniżali płace, ograniczali produkcję. A na kogo padło, jak się wyrażał Izydor, „złe oko", został wyrzucony z pracy.

Dziadek stał na jednym z kramów. Na wysokim drążku zawiesił kawał czerwonego sukna. Powiewał tym sztandarem i wołał: „Niech żyje socjalizm". „Precz z wyzyskiem", „Dlaczego pozbawiają nas pracy i chleba". Jego towarzysze rozdawali wśród ludzi ulotki. Dziadek nie dostrzegł w porę niebezpieczeństwa. Tak się podniecił swoim przemówieniem, że sam nie wiedział, kiedy żandarmi ściągnęli go ze stołu i założyli kajdanki. Przesiedział wtedy dwa miesiące w więzieniu.

Karolcia mieszkała na Widzewie. Ojciec i matka pracowali u Scheiblera. W tym czasie, kiedy dziadek zaczął chodzić z Karolcią, jej matkę zwolniono z pracy. Ojciec także miewał okresy bezrobocia. Mieszkali w czynszowej kamienicy, brudnej, bez wygód i kanalizacji. Brudy był odprowadzane przy pomocy ścieku wprost do rynsztoka. A na domiar złego okna wychodziły na komin sąsiedniej posesji, który wciąż dymił, tak że rzadko kiedy były otwierane. Mieszkanie ogrzewał piec kuchenny. Na zimę wstawiano blaszany, który szybko się rozgrzewał, ale też i szybko stygł. Kiedy przychodzono z fabryki do domu, w mieszkaniu było zimno. Mimo tej widocznej biedy gospodarze dbali o porządek. Dziadek wspominał, że pierwsza wizyta, jaką złożył w tym domu, pozostawiła na nim dodatnie wrażenie. Podłogi były wyszorowane, ściany świeżo wybielone. Urządzenie mieszkania składało się z dwóch łóżek, stołu, krzeseł, półeczek, na których stały kwiaty, przeważnie tak zwane kawalery, które krzewiły się bujnie. Na ścianie wisiały obrazy świętych, mocno już poczerniałe. Podobali mu się mieszkańcy. Ojciec Karolci był wysoki, chudy, miał wciągnięte policzki. Mówił mało, ale za to bardzo jasno. Odnosiło się wrażenie, że z trudem dobiera słowa, ale tylko takie, które są niezbędne. „Rzeczowy facet", powiedział o nim stryj Benedykt. Matka musiała być kiedyś bardzo ładna. Troski przygasiły jej twarz, ale kiedy się uśmiechała, wyglądała na wiele młodszą. Ojciec mówił na nią „matka". Ona na ojca po imieniu: Pietrek. „Nie zapomnę do końca życia oczu Karolci, jak się wpatrywała we mnie, kiedy przyszedłem do nich z Benedyktem" — mówił dziadek. Karolcia była rzeczywiście przejęta. Któż się w takiej chwili nie wzrusza?

„Ten huncwot, Benedykt — opowiadał dziadek — próbował mnie ośmieszyć. Prosiłem go, żeby wystąpił jako delegat rodziny. To nic, że był młodszy. Z nim było mi raźniej. A on dosłownie przyjął na siebie rolę swata. Było mi głupio, kiedy po pierwszym kieliszku zwrócił się do ojca Karolci: „Piękną macie dziewuszkę, to i niedługo pobędzie w domu. A ma już kogo?" Stary odpowiedział Benedyktowi, żeby o to zapytał Karolci. Więc Benedykt: „Panienka ma już kawalera?" Nie wytrzymałem i odparłem Benedyktowi: „Kręci się tu jeden, nawet go znasz". A co on robi?" — zapytał Benedykt. „Fabryczny, jak i panienka" — odpowiedziałem. Benedykt podjął wyzwanie. Dalsza rozmowa przebiegała mniej więcej w tym samym tonie. Obgadywali mnie na wszystkie strony jakbym był nieobecny... Benedykt miał wielką uciechę „Wiłeś się, jak piskorz" — powiedział potem. Oświadczyny nabrały pogodnego nastroju. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak się ten wieczór zakończy. Mimo tych żartów (mówił dziadek) pytania, jakie stawiano, kryły w sobie poważniejsze treści. Ojciec zapytał, a czy ten kawaler sprytny, czy są widoki, że pójdzie wyżej. Czy to aby nie jaki „strychorz", który co jakiś czas, a na pewno w zimie, traci pracę? Benedykt odpowiedział, że nie potrzebują się martwić o przyszłego zięcia, który jest zdolny, a jak się przyuczy, to jeszcze wyżej pójdzie. Wtedy odezwała się matka: „Czy to «charakternik», a nie jaki «andrusiok»?" Benedykt natychmiast odparł: „Jeszcze jaki charakternik, poważa ojców, a i w rękę cmoknie". Wtedy ojciec Karolci zwrócił się do żony: „Ano, matka, co powiesz na to?" Matka złożyła ręce jak w kościele. Powiedziała: „Co już Bóg da". Więc ojciec znowu do żony: „Ano, stara, postaw, co tam masz, podaj naszą wódkę. Wy zaś — rzekł do Benedykta — możecie przyprowadzić tego kawalera". Benedykt (opowiadał dziadek) udał, że wychodzi. Ja się nie ruszyłem. Powiedziałem do przyszłego teścia: „Racja, musimy teraz zapić!" Benedykt, jak niepyszny, zawrócił od drzwi. „Nie pomyliłem się" — powiedział. „Z ciebie rzeczywiście charakternik. Inny może by się załamał". Reszta wieczoru upłynęła w takiej atmosferze, że dziadek potem mówił: „To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu".

Oto jeszcze jedna fotografia babki i dziadka. Jest to zdjęcie zrobione zaraz po ślubie. Babka i dziadek stoją sztywno. Mają nieco wymuszone uśmiechy. Babka ma białą suknię i welon. Dziadek jest w czarnym ubraniu. O wiele bardziej podoba mi się fotografia z odpustu, robiona przy klasztorze. Twarze są tam bardziej naturalne. Ale i tutaj widać, że dziadek nie przesadzał, mówiąc o ciekawej urodzie babki. Twarz niby nie jest ani ładna, ani nieładna, ale jest coś w oczach i w ustach babki, co przykuwa uwagę. Jakiś nieokreślony uśmiech. „Nigdy nie mogłem odgadnąć, jaki to uśmiech — mówił dziadek. — Jakby Karolcia chciała coś ciekawego powiedzieć i w ostatniej chwili zatrzymała to słowo na wargach, a tylko oczy wyrażają tę myśl. Tylko jaki człowiek wyczyta w oczach kobiety jej myśli?",

PEJZAŻE ŁÓDZKIE ANDRZEJA GRUNA

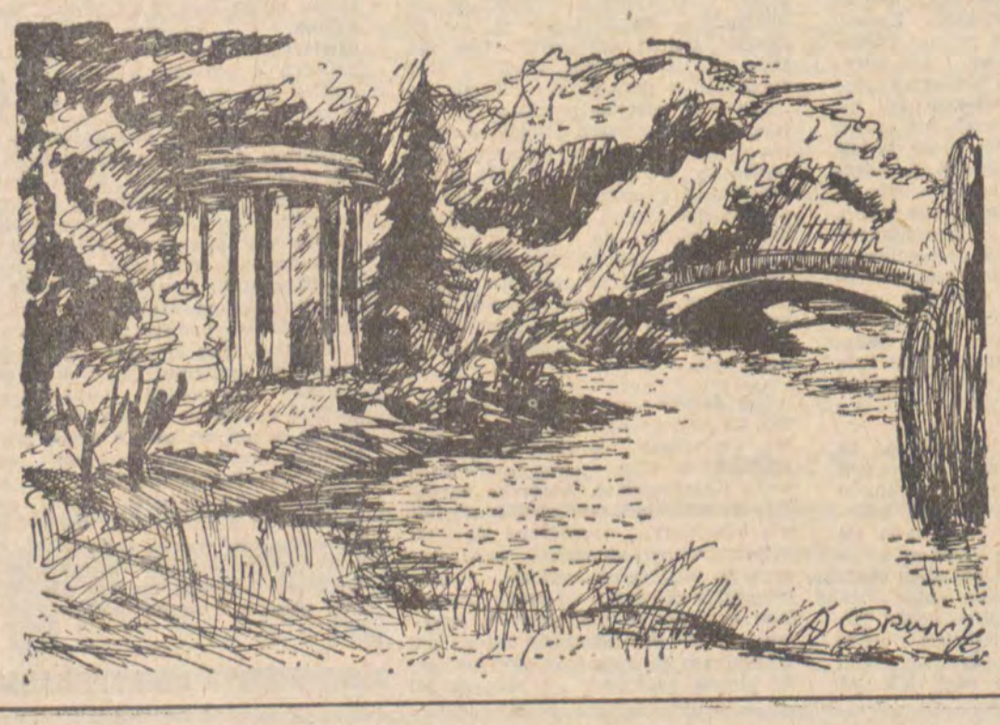

KAPITAN

Dalszy ciąg ze str 1

ło trudniejsze, on musiał je ułatwić śmierci. I skojarzyłem w swym zamyśle kapitana z panem Michałem, a Wiznę z Kamieńcem Podolskim.

Kiedy jednak zszedłem w dół, do wioski, i spotkałem się z ludźmi, którzy pamiętali Wiznę z września 39 lub brali udział w jej obronie, kiedy wysłuchałem ich suchych a przejmujących relacji o tamtych dniach i wydarzeniach — zrozumiałem, że cała moja zamierzona fikcja literacka byłaby czymś rażąco niewłaściwym.

Więc po prostu niech mówią ludzie. To będzie ich reportaż o kapitanie.

CZĘŚĆ 1

Mówią mieszkańcy Wizny: Anna Troks, Bronisław Dobroński, Kazimierz Górski, Rajmund Domalewski:

— Byłam jeszcze bardzo młoda, gdy przyszedł sierpień 39. Pamiętam, że każdy był zatrwożony, bo tu nagle tylu żołnierzy. Patrzyliśmy, jak budują schrony, fortyfikacje, wszyscy czuli, że coś niedobrego się zapowiada.

— Jeździliśmy po cement do Osowca, woziliśmy kamienie, cała Wizna jeździła, i wioski jeździły. Ale było takie mniemanie, że jak te bunkry uszykujemy, to Niemcy podejdą tylko do Narwi, dalej ich nie puścimy. Wszyscy takiego ducha mieli, że oni dalej nie pójdą.

— Pamiętam, to było 6 września. Kosiłem trawę w Bogatkach i wracałem wieczorem do domu. Zobaczyłem wtedy, że na moście poustawiano kozły, stoi warta, a tam przy schronie to jeszcze betoniarka chodziła.

— Kiedy Niemcy podeszli, to myśleli, że tu jakieś nasze liczne wojska, i puścili na nas cały pancerny korpus Guderiana, czy jak mu tam. Chcieli forsować Narew, to tak: Wuchówka — schron, Sulin — schron, i na most krzyżowy ogień. Co tylko się podsuną, to zaraz serie z karabinów maszynowych, jeszcze mieliśmy wtedy amunicję, i Niemcy do tyłu. Spokój. Zaczyna bić ich artyleria z lasu od Kramkowa, od Karolina, aż do Strękowej Góry. I pod osłoną artylerii znowu zaczynają forsować rzekę, znów grają nasze karabiny, znów się cofają. A w schronach obserwacja. Były takie wielkie, mosiężne wieże, jak wieźli, to w osiem koni, a w każdej trzy szczelinki w różnych kierunkach. Żołnierz to mógł tam tylko głowę wsadzić i obserwować, i dawał znać tym na dole, przy karabinach. maszynowych. Co Niemcy się ukazali, to nasi ognia. I jakby nie było, ale ich wstrzymali.

— Cisza. Dwie godziny, trzy godziny. Znów bije artyleria niemiecka, bije, cicho w schronach, nie ma nikogo. No, mówię, chłopcy, przestali, będą iść do przodu, bo myślą, że już my uciekli. Zaczynają znów forsować rzekę. Łup znowu z karabinów maszynowych. Śmierć była na karku, my wszyscy głodni i nędzni, ale każdy śmiał się jeden do drugiego.

— Ja byłem jako telefonista i obsługiwałem schron obserwacyjny. Przyszliśmy z Zambrowa, rezerwa i służba czynna, i zwolniliśmy junaków, którzy dotąd trzymali warty. Byłem przydzielony do porucznika Brykalskiego, ale w tym samym schronie był i kapitan Raginis. Jak przyszło natarcie, i już most zaczął się palić, to porucznik Brykalski wziął mnie i drugiego kolegę, podjechaliśmy pod zabudowania, tu gdzie Sulin, i porucznik kazał nam przekazać telefonicznie, gdzie będą punkty obstrzałów, tak, żeby i na noc były już ustalone. Nie zauważyliśmy, że Niemcy przechodzą po tym palącym się moście, i o mały włos a by nas zagarnęli, ale odrzucili ich nasi saperzy.

— Łomża już się paliła, a ja byłem w Szczepankowie. Zabrałem resztę amunicji i z furmankami na forty do Wizny. Patrzę, a kapitan Raginis tylko na gniadej kobyle tak: Strękowa Góra — Wuchówka — Sulin, Strękowa Góra — Wuchówka — Sulin: „Chłopcy, bronić się do ostatka!"

— A potem była już tylko łączność telefoniczna. Kapitan wydawał rozkazy, ale nikt już ze schronu nie wychodził. Wszędzie krzyczeli: pomocy, pomocy, więc połączyliśmy się z Białymstokiem, to powiedzieli nam, że pomoc wyszła. Ale nigdy jej nie zobaczyliśmy. Niemcy ich odcięli.

— Porucznik Brykalski, dobrze strzelał, co Niemcy się podsunęli, to on po nich. Ale to połówka, wszystkiego sześć dział takich było, co to na taką potęgę, niewiele mogliśmy zrobić.

— I on był ranny przy mnie. Bo ta wieża nie była jeszcze wykończona, ta czapka na schronie, na te okienka miały jeszcze przyjść zasuwki, ale już nie zdążyli ich założyć.

— Samolot przeszedł nad frontem, wysoko chodził. Chodził ze dwie godziny. Zawrócił, a potem zaczęli mącać nas z artylerii. Tu jeden pocisk, tu jeden, tu. Potem jak zaczęli bić ogniem huraganowym, to już bez przerwy. A w ten nasz schron, w ten punkt obserwacyjny, to po cztery, po sześć pocisków naraz. To już nie ustałeś na nogach, tak człowieka rzucało. Te stoły, skrzynie z granatami, to wszystko pod sufit skakało. A kapitan tylko: „Nie bójcie się, nie bójcie się, schron wypróbowany, wytrzyma!"

— Potem trochę nacichło, to porucznik do tego wziernika. A Niemcy już się podsunęli. To kapitan: „Krop pan! Krop pan! Po nich!" Podaje komendy, ja do plutonów, do baterii, że ogień ciągły. A tu z tyłu, za nami, rozerwał się pocisk i dwa odłamki wpadły przez te okienka. Kapitan dostał w bok, pod łopatkę, bo był wyższy, a porucznik Brykalski dostał z tyłu w głowę i pocisk wyszedł mu czołem. To on trup, a kapitan już też tylko mdleje, sanitariusz zakłada mu opatrunek, a co odzyska przytomność, wydaje jeszcze rozkazy. I tak do nocy. A rano powiada: „Koniec. Do walki nie jesteśmy już zdolni". Już nie było łączności, bo pocisk z czołgu roztrzaskał radiostację, w schronie duchota okropna, proch wszystkich zatyka. I kapitan mówi tak: „Chłopcy, teraz ucichło, wycofujcie się każdy na swoją rękę. Widzicie, że już nic nie poradzimy. A ja tutaj zostanę, ja stąd się nie ruszam". Miał trochę pieniędzy, to podzielił je między nas, potem wyjął z teczki różne papiery, dokumenty, ułożył na betonowej posadzce i kazał podpalić je żołnierzowi, a my odryglowaliśmy drzwi i pędem do lasu. Odbiegliśmy może z dwieście metrów i wtedy usłyszeliśmy wybuch w schronie. Oglądamy się, a tam już niemiecki czołg na górze. Potem pytałem ludzi, co stało się z kapitanem, to powiedzieli mi, że się rozerwał granatem.

CZĘŚĆ 2

Mówią mieszkańcy wsi Góra: Marianna Śledziewska, Aleksandra Śledziewska, Wincenty Śledziewski i Lucyna Szmieltko:

— Czołgi przeszły, a my kopaliśmy ziemniaki. Wiadomo, wrzesień, wykopki. Patrzymy, Niemcy jadą do tego schronu, tak zaraz wybuch słyszę. Dym idzie i jeden wybuch po drugim. A to granaty były jeszcze w tym schronie i tak wybuchały.

— Ja poszedłem tam po suchary dla dzieci. Bo jak wróciliśmy do wsi, nie było co dać jeść dzieciakom. W tym schronie to ja robiłem do samego końca, tam było siedem komór, półki, a na nich suchary, granaty, amunicja. Wszedłem tam, było ciemno. To ja zapałkę: — bzyk! — zaświecił. Patrzę, stoję na czyichś nogach. Ale zapałka zgasła, bo tam mało powietrza było. To ja za drugą. Widzę, a tu u płaszcza patki, te same, które miał kapitan. Ja za trzecią zapałkę, przyglądam się, a on ma lewy bok wyrwany. Wziąłem te suchary i wyszedłem.

— Ja też tam byłam, jak to dzieciaki, ciekawe. Ale to później, za jakieś dwa tygodnie, bo Niemcy nie pozwolili zbliżać się do schronu, chodził tam wartownik na górze. A potem to sami nakazali, żeby ich pochować, bo ich już czuć było. To wtedy poszłam tam z innymi ludźmi ze wsi, kapitan leżał na plecach, miał powypalany mundur, włosy spalone, a tu, w piersiach, taką wielką dziurę, że ręką by jej nie zakrył. To ich uwiązali za nogi sznurkiem i tak ciągnęli. Wykopali grób, kocami wysłali wądół i kocami ich nakryli. Leżeli tam przy schronie może miesiąc czasu, może więcej. A później jacyś przyjechali, wzięli ich i pochowali u krzyża, przy szosie. To tam był mój stryj. I stryj, mówił, że nic się nie zmienili, wyglądali jeszcze piękniej niż wtedy, gdy wyciągnęli ich z tego schronu. Stryj powiada, zróbcie tak, jak oni zasłużyli. To znów wysłali grób tymi kocami i kocami ich przykryli. A z nimi pochowali jeszcze szeregowego z Kurpik, też ze schronu.

— Kapitan mieszkał w Strękowie, zanim się wojna zaczęła. To potem przyszli ci gospodarze, ze Strękowa, usypali im pięknie mogiłę i zasadzili cztery lipy. I patrz pan, coś na świecie jest. Trzech pochowanych, trzy lipy się przyjęły, a czwarta nie.

— Pamiętam go, choć osiem lat miałam, jak on tu przyjechał, na jakieś dwa tygodnie przed wojną. Miał złoty ząb, jak się uśmiechał, to tak mu ten ząb błyskał.

— Widział go pan tam chyba na zdjęciu, taki był i żywy. Rosły był, smagły, nie żal było powiedzieć, że to oficer. Pamiętam, jak chodził pod górę, do schronu, a to glina, ślisko, to tak zawsze bokiem, na skos nogami, ciągle go jeszcze widzę.

— Jak wieczór przyszedł, to on na konia i jechał do Strękowa. A taki człowiek był, panie, że nikogo nie ominął. Starego czy młodego, każdego miał o co zagadać. Żebyś pan nawet i nie chciał rozmawiać, to pan musiał. Zawsze się do człowieka odezwał, pocieszył czy postraszył, ale zagadał coś. A do kobiet to mówił tak: „Wiecie, kobietki, podoba mi się tu u was, już ja tu chyba zostanę".

TADEUSZ GICGIER

POLSKA KSIĄŻKA W OKUPOWANEJ ŁODZI

6 września 1939 r. wojska niemieckie, po przerwaniu obrony polskiej, wkroczyły do Łodzi. Rozpoczął się trwający bez mała pięć i pół roku okres okupacji. Polityka okupanta zmierzała do wyniszczenia narodu polskiego. Ludność ziem okupowanych pozbawiona została wszelkich praw i swobód obywatelskich. Ze szczególną bezwzględnością niszczono dorobek kulturalny narodu polskiego.

Księgozbiory instytucji wydawniczych już w pierwszych miesiącach wojny zostały zniszczone w 99 proc., co nastąpiło wraz z likwidacją czołowych ośrodków edytorskich. Księgarstwo ocaliło jedynie 15 proc. swego stanu posiadania. Straty bibliotek polskich w wyniku działań wojennych i późniejszej akcji systematycznego niszczenia ich zbiorów wynosiły 85 proc. Ucierpiały również zbiory prywatne, zniszczone w 70 proc. Zagładzie uległo wiele unikalnych zabytków piśmiennictwa i kultury narodowej, wiele cennych książek i rękopisów wywiezionych zostało do Rzeszy, część z nich przepadła bezpowrotnie. Wraz z książką okupanci zniszczyli podstawy przemysłu poligraficznego: drukarnie, papiernie, introligatornie.

Społeczeństwo polskie nie pozostawało bierne. Jednym z przejawów działalności podziemnej była walka o książkę. Dzięki ofiarnej postawie bibliotekarzy, księgarzy, bibliofilów wiele cennych księgozbiorów udało się uratować. Podejmowane były konspiracyjne akcje wydawnicze, funkcjonowały nielegalne wypożyczalnie, rozwijał się handel polską książką. Wreszcie polska książka docierała do kraju z zagranicy, gdzie działały emigracyjne ośrodki wydawnicze.

Niemalże natychmiast po wkroczeniu Niemców do Łodzi zamknięte zostały wszystkie polskie instytucje i stowarzyszenia społeczne, polityczne, kulturalne, oświatowe, a nawet sportowe. Podejmowanie przez Polaków jakichkolwiek form działalności publicznej było nielegalne i surowo zabronione. Wydano zakaz rozpowszechniania polskiej książki i prasy przy jednoczesnej likwidacji placówek wydawniczych. Ocalała tylko drukarnia wydawnicza przy ul. Piotrkowskiej 86, gdzie Niemcy drukowali „Litzmannstädter Zeitung". Niewielkie i średniej wielkości drukarnie zostały zamknięte, większe przedsiębiorstwa, przejęte pod zarząd komisaryczny, pracowały na potrzeby gospodarki niemieckiej. W posiadaniu prywatnym pozostały tylko drukarnie będące własnością Niemców: „Kompas", „Neue Lodzer Zeitung", A. Fruhlicha i S. Manitiusa, przy czym dwie ostatnie funkcjonowały tylko do roku 1943.

Równocześnie podjęto akcję niszczenia polskich książek. Kierował nią szef Urzędu Propagandy — Bautze, volksdeutsch łódzki, znakomicie zorientowany w organizacji i strukturze życia kulturalnego miasta (przed wojną był dyrygentem chórów niemieckich). Rozpoczęto od wyselekcjonowania z książek będących na składzie literatury narodowo-patriotycznej i niepodległościowej (na pierwszy ogień poszły dzieła Adama Mickiewicza i Henryka Sienkiewicza), książek żydowskich i markistowskich. Podobnego „oczyszczenia" dokonano na terenie wszystkich wypożyczalni książek. Następnym krokiem było polecenie dokonania spisu wszystkich książek polskich, znajdujących się w księgarniach i dostarczenie ich do Urzędu Propagandy. Uniemożliwiało to prowadzenie sprzedaży i ukrycie polskiej literatury. W końcu Niemcy dokonali dzieła całkowitego zniszczenia polskiego księgarstwa. Książki ładowano bezładnie na samochody ciężarowe i wywożono na przemiał do papierni w Pabianicach. Część spalono na miejscu w rowach przeciwlotniczych. Księgarzy aresztowano, przesiedlano, wywożono na przymusowe roboty, zamykano w getcie. KAZIMIERZ PAWLAK, właściciel znanej księgarni wydawniczej „Czytaj" uwięziony został w Radogoszczu, a następnie wraz z rodziną przesiedlony do Generalnej Guberni. Drukarz i wydawca — ROMAN TYLKO skazany został na śmierć. Księgarz — KAROL NEUMILLER zginął w czasie likwidacji getta. Długa jest lista strat kultury polskiej w Łodzi, a tragiczne losy ludzi splatają się nierozerwalnie z losami książek.

Mimo terroru i represji wiele książek udało się uratować i rozprowadzić wśród czytelników. Skazane na zagładę książki były systematycznie wykradane przez polskich robotników pabianickiej papierni. Pracownicy księgarń w miarę swych możliwości starali się ukryć chociażby część książek. Nie było to łatwe. Małe księgarenki i antykwariaty zlikwidowano, bądź przekształcono w sklepy papiernicze. Większe — przejęli komisaryczni zarządcy, z reguły miejscowi Niemcy. Szczególnie zasłużył się w tępieniu polskiej książki G. Paul, przed wojną kierownik księgarni „Gebethnera i Wolffa", następnie jej komisaryczny zarządca (zmienił nawet nazwę na „Deutsche Buchhandlung"), a od listopada 1942 r. — właściciel. Podobną linię postępowania przyjęli inni księgarze niemieccy.

Do nielicznych wyjątków należała księgarnia Szarlotty Seipelt, gdzie udało się ukryć kilka tysięcy książek, w tym wiele podręczników szkolnych, rozprowadzonych następnie wśród Polaków. Także M. Krammer, współwłaściciel księgarni Urbanowicza, mimo podpisania volkslisty, przez cały okres funkcjonowania swej księgarni ukrywał zasoby polskich książek, dostarczał podręczniki dla tajnego nauczania, a nawet uruchomił konspiracyjną wypożyczalnię. 32 tysiące egzemplarzy polskich książek przechowała przez cały okres okupacji wdowa po księgarzu Grajlichu.

Nie zmienia to jednak zasadniczego obrazu sytuacji, a o stosunku niemieckich księgarzy do polskiej książki świadczy fakt wysłania delegacji, która na ręce szefa Urzędu Propogandy złożyła wyrazy podziękowania za, jak to określili, uwolnienie ich od „polskiego gnoju".

Niemieccy zarządcy księgarń niejednokrotnie zmuszeni byli zatrudniać personel polski. Trudno dziś ustalić rozmiary prowadzonej przez nich działalności, ale można było wówczas nabyć w Łodzi niejedną polską książkę. Swojego rodzaju sabotażem było też sprowadzanie i rozpowszechnianie dzieł niemieckich, wycofanych przez cenzurę z obrotu księgarskiego.

Nie mniejsze straty poniosły łódzkie biblioteki. W przededniu wybuchu wojny działała na terenie miasta sieć bibliotek powszechnych, obejmująca BIBLIOTEKĘ PUBLICZNĄ, trzy wypożyczalnie dla dorosłych i sześć bibliotek dla dzieci i młodzieży. Obok sieci miejskiej funkcjonowała CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA, BIBLIOTEKA WOLNEJ WSZECHNICY POLSKIEJ, BIBLIOTEKA PRZY ARCHIWUM MIEJSKIM, placówki biblioteczne instytucji i stowarzyszeń społecznych, księgozbiory szkolne i jednostek wojskowych. Bogate księgozbiory znajdowały się w posiadaniu osób prywatnych, cenne zbiory zgromadzili członkowie działającego w okresie międzywojennym TOWARZYSTWA BIBLIOFILÓW w Łodzi.

W czasie działań wojennych Biblioteka Publiczna została zamknięta. Nie trwało to długo. Po kilku dniach rozpoczęło się normalne udostępnianie zbiorów. W połowie września w Bibliotece pojawili się Niemcy, rekwirując niemal cały księgozbiór regionalny. Interesowały ich przede wszystkim pozycje traktujące o przemyśle, handlu i rolnictwie oraz zagadnienia administracyjne i demograficzne w odniesieniu do terenu Łodzi i województwa. W końcu września 1939 r. Biblioteka została zamknięta dla czytelników. Lokal opieczętowano, a polski personel zwolniono. Bibliotekarz — JAN AUGUSTYNIAK został przesiedlony do Generalnej Guberni, Jego miejsce zajął Niemiec, który miał za zadanie utworzenie w Łodzi sieci publicznych bibliotek niemieckich.

KSIĘGOZBIÓR BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ przewieziony został z gmachu przy ul. Andrzeja 14 do nie ukończonego budynku bibliotecznego przy skrzyżowaniu ulic Gdańskiej i Kopernika. Książki zmagazynowano zupełnie bezładnie obok materiałów budowlanych i składu starych dekoracji teatralnych. W trakcie „przeprowadzki" zniszczone zostały inwentarze i katalogi, zburzono strukturę księgozbioru, obracając wniwecz cały dorobek organizacyjny Biblioteki. Cenniejsze dzieła, zwłaszcza starodruki i regionalia zostały wykradzione.

Taki sam los spotkał ZBIORY CENTRALNEJ BIBLIOTEKI PEDAGOGICZNEJ. Przewidując możliwość dewastacji księgozbioru, cenniejsze dzieła zdołano wcześniej rozprowadzić wśród miejscowych nauczycieli. Nie na wiele się to zdało. Niemcy wysiedlając z Łodzi przedstawicieli inteligencji polskiej, niszczyli książki, znajdujące się w ich mieszkaniach. W ten sposób uległo zagładzie ok. 20 proc. księgozbioru. Pozostałe książki przewieziono do nie ukończonego budynku Biblioteki Publicznej. Przedtem jednak Niemcy wyselekcjonowali z bogatych zasobów dzieła obcojęzyczne, przeznaczając je dla bibliotek własnej sieci. Skradzionych zostało przy okazji wiele cennych i zabytkowych książek.

W grudniu 1939 r. weszło w życie zarządzenie namiestnika Kraju Warty — Artura Greisera o przejęciu przez władze okupacyjne wszystkich księgozbiorów polskich, zarówno publicznych jak i prywatnych, które niejako sankcjonowało istniejący stan rzeczy. Do budynku Biblioteki Publicznej i Archiwum Miejskiego zwożono zbiory zdewastowanych bibliotek polskich, m.in. cenny księgozbiór naukowy Wolnej Wszechnicy Polskiej. W ten sposób książki przetrwały lata okupacji i po wojnie wróciły do organizujących się na nowo bibliotek polskich. Znacznie gorszy los zgotowali okupanci bibliotekom oświatowym. Książki, jeśli nie zostały od razu spalone, jako makulaturę przewożono do zakładów papierniczych.

Wypożyczalnie sieci miejskiej istniały do stycznia 1940 r. W tym czasie udało się rozprowadzić wiele książek, wydając je zaufanym czytelnikom z pominięciem rejestracji wypożyczeń. Na początku stycznia wypożyczalnie zostały zamknięte, a zatrudnione tam bibliotekarki zwolnione. W kilka tygodni później zlikwidowano je ostatecznie.

Wraz z bibliotekami publicznymi zostały zniszczone księgozbiory prywatne. W pierwszym rzędzie dotyczyło to osób pomordowanych i wysiedlonych z Łodzi. Pozostawione w mieszkaniach książki rekwirowała policja. Jeśli niekiedy ocalały, dzieła zniszczenia dokonywali nowi lokatorzy, paląc książki lub wyrzucając je po prostu na śmietnisko. Administracja niemiecka wydała nakaz ujawnienia wszystkich zbiorów książek i czasopism na terenie miasta, które następnie zostały przejęte i zabezpieczone, co najczęściej oznaczało ich całkowite zniszczenie. Zagładzie uległy zbiory łódzkich bibliofilów, niekiedy bardzo cenne, jak na przykład liczący sześć tysięcy tomów księgozbiór Antoniego Remiszewskiego, zawierający głównie dzieła z dziedziny sztuki, literaturoznawstwa i historii.

Pierwsze miesiące po wyzwoleniu to okres wytężonej pracy nad odbudową stanu posiadania książki polskiej. Stosunkowo nieznacznie zniszczona Łódź stała się na lat kilka centrum życia kulturalnego kraju. Tu znalazły sobie siedzibę liczne instytucje wydawnicze i redakcje czasopism. Otwarte zostały księgarnie i antykwariaty, gdzie na półkach ustawiono znów polskie książki. Bibliotekarze przystąpili do porządkowania księgozbiorów celem jak najszybszego udostępnienia ich szerokim rzeszom czytelników i coraz liczniej przybywającym do Łodzi ludziom nauki, pisarzom, studentom. Podjęto także akcje rejestracji strat i zabezpieczania porzuconych księgozbiorów. Do Łodzi trafiała również książki z ziem zachodnich i wraz z przybywającymi repatriantami ze wschodu.

23 kwietnia 1945 roku uruchomione zostały pierwsze trzy rejonowe wypożyczalnie książek, dając początek całej sieci publicznych bibliotek powszechnych. W maju otworzyła swe podwoje Biblioteka Publiczna. Nowy etap w dziejach książki łódzkiej rozpoczęto od zaprezentowania wystawy pod jakże wymowną wtedy nazwą — „KSIĄŻKA, KTÓRA OCALAŁA".

MAREK CZECHOWSKI

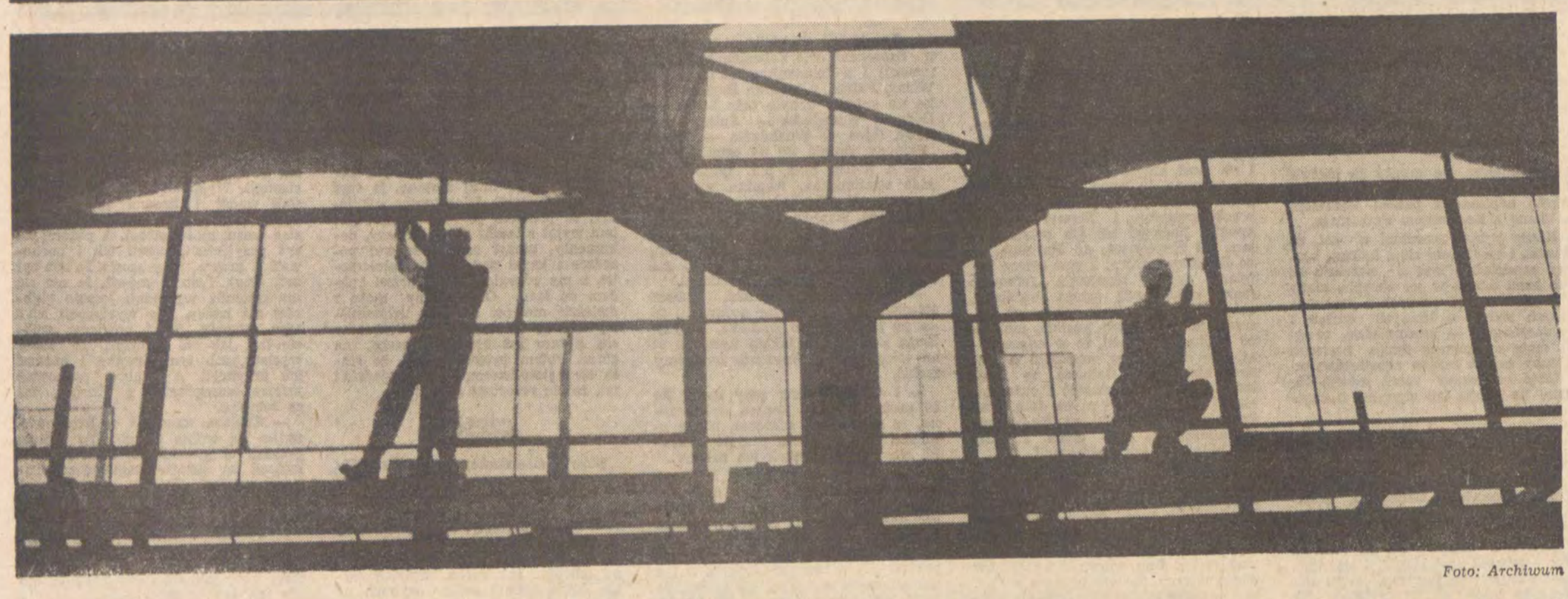

Foto: Archiwum

Gospodarka stanowi wielki organizm, w którym ważne są wszystkie elementy, wszystkie części, i te duże, i te małe. Do niedawna mało mówiło się i pisało o małych zakładach, choć spełniają one ważną rolę. Obecnie coraz częściej zwraca się uwagę i na tę część gospodarki narodowej, postulując rozwój małych przedsiębiorstw. Reportażem „Sojusznik rolnictwa" rozpoczynamy cykl publikacji na ten temat.

EUGENIUSZ IWANICKI

SOJUSZNIK ROLNICTWA

— **Przedsiębiorstwo** — powiada dyrektor **Romuald Srokowski** — **to jak ludzki organizm: wystarczy, że zacznie niedomagać jeden narząd, a od razu człowiek jest do niczego. Podobnie jest z zakładem pracy: dobre funkcjonowanie poszczególnych działów, oddziałów czy biur gwarantuje wysoką wydajność pracy.**

Jestem w **ZAKŁADACH WYTWÓRCZYCH SPRZĘTU ROLNICZEGO** mieszczących się w Łodzi przy ul. Próchnika 1. Choć tak naprawdę, to właściwa ich siedziba znajduje się w **Łasku, Głownie** i **Tomaszowie Mazowieckim.** Bowiem ZWSR to rozrzucone oddziały jednego przedsiębiorstwa z wydzielonymi specjalizacjami kooperujące ze sobą i tworzące organiczną, spójną całość. W starym, nieprzytulnym i niefunkcjonalnym budynku u zbiegu Piotrkowskiej i Próchnika mieszczą się biura dyrekcji. Tu działa „sztab" kierujący tym rozległym zakładem rozsianym na terenie dawnego województwa łódzkiego. Ale widocznie odległość dyrekcji od poszczególnych oddziałów nie stanowi przeszkód, bowiem ZWSR słynie z dobrej organizacji pracy i jeszcze lepszej produkcji.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Zaraz po wojnie, w warunkach niezwykle ciężkich i skomplikowanych, zaczęły powstawać gminne spółdzielnie i ich związki, a także placówki pomocnicze (warsztaty, bazy remontowe itp.). Narodziny zaplecza technicznego dla służby rolnej trwały dość długo i nie były łatwe. Nie istniała jednolita koncepcja, nie był także opracowanych programów działania. A potrzeby rosły. Wraz z odbudową kraju wzrastało zapotrzebowanie na usługi remontowo-naprawcze, na sprzęt gospodarski. Dopiero na początku lat 50-tych powstały w woj. łódzkim Warsztaty Remontowo-Montażowe CRS „Samopomoc Chłopska" i od razu, żeby sprawę skomplikować, przyznano im siedzibę w Skierniewicach. W skład wchodziło 5 warsztatów: poza wspomnianymi już w Łasku, Głownie i Tomaszowie były jeszcze dwa warsztaty w Kutnie i Skierniewicach. Zresztą ta centralizacja ciąży do dziś: Zakłady Wytwórcze Sprzętu Rolniczego, mające swoją siedzibę w Łodzi i dysponujące poważnym zespołem konstrukcyjno-technologicznym, nie mają na miejscu własnej prototypowni, gdzie można byłoby wykonywać prototypy maszyn i urządzeń. Konstruktorzy po dziś dzień jeżdżą z tym do pozałódzkich oddziałów.

Jednakże zaplanowana forma produkcyjno-usługowa powołanych warsztatów remontowo-montażowych nie zdała egzaminu. A więc reorganizacja. Na przestrzeni ćwierćwiecza reorganizacji było wiele, co nie zawsze — jak uczy doświadczenie — przynosi określone korzyści. Ale w tamtych pionierskich czasach nie było gotowych wzorców, socjalistyczny model gospodarowania i zarządzania dopiero się zarysowywał.

Nie ma potrzeby przypominać całej drogi, jaką przebył ZWSR w ciągu tych lat. Rodziły się i upadały koncepcje, powoływano placówki nadając im różne nazwy, rozwiązywano je i reorganizowano na nowo. W dużym stopniu było to podyktowane także dynamiką rozwoju gospodarki rolnej, zwiększającym się ciągle zapotrzebowaniem na platformy konne, gniotowniki torfowe, wózki magazynowe itp. Mimo to był to okres wytężonej pracy, kształtowania się specjalizacji zawodowych, okres poszukiwania najwłaściwszych rozwiązań. Jako ciekawostkę podam, że wszystkie wymienione warsztaty łącznie dysponowały w tamtych latach m.in. dwoma strugarkami do metali, trzema ostrzałkami szlifierskimi, trzema piłami tarczowymi itd. Mimo to na potrzeby rolnictwa woj. łódzkiego wyprodukowano 122 platformy konne o nośności 3 t, 27 gniotowników torfowych, 53 wózki magazynowe różnych typów, około 2000 m siatki ogrodzeniowej...

Rok 1956 był rokiem przełomowym, bowiem zakłady rozpoczęły pracę w nowych warunkach organizacyjnych, obowiązujących do dziś.

PEŁNĄ PARĄ

— **Postęp techniczny** — mówi dyr. ZWSR, mgr inż. **Romuald Srokowski** — **nie pozwolił służbom rolnym pozostać w tyle. Mechanizacja rolnictwa zmusiła do wytężonej pracy zakłady usług rolniczych. Wystarczy porównać dwie cyfry: w 1956 roku wartość produkcji naszych zakładów wynosiła około 8 milionów złotych, a w 1970 już ponad 82 miliony zł.**

Tyle suche cyfry. Kryje się za nimi wiele problemów, decyzji, wytężonej pracy. Zatrudnienie wzrosło prawie trzykrotnie, wydajność pracy — siedmiokrotnie. Przybyło maszyn i urządzeń produkcyjnych, wybudowano nowe hale produkcyjne, magazyny, pomieszczenia socjalne. Niemal od podstaw zbudowano oddział produkcyjny w Głownie, w Łasku wzniesiono nową halę, w Tomaszowie stanął nowy budynek stolarni i stacja transformatorowa. Zaczęto instalować suwnice. Zmienił się także w ciągu tych lat asortyment produkowanych wyrobów: obok tradycyjnych platform i wozów konnych pojawiły się suszarnie do owoców i grzybów, gręplarki do wełny, stoły wibracyjne i formy do produkcji prefabrykatów cementowych (m.in. słynne pustaki alfa), a także zaczęto świadczyć usługi remontu maszyn i sprzętu rolniczego dla gospodarstw rolnych zespołowych i indywidualnych.

Kiedy byłem w oddziale tomaszowskim, rozmawiałem tam z wieloletnim pracownikiem, pamiętającym początki zakładu, ślusarzem brygadzistą, **Czesławem Mazalskim.** Mimo małomówności i wyraźnej tremy w pewnej chwili powiedział:

— **Pracowaliśmy w warunkach niemal prymitywnych: zimno, trociniak nie ogrzewał ogromnej hali, myliśmy się — 20 ludzi — w jednym wiadrze stojącym na placu, błoto na placu takie, że gubiliśmy buty. A i z pracą bywało różnie: zaczynaliśmy od naprawy podstawowych maszyn rolniczych, dziś wykonujemy urządzenia niemal precyzyjne. I gdy tak patrzę na te moje 25 lat spędzonych na tym podwórzu, to chwilami mam wrażenie, że tamto było zupełnie gdzie indziej, jakby w innym świecie. Kraj pognał do przodu pełną parą i my musieliśmy nadążyć.**

AGREGATY, MEBLE, PODNOŚNIKI

19 lat temu opracowano dokumentację pierwszego agregatu do produkcji pasz treściwych. Był to fakt brzemienny w skutki. Od tego momentu, na dobrą sprawę, należy liczyć historię współczesną ZWSR. Były to agregaty typu RAP, produkowane w czterech wersjach, o wydajności dostosowanej do potrzeb gminnych spółdzielni i przedsiębiorstw rolnych. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że rozwiązania konstrukcyjne i technologiczne były dziełem inżynierów i techników z ZWSR. To nowe dziecko cieszyło się powszechnym podziwem i rozsławiało zakłady na cały kraj. Jednak postępująca politechnizacja gospodarki rolnej zmusza do dalszych usprawnień i poszukiwań. I tak rodzi się agregat AMA o wydajności 5 ton paszy w ciągu godziny, o poziomym systemie mieszania. Jest to kolejna rewelacja przynosząca zakładowi wiele pochwał i słów uznania.

Jednocześnie rozpoczęła się specjalizacja oddziału tomaszowskiego: powstają tu typowe, uniwersalne meble sklepowe oraz stoliki i krzesła dla zakładów gastronomicznych. Pomysł był przedni, trafiono w przysłowiową dziesiątkę. Po dziś dzień portfel zamówień jest pełny.

Odwiedziłem oddział ZWSR w Tomaszowie Mazowieckim. Jeszcze w drodze, jadąc z zastępcą dyrektora do spraw techniczn., mgr. inż. **Heliodorem Prasałem,** wypytywałem o szczegóły dotyczące tego znanego w kraju oddziału.

— **Przekona się pan na miejscu** — mówi — **bo nie wypada mi się chwalić, ale to, co tam robimy, nie przynosi nam wstydu. Główna produkcja to lady, regały, gabloty, meble dla gastronomii, asortyment dodatkowy: umywalki wolnostojące, regały magazynowe, oraz konstrukcje stalowe, jak np. wyposażenie mieszalni pasz treściwych. Przygotowaliśmy także nowość, w tej chwili jest wystawiona na Targach Krajowych w Poznaniu. Są to kompletne zestawy mebli do punktów skupu mleka. Dotąd tego typu meble produkowała Wielobranżowa Usługowa Spółdzielnia Pracy, Oddział w Mońkach, ale z jakichś powodów kończą tę produkcję. My zmodyfikowaliśmy nasze zestawy, stworzyliśmy estetyczne i praktyczne komplety. Mogę powiedzieć, że zanim wystawiliśmy je na Targach, otrzymaliśmy już zamówienia na ok. 7 milionów złotych.**

— Mieliście konkretne wzory, czy też prototypy opracował wasz zespół konstrukcyjno-technologiczny?

— **Nasi fachowcy dokonali rekonesansu w punktach skupu mleka, rozmawiali z ludźmi tam pracującymi, zapoznali się bliżej z mleczarstwem. Dlatego nie popełniliśmy błędów i meble od razu zostały zaakceptowane.**

— Z czego składa się taki zestaw mebli?

— **W skład zestawu wchodzą: szafka do prób mleka, stół laboratoryjny, szafa na odzież, pulpit, gablota na sączki oraz druga na ogłoszenia, stół pomocniczy, taboret i podstawa pod mierniki.**

JEDEN Z TRZECH

TOMASZÓW MAZOWIECKI. W czworokącie zamkniętym między ulicami — Warszawską i Główną oraz rzeką Czarną i terenem zajętym przez GS przycupnął oddział ZWSR. Ta ciasnota ujemnie wpływa na dalszy rozwój przedsiębiorstwa. Stare, adaptowane budynki, pomysłowe wprawdzie rozwiązania składania materiałów na placu, ogromne wiaty, ale obok tego sterty złomu i odpadów drewna. Kierownik zakładu mgr **Edward Gońda** bezradnie rozkłada ręce:

— **Gdyby przyznano nam bodaj parę arów, problem ten przestałby istnieć. A w naszej produkcji odpady typu wiórów czy trocin, są nieuniknione. Proszę sobie tylko wyobrazić, że ogólna produkcja tu, w Tomaszowie, liczona w wartości sprzedaży, wyniesie w br. około 60 milionów złotych w samych tylko meblach tradycyjnych. I choć nasze wyroby nie zalegają magazynów, są sprzedawane niejako na pniu, to z usuwaniem odpadów mamy poważne kłopoty.**

Mimo utyskiwań kierownika, oddział sprawia dobre wrażenie. Plac jest uporządkowany, czysty, w halach także jest czysto. Widać, że sprawy higieny traktowane są tu na równi z produkcją.

W czasie mego pobytu w oddziale tomaszowskim ZWSR rozmawiałem z pracownikami z produkcji. Wspomniany już **Czesław Mazalski** spędził tu 25 lat.

— Bywało różnie: naprawialiśmy maszyny rolnicze, potem remontowaliśmy samochody, produkowaliśmy gręple, dystrybutory, zbiorniki, wózki do przewozu pierwszych polskich pralek, wózki transportowe. Nikt natomiast nie myślał o drewnie. A teraz — drewno stanowi podstawowy surowiec. Kiedyś uczono tutaj mnie zawodu, dziś — ja uczę innych. Przeżyłem ponad 20 kierowników, bywało różnie — zdarzały się poważne incydenty. Pamiętam, jak ogień strawił wszystkie maszyny. Kierownik zebrał załogę i mówi: — Od dziś wszyscy macie urlop. A był to marzec, chlapa, zimno. Ludzie zbuntowali się, nie chcieli. Co to za urlop w marcu? I jaka strata w zarobkach! Wspomniałem o tym, bo to był przykład złej organizacji pracy. Dziś — to już przeszłość.

— **Pracuję tu już piąty rok** — — mówi **Janusz Kaczmarczyk,** samodzielny kontroler do spraw jakości, przewodniczący koła ZSMP, działacz społeczny, o którym mówi się, że jeśli jest trudny problem w zakładzie, jeśli potrzeba komuś powierzyć odpowiedzialne zadanie, to od razu wszyscy mówią o Kaczmarczyku. — **Przyszedłem tu z ZPO „Pilica", bo mały zakład przypomina rodzinę. Odpowiadam za to wszystko, co przychodzi do zakładu z kooperacji i za to, co stąd wychodzi. Ale w kontroli trzeba mieć wyczucie. Nieraz wystarczy tylko spojrzeć, by wiedzieć, czy rzecz jest dobra czy posiada usterki. Kiedyś dostarczono nam blachę do produkcji podnośników kubełkowych. Była pofałdowana. A w podnośnikach są duże, gładkie płaszczyzny. Blachy tej w sumie było dwa wagony. A tu trzeba robić podnośniki, bo czekają na nie magazyny zbożowe, mieszalnie pasz. Zaopatrzenie na siłę chciało, abym tę blachę przyjął, twierdząc, że jest dobra. Sprzeciwiłem się. Ciągnęło się to miesiąc. Nie ustąpiłem. W końcu zaopatrzenie zareklamowało blachę, przybył kontroler jakości i uznał moje pretensje. Otrzymaliśmy nową partię dobrej blachy. Mówię o tym, aby podkreślić, że nasz produkt na każdym stanowisku podlega nadzorowi jakościowemu. I stąd tak wysoka ocena naszych wyrobów u odbiorców.**

— **Mam dopiero 18 lat** — mówi stolarz, **Zbigniew Piątek** — **i pracuję tu dopiero od roku. Ja tu fornіruję. Tak naprawdę, to stolarki nauczyłem się tu, a nie w ZSZ w Raciborzu, gdzie skończyłem kierunek stolarski. Dużo zawdzięczam swojemu brygadziście, Janowi Bobrowi. On mnie nauczył pracy przy laminatach. Początkowo miałem duże trudności, ale teraz nie zostaję w tyle za starszymi.**

POPRZECZKA CORAZ WYŻEJ

Ostatnie lata są pod znakiem mieszalni pasz. Dawne agregaty RAP, czy produkowane jeszcze AMA już nie wystarczają. Jedyny producent w kraju tych urządzeń, łódzki ZWSR, dokonał dalszych opracowań modernizacyjno-technologicznych. W oddziale w **Głownie** nadal produkuje się głównie przenośniki ślimakowe do transportu poziomego zbóż, podnośniki czerpakowe do transportu pionowego zbóż, zasobniki na zboża. Natomiast mieszarki do produkcji mieszanek paszowych (AMA, ŁZM i MZP) powstają w **Łasku.** Agregaty te zostały opracowane przez konstruktorów-technologów ZWSR i po przejściu prób oraz zatwierdzeniu przez IMBR (Instytut Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa) weszły do produkcji seryjnej. Agregaty ŁZM są dwukrotnie wydajniejsze od starej AMY, posiadają lepszy stopień wymieszania mieszanek, są mniej energochłonne i dają 10 ton mieszanki w ciągu jednej godziny.

Dotychczas w Polsce nie było agregatów do sporządzania zapraw do mieszanek. W ZWSR konstruktorzy zabrali się do tego rzetelnie — i proszę: mamy agregat MZP o wydajności 2,5 tony na godzinę! I tu, jak poprzednio przy mieszankach, zadecydował rozwój naszego rolnictwa. Zresztą cała produkcja, czy ta z Głowna (dzisiejszy podnośnik jest obliczony na 60 ton) czy ta z Łasku została zdominowana potrzebami ogólnokrajowymi.

Dziś, mówiąc językiem sportowym, w ZWSR w Łodzi myśli się o dalszym podnoszeniu poprzeczki. Dotąd nie ma automatycznego dozowania w mieszalniach pasz, a udział człowieka nie zawsze gwarantuje bezbłędność. Rozwiązania wariantów dozowania zlecono już Ośrodkowi Badawczo-Rozwojowemu „Mera-Poltik" oraz Ośrodkowi Badawczo-Rozwojowemu Technicznej Obsługi Rolnictwa. Należy sądzić, że nowo budowane mieszalnie będą miały zainstalowane automatyczne dozowniki.

Wspomniałem o tegorocznych Targach w Poznaniu. Zupełną nowością jest zaprezentowany tam silos do mąki. W zależności od potrzeb poszczególnych piekarń, będą w przyszłości dostarczane ilości silosów wchodzących w skład jednego kompletu (komplet — to zestaw składający się z zespołu podającego mąkę do silosu, silosy, których może być kilka oraz zespół podający od silosu do dzieży).

Dalszy, główny kierunek działania ZWSR to modernizacja mieszalni pasz, czyli budowa wytwórni o dużych wydajnościach, o zmechanizowanym, a nicdługo zautomatyzowanym procesie produkcji. Będzie to możliwe dzięki dobrej pracy całego kolektywu rozsianego w trzech, odległych co prawda, lecz organicznie związanych ze sobą oddziałów.

RYSZARD BINKOWSKI

KRYPTONIM „RT" (III)

SENSACYJNE ODKRYCIE

1.

Słońce zagląda dyskretnie do długiego i wąskiego jak kiszka, lecz starannie utrzymanego ogródka. Zachęcany przez panią Frontczakową kosztuję agrestu, obskubuję ostatnie owoce poziomek. W oczach gospodyni maluje się jakby pytanie i zdziwienie dziecka, a w cichym głosie brzmi nuta rezygnacji.

— Pan wie, że przez ten siewnik okradał rodzinę? Ale czy mogłam mu się stanowczo przeciwstawić? Przecież w ten sposób mogłabym go nie tylko zniechęcić, ale po prostu załamać. Boję się, że te prace mu zabiorą...

— Ale pani uwierzyła w tę paszę z torfu?

Z nagłym ożywieniem podprowadza mnie do miniaturowego kurnika. Obok, na ziemi znajduje się próbka „RT". Bujna, soczysta roślinność w ciągu dwudziestu dni wyrosła na wysokość około trzydziestu centymetrów. Korzenie jednak przebiły torf i doszły do ziemi, ale i tak zdołały ożywić masę torfową.

— Proszę patrzeć — mówi z egzaltacją Frontczakowa — co się będzie dziać.

Odrywa kawałek podłoża torfowego wraz z wyrosłą na niej roślinnością i wrzuca do kurnika. Dwie nioski karmazyny pożerają to chciwie, najpierw zielone pędy, następnie zaś ciemną masę torfową.

— Ta większa znosi mi trzy jajka.

— Codziennie?

— No, nie! Jednego dnia jedno, drugiego dwa i tak na przemian...

Kręcę z powątpiewaniem głową.

— Nie twierdzę — odzywa się za moimi plecami inżynier Frontczak — że taka „wydajność" spowodowała zadawana pasza. Ale muszę panu powiedzieć, że karmiono nią brojlery w Wiskitnie. Przyrost wagowy był imponujący. Najpierw oczywiście, wypróbowałem to na własnym podwórku, mam na ten temat szczegółowe zapiski. Otóż przy karmieniu moją paszą stadka pięciu kur koszty hodowli w ciągu trzech miesięcy były niższe o 152 zł w porównaniu z kosztami utrzymania podobnego stada na paszy tradycyjnej...

Pokusiłem się o szybkie przeliczenie. Utrzymanie jednej kury w ciągu miesiąca niższe o 10 złotych. Jeżeli ferma liczy tysiąc sztuk, to byłoby już dziesięć tysięcy złotych...

Zagłębiony w rachunkach nie zauważyłem, że Frontczak zaprowadził mnie na werandę.

— Tutaj się to wszystko zaczęło — oświadczył z humorem. — Żona patrzyła jak na wariata, ale ja byłem uparty. Pierwsze próbki suszyłem na kaloryferach.

— Miał pan pewność, że gra jest warta świeczki?

— Kiedy już wpadłem na pomysł, wysłałem pismo do Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach z prośbą o analizę zawartości chemicznej torfu bełchatowskiego. Muszę się panu przyznać, że pojechałem za Bełchatów jeszcze zimą i rękami wydrapałem bryłki torfu spod śniegu...

— Odpowiedź z instytutu zadowoliła pana?

— Jasne! W litrze torfu znajduje się 32 mg fosforu, 10 mg potasu, 62 mg azotu i 960 mg wapnia. Te dane upewniły mnie, że będę w stanie „ożywić" torf tak, aby stał się strawny dla zwierzęcych żołądków. Uwierzyłem, że wyprodukuję nową paszę, mieszankę roślinno-torfową, którą nazwałem w skrócie „RT".

— Nie mógł pan jednak znać wartości tej paszy — stwierdzam sceptycznie.

— Słusznie. Potrzeba na to wielu badań i analiz. Ale mam już wstępne wyniki...

Jego piwne, wyblakłe oczy jakby pociemniały z zadowolenia.

— Próbki mieszanek zbadano dokładnie w Okręgowej Stacji Chemiczno-Rolniczej w Łodzi. Okazało się, że „RT" zawiera 84—87 proc. suchej masy, 11—16 surowego włókna i od 8 do 12 proc. białka!

Ostatnie słowa niemal wykrzyknął. Trudno mu się dziwić. Dla laika to nic nie znaczy, ale każdy rolnik uzna, że taka właśnie zawartość posiada najlepsze siano!

— Jak pan do tego doszedł? — zapytałem po chwili oszołomienia.

— To było zupełnie proste...

Czasem najprostsze rozwiązania okazują się genialne...

Foto: W. Paryś

2.

Dokonanie inż. Frontczaka śmiało można nazwać odkryciem. Bo torf był, tylko nikt na świecie nie wpadł na pomysł, że może być jadalny. Ale doprowadzenie go do stanu „jadalności" trzeba nazwać wynalazkiem.

Okazuje się, że stare, wielokrotnie sprawdzone porzekadło iż potrzeba jest matką wynalazków, potwierdziło się raz jeszcze. Słysząc nawoływania partii i rządu o potrzebie zwiększenia hodowli i konieczności wzrostu produkcji mięsa oraz znając trudności w zaopatrzeniu z autopsji (sam stał w kolejkach u rzeźnika) Frontczak zaczął się zastanawiać, jak wyjść z tej trudnej sytuacji.

Kiedy zakończył prace w Wojewódzkiej Stacji Chemiczno-Rolniczej i przeszedł na zasłużoną emeryturę, miał sporo wolnego czasu, a natura wynalazcy nie pozwala mu na bezczynność. Tutaj, na werandzie, w spokoju i ciszy, zaświtała mu myśl, która może zrewolucjonizować gospodarkę paszową.

Przypomniał sobie dawno oglądany film z dalekiej północy... Zwierzęta odgrzebywały śnieg i ziadały resztki roślin wraz z ziemią...

— Zacząłem się zastanawiać — mówi z podnieceniem — czy torf może stać się składnikiem paszy. Wyszedłem z założenia, że jeśli torf jest masą organiczną, która powstała przed tysiącami lat z bujnej roślinności, to chyba powinien do dziś zachować wartość pokarmową dla zwierząt.

— Bo dla roślin — wtrąciłem — zachowały się te wartości. Bełchatowskim torfem użyźnia się już piaszczyste ziemie, a w Instytucie Warzywnictwa w Skierniewicach rosną na nim ogórki na pół metra i ogromne głowy kapusty.

— Otóż to! — podchwytuje skwapliwie. — Ale za moim domysłem przemawiał jeszcze jeden argument. Przecież nakładanie się warstwami roślinności było niczym innym, jak dokonywanym w sposób naturalny przez przyrodę... silosowaniem. Pokłady torfu to naturalne zbiorniki silosowe!

Torf ogrodniczy, skażony i wyjałowiony, nie nadaje się na paszę. Ale torf bełchatowski, szczególnie tzw. wysoki, to szczątki roślin, które przed setkami lat rosły na ziemi. Należało je tylko ożywić, i to nie chemicznie, ale w sposób zupełnie naturalny. Stanisław Frontczak doszedł do wniosku, iż można tego dokonać przy pomocy żywych roślin. Ich łodygi i korzenie powinny wprowadzić do torfu życie.

No, i jak już napisaliśmy wyżej, inż. Frontczak ożywił torf...

3.

Proces „ożywienia" rozwiązał technologią żywych organizmów, roślin i drobnoustrojów w sposób następujący: do masy torfowej dodał ziarna i nasiona roślin takich jak seradela, bobik, owies, peluszka, lucerna, jęczmień itp. Następnie wymieszane z torfem rozkłada w warstwie grubości 10—15 cm na twardym podłożu, najlepiej na folii, ale może też być na papie lub betonie. Można też najpierw rozłożyć warstwę torfu, a następnie wsiać nasiona.

— Może wyjaśnimy, dlaczego robi się to na twardym, nieprzepuszczalnym podłożu?

— Proszę bardzo! Otóż w warunkach kiełkowania należy za wszelką cenę powstrzymać ucieczkę korzeni w głąb ziemi. W ten sposób zmuszamy je do szukania pokarmów tylko w warstwie torfu. Jeżeli teraz te warstwę będziemy systematycznie nawilżać to wysoka wartość próchnicy torfowej spowoduje, że w niezmiernie szybkim tempie zakiełkują nasiona i rozwiną się ich systemy korzeniowe. Po 20—25 dniach wysokość roślin sięga 30 centymetrów. Działanie wydzielin korzeniowych wraz z rozwojem i współdziałaniem mikroorganizmów uruchamiają składniki mineralne i organiczne materii torfowej...

A więc, jak stwierdza Frontczak, skomplikowane procesy biochemiczne wykonuje tu precyzyjne „laboratorium żywych organizmów roślin i drobnoustrojów" przetwarzając martwe organizmy roślin i inne substancje mineralno-organiczne zmagazynowane w złożach torfowych na zielone żywe organizmy.

Torf sprzed wieków zostaje ożywiony i biologicznie przeistoczony.

Po trzydziestu dniach zdejmuje go się z podłoża wraz z wyrosłą roślinnością, tnie drobno i z dodatkiem uzupełniającego komponenta podaje zwierzętom jako pełnowartościową paszę.

Mieszankę „RT" można zbierać 6 razy w roku, od wiosny do jesieni, a w pomieszczeniach ogrzewanych da się ją zebrać nawet zimą.

Można ją skarmiać „na świeżo", można ciąć i suszyć, przerabiać na granulki i mączkę paszową i skarmiać zimą. Jedzą ją nie tylko przeżuwacze, ale również świnie, kury, kaczki, gęsi i indyki.

Frontczak wyliczył dokładnie, że gdyby uruchomić produkcję „RT" tuż przy złożach torfowych, to koszt wyprodukowania 1 kg wyniósłby 12 groszy.

Na hektarze warstwy torfowej wysiewa się około 500 kg nasion.

Zbiera się 1.000 ton paszy „RT".

Przy 6-krotnym zbiorze daje to 6.000 ton z hektara.

Z hektara zbiera się 60 ton kukurydzy.

To porównanie powinno zdumieć i zbulwersować nawet laika.

Jeśli dodać że „RT" można produkować na nieużytkach, sprawa nabiera niebagatelnej miary. Któż by przewidział, że z jednego hektara nieużytku można zebrać tyle samo, co ze 100 ha wysokiej klasy ziemi obsianej kukurydzą, która pod względem zielonej masy jest jedną z najwydajniejszych roślin.

W kraju mamy bogate złoża torfu. Powstała specjalna komisja państwowa, która głowi się, jak zagospodarować olbrzymie hałdy bełchatowskiego torfu.

Świat również jest bogaty w torfy.

Otwiera się wspaniała perspektywa ich wykorzystywania.

Ale czy na pewno będą mogły być wykorzystane?

Jak fantastyczne odkrycie Frontczaka sprawdzi się w praktyce? A może już się sprawdza?

O tym za tydzień.

60 lat KIW

320 MILIONÓW

W minionym 60-leciu Wydawnictwa **„Książka i Wiedza"** ukazało się nakładem tej oficyny 320 milionów egzemplarzy 10 tysięcy tytułów książek. Wprawdzie Wydawnictwo „Książka i Wiedza" w swoim obecnym kształcie powstało **20 listopada 1948 roku**, a od 1973 roku wchodzi w skład **Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch"**, ale tradycją swoją nawiązuje ono do **„Książki"** i **„Księgarni Robotniczej"**.

„Książka" powstała w grudniu 1918 roku jako księgarnia mająca też charakter antykwariatu. Właśnie w grudniu 1918 roku wydała katalog 143 książek, które posiadała na składzie. Było to jej pierwsze wydawnictwo. Jej głównym celem było rozprowadzanie literatury polityczno-społecznej, w tym marksistowskiej. Kiedy zapas posiadanych książek wyczerpał się, „Książka" rozpoczęła działalność wydawniczą. Wydała wtedy między innymi **„Imperializm jako najnowszy etap rozwoju kapitalizmu" Włodzimierza I. Lenina.** Książkę tę sygnowano jednak inicjałami „W. I.". W 1921 roku wydawnictwo staje się **Spółdzielnią Księgarską „Książka"** i przechodzi pod kierownictwo Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. W „Książce" działali wówczas między innymi **Antonina Sokolicz, Maria Orsetti, Jan Hempel, Jerzy Ryng.** W 1929 r. „Książka" została zlikwidowana przez władze państwowe.

Od 1920 roku rozpoczęła swoją działalność centralna instytucja wydawnicza Polskiej Partii Socjalistycznej **„Księgarnia Robotnicza"**, która działała nieprzerwanie do 1939 roku, która wydawała również literaturę polityczno-społeczną, w tym publicystykę i dzieła Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. W 1937 roku „Księgarnia Robotnicza" przyszła z pomocą **„Księgarni i Wydawnictwu z ograniczoną odpowiedzialnością „TOM"**, wykupując literaturę marksistowską wydaną przez to wydawnictwo. Wydawnictwo „TOM" powstało w styczniu 1931 roku w miejsce zlikwidowanej „Książki", a kierowali nim **Antonina Sokolicz** i **Jan Hempel.** Zlikwidowano je w 1937 r.

Po wojnie obie partie robotnicze podjęły działalność wydawniczą, PPR poprzez **Spółdzielnię Wydawniczą „Książka"**, a PPS poprzez **Spółdzielnię Wydawniczą „Wiedza".** W listopadzie 1948 roku połączenie obu tych spółdzielni dało **„Książkę i Wiedzę".**

Powojenna działalność obu wydawnictw partyjnych odegrała w dziejach kultury polskiej ogromną rolę. Popularyzowały nie tylko literaturę marksistowską, wiedzę o Związku Radzieckim, ale przyczyniły się wraz z innymi wydawnictwami do nadrobienia strat, jakie polskiej kulturze zadali okupanci niszcząc między innymi polskie biblioteki i polskie książki. „Książka" do 1948 roku wydała w masowych nakładach 400 dzieł pisarzy polskich i obcych. Działalność tę kontynuowała później „Książka i Wiedza". W 1950 roku na przykład wydała 907 tytułów o nakładzie 35,5 miliona egzemplarzy.

„Książka i Wiedza" — wierna swym tradycjom — jest czołowym polskim wydawnictwem, które dostarcza nieprzerwanie na rynek księgarski literaturę społeczno-polityczną, książki filozofów, literaturę marksistowską, partyjną, reportaże i literaturę piękną polskich i zagranicznych pisarzy. To właśnie „Książka i Wiedza" dostarcza na rynek księgarski dzieła klasyków marksizmu. Wydała do tej pory pełną edycję **„Dzieł" Włodzimierza I. Lenina,** kończy edycję 39 tomów **„Dzieł" Karola Marksa** i **Fryderyka Engelsa,** które zostaną uzupełnione 10-tomowym dodatkiem listów i notatek obu klasyków marksizmu. Do tej pory „KiW" wydała dwudziestokrotnie „Manifest komunistyczny".

„Książka i Wiedza" zajmuje się publikacjami materiałów partyjnych, publikuje materiały ze zjazdów i plenarnych posiedzeń KC PZPR oraz materiały ze zjazdów innych partii komunistycznych i robotniczych. Wydaje też liczne cygle, będące popularyzacją historii myśli społecznej, filozofii i marksizmu. Nakładem „KiW" ukazuje się **„Biblioteka Myśli Socjalistycznej", „Biblioteka Studiów nad Marksizmem", „Biblioteka Klasyków Marksizmu-Leninizmu".** W przygotowaniu jest edycja 30-tomowej **„Biblioteki Rewolucyjnego i Marksistowskiego Nurtu Polskiej Myśli Socjalistycznej"**, w której między innymi ukażą się prace Edwarda Dembowskiego, Henryka Kamieńskiego, Juliana Marchlewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego. „KiW" wydaje też materiały do szkolenia partyjnego.

Nie sposób wymienić wszystkich inicjatyw edytorskich „Książki i Wiedzy". Zajmuje się ona bowiem publikacją prac polskich filozofów, socjologów, historyków, publikuje prace publicystów i reporterów, pamiętniki oraz literaturę piękną. Dzięki „Książce i Wiedzy" polski czytelnik ma możność zapoznawania się z ciekawszymi publikacjami zagranicznych filozofów, teoretyków marksizmu, działaczy partyjnych, przywódców bratnich partii. „KiW" współpracuje z instytutami naukowymi, a między innymi z Wyższą Szkołą Nauk Społecznych. W swoich pracach opiera się na rezultatach badań filozoficznych, historycznych i socjologicznych, publikując prace zbiorowe polskich naukowców, jak też poszczególnych autorów, a także materiały z różnych naukowych spotkań, konferencji i zjazdów.

W kręgu zainteresowań „KiW" znajduje się też reportaż zagraniczny i krajowy. „Książka i Wiedza" wydaje między innymi serie: **„Kolekcja Literatury o Krajach Socjalistycznych", „Zachód z bliska"** i **„Kontynenty".** Wydaje też encyklopedie i warto tu podkreślić, że nakładem „KiW" ukazała się **„Encyklopedia organizacji międzynarodowych", „Partie komunistyczne i robotnicze. Zarys encyklopedyczny"** oraz dwutomowy podręcznik: **„Międzynarodowy ruch robotniczy".**

L.W.

TOMASZ SOLDENHOFF

WIELKA GRA (3)

W czterech skromnych, odbitych na powielaczu kartkach, które podsunął mi dyrektor Wydziału Rolnictwa, streszcza się cała „wielka gra", która była udziałem tysięcy. Niebieskie rządki cyfr tłumią wprawdzie dramatyzm, a oschły język znużyć może już po pierwszej stronie... Lecz właśnie z tych liczb i procentów, zestawień i wyliczeń wygląda, najprawdziwszy, ścisły, wymierzalny obraz żniw. Bez patosu, o który zatrąca widok chłopów w watowanych kurtkach idących z kosami przez mokre łany, albo na wozach, w strugach deszczu transportujących przykryte folią ziarno... I choć może nie zabrzmi to popularnie ani efektownie, ale to suche sprawozdanie budzi szacunek. Dla liczb które nie kłamią.

Kiedy 7 września, na trzy dni przed Centralnymi Dożynkami, czytam podpisaną przez wojewodę „Ocenę przebiegu akcji żniwnej w 1978 roku", w dziewiętnastu gminach województwa piotrkowskiego żniwa jeszcze trwają.

Trwają w zachodniej części województwa, gdzie gleby są cięższe, gdzie żniwa rozpoczęły się tydzień później niż na wschodzie. W wielu miejscach trzeba było wstrzymywać prace: gleba rozmokła, a ziarno i słoma tonęły w wilgoci. Tu właśnie, do Poświętnej i Wolborza, Lgoty Wielkiej i Masłowicy, Moszczenicy, Kodrębu i Tuszyna poprzerzucano „Bizony"... Siódmego września do skoszenia pozostał wprawdzie tylko jeden procent wszystkich zbóż (głównie pszenica i owies), ale sytuacja na polach powstrzymywała entuzjazm. Wiadomo: nie wystarczy skosić. Problemem staje się dopiero to, co dalej.

Żniwa w województwie piotrkowskim można uznać na tyle za typowe, że ujawniły one bodaj wszystkie **słabe i mocne strony technicznej obsługi rolnictwa.** Objeżdżając tereny na których wciąż jeszcze toczyła się „wielka gra" (był to czwartek i w wypadku dobrej pogody miała ona potrwać do niedzieli), i słuchając gospodarzy odniosłem wrażenie, że nie wszyscy partnerzy rolników przystąpili do tej gry z jednakowo silnymi kartami, a sama kampania obnażyła do końca ich faktyczną wartość. Pokazała, jakie kto ma w ręku atuty.

— — —

Z wypowiedzi dyrektora Wydziału Rolnego i Gospodarki Żywnościowej Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie **Zbigniewa Janeckiego:**

— Czynnikiem, który poważnie hamował tegoroczną akcję żniwną były magazyny i suszarnie. Limitowały one praktycznie pracę kombajnów. Przed dwoma laty skupiliśmy w ciągu całego roku 32 tys. ton ziarna. W tym roku, przy nie zmienionej bazie magazynowej, już we wrześniu przekroczyliśmy znacznie liczby z lat poprzednich! Przyczyny są dwie: wyższe plony i większy udział kombajnów (o 35 sztuk) w akcji, który przyśpieszył dostawy ziarna do magazynów (kombajny mogą zbierać ziarno wilgotne). Ale baza GS i PZZ nie jest do tego postępu przygotowana...

Liczby pokazują dokładnie w czym rzecz. Otóż całkowita pojemność magazynów Gminnej Spółdzielni i Państwowych Zakładów Zbożowo-Młynarskich wynosi łącznie 35,8 tys. ton. Ale pojemność ta jest w pełni wykorzystana tylko przy suchym zbożu. Wilgotność ziarna spod kombajnu waha się w granicach od 23 do 35 procent. Jeśli podda się to ziarno trzykrotnemu suszeniu (a tyle ono wymaga), pojemność magazynów PZZ, obliczana na 24,8 tys. ton, praktycznie zmniejsza się o połowę.

Idźmy dalej. Średnia dzienna zdolność przyjęcia zbóż do magazynów PZZ wynosi 1.600 ton. Moc przerobowa suszarń PZZ w ciągu doby (na 3 zmiany) — 1.440 ton. W ciągu jednego suszenia zboże traci zaledwie 3 procent wilgoci. Ponieważ musi być ono suszone parokrotnie, moc suszarnicza PZZ obniża się do około 500 ton dziennie.

Jakie są tego stanu konsekwencje? Trzeba wyłączać, niektóre magazyny z akcji skupu, przeznaczając je na dosuszanie mokrego zboża (magazyn PZZ w Kiełczówce).

Trzeba także szukać zrozumienia u odleglejszych partnerów. 5 tysięcy ton zboża z piotrkowskiego przyjął z magazynów PZZ elewator w Dobroszycach — na mocy porozumienia władz wojewódzkich z łódzkim Przedsiębiorstwem Paszowym „Bacutil".

Foto: W. Parys

Ale są to tylko półśrodki, zważywszy, że piotrkowskie magazyny, jak gdyby nie dość jeszcze obciążone ziarnem z własnego regionu, muszą przyjmować zboże z częstochowskiego i skierniewiekiego! Fakt ten pokazuje, że kłopoty piotrkowian wychodzą poza opłotki województwa, a problem nie jest wcale lokalny.

Jakie są skutki spiętrzenia dostaw zbóż i dostaw ziarna spod kombajnów do PZZ-owskich magazynów i suszarń, przekonałem się, słuchając opowiadania dyr. Z. Janeckiego, a także **Marii Dróżdż** z zarządu Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Rusocinach, w gminie Grabica.

Dyrektor sięga po notatki i czyta... — W nocy z 6 na 7 września magazyn PZZ w Mzurkach pracował do trzeciej rano, a i tak zostało jeszcze 14 nie rozładowanych ciągników. Magazyn w Radomsku odbierał zboże do piątej rano, w Tomaszowie — do północy...

A Maria Dróżdż doda później:

— Ciągnik, który do magazynu w Mzurkach wyjechał wczoraj, wróci dopiero dziś po południu... Zdarzało się, że ciągniki nie wracały i przez dwa dni... Chcemy kosić, ale nie ma gdzie sypać ziarna, bo zabrakło przyczep. Dziś jeszcze możemy sypać do spichrza, a co będzie jutro...?

Oglądałem magazyn tej gospodarującej na 320 hektarach, młodej jeszcze, dwuletniej spółdzielni... Pod jednym dachem, na dwóch piętrach: pszenica siewna w workach, a obok w piramidach, lecz niczym nie przedzielone leżą ziarna pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa, tak że można brać poglądową lekcję rozróżniania odmian zboża.

Owies, którego magazyny w Mzurkach i Piotrkowie nie skupują, ładuje się tu wprost do piwnicy. Pod wiatą czeka wypełniona ziarnem i przykryta plandeką przyczepa. Dopiero, gdy od pracującego na tyłach spółdzielni kombajnu przyjedzie ciągnik z drugą, pełną już przyczepą, obie ruszą w kolejną i nie wiedzieć jak długą podróż do magazynu w Mzurkach.

Mzurki nie są zresztą wyjątkiem. Po trzy do dwunastu godzin stoją pojazdy ze zbożem przed magazynami w Radomsku i Tomaszowie. Nieraz te z poprzedniego dnia rozładowuje się w dniu następnym. Cóż z tego, że w tym roku zapewniono nawet dość rąk do wyładunku? — Suszarń mało, a w dodatku nie wszystkie są dobrze wykorzystywane — mówi dyr. Janecki — Dlaczego? Bo zdarza się, że nawet jeśli postawiono na żniwa drugą suszarnię, to nie zdążono wybudować dla niej sieci energetycznej... Niby więc są dwie suszarnie, które powinny pracować równocześnie. A z braku energii pracują na zmianę. W programie **Przedsiębiorstwa Państwowych Zakładów Zbożowych w Łodzi** musi przed przyszłymi żniwami znaleźć się rekonstrukcja i odbudowa sieci energetycznej trafostacji...

Wszystko jednak wskazuje na to, że w 1979 roku sytuacja z magazynami i suszarniami w województwie piotrkowskim miast polepszyć się, będzie gorsza. W tej chwili pojemność PZZ-owskich magazynów waha się od półtora tysiąca do sześciu tysięcy ton. W ciągu paru lat nie wybudowano w tym regionie ani jednej dużej suszarni... Tymczasem przydałby się wręcz elewator, taki jaki opisywany w poprzednim odcinku naszej relacji magazyn-suszarnia w Rogowie, mogący skupić na dobę 600 ton ziarna.

Nie ma jednak budowy takiego elewatora w Piortkowskiem w planach na najbliższą pięciolatkę. Ciekawe, jakie stanowisko zajmują wobec tej sprawy łódzkie PZZ?

— — —

Jeżeli, mimo wysiłków załóg magazynów i suszarń, przechowalnictwo zboża musi budzić w Piotrkowskiem, i nie tylko tam, zrozumiały niepokój, to sojusznikiem, na którego — jak się to latoś okazało — można coraz bardziej liczyć, jest techniczna obsługa rolnictwa: czołówki i warsztaty Spółdzielczych Kółek Rolniczych i Państwowych Ośrodków Maszynowych.

Tego lata w województwie piotrkowskim wyszło na pola 221 kombajnów (o 35 więcej niż w 1977 roku), przy pomocy których zamierzano skosić 15 procent powierzchni zbóż (w porównaniu z pięcioma procentami w 1975 roku).

„Bizony" budzą coraz większe zaufanie i u kogo już choćby raz w życiu kosił kombajn, tego trudno jest przerzucić na inny sprzęt żniwny. A jednak wciąż jeszcze nie da się obejść bez kosiarki czy nawet kosy. I to nawet tam, gdzie — jak choćby w gminie Grabica — siła maszyn przewyższa powierzchnię zbóż do skoszenia.

Jedyny wariant na zboża wyłożone i zwichrzone, to — zwłaszcza na małych poletkach — wciąż jeszcze kosy i kosiarki. Według „wariantu na złą pogodę", jak to określił zastępca dyrektora do spraw technicznych SKR w Grabicy **Stanisław Szczypkowski,** pracowały zresztą również i kombajny (przed żniwami ustalono bowiem dwa różne harmonogramy). Nie ustrzegły się one jednak przed licznymi awariami. W całym województwie piotrkowskim do 5 września zanotowano ich 502. Znaczy to, że niemal każdy „Bizon" uległ awarii dwa razy. Ale tylko 18 awarii (a 47 na ogólną liczbę 2346 zanotowanych przerw w pracy wszystkich cięższych maszyn żniwnych) usuwano dłużej niż dobę. I tylko w najgorszych wypadkach uciekano się do pomocy producenta.

Zaopatrzenie w części zamienne wciąż pozostawia wiele do życzenia. Przykład SKR Grabicy pokazuje jednak jak można zabezpieczyć się przed nasilającym się podczas akcji żniwnej brakiem części zamiennych. — Już zimą ściągaliśmy części skąd się tylko da — powiedział mi dyr. S. Szczypkowski. — Zawsze bowiem staramy się robić pewien zapas odpowiednio wcześniej. W tym roku nawet piotrkowski POM, pełniący funkcje koordynatora, wspomogliśmy częściami do pras zbierających. Nadal bardzo źle jest tylko z częściami do kosiarek rotacyjnych. Jednej z nich nie możemy naprawić już od trzech miesięcy...

— — —

W sobotę — dzień przed Dożynkami — w całej Polsce było jeszcze około 500 tys. ha zbóż, czyli niespełna siedem procent do ścięcia, a na około 700 tys. ha (9 proc.) stały snopy. Mimo świątecznego dnia i w niedzielę rolnicy wyszli na pola. Pogoda wciąż nie sprzyjała, trzeba było przyśpieszać cięcie zbóż i omłoty, aby nie dopuścić do porastania kłosów.

Ale w województwie piotrkowskim — podobnie jak w całym centralnym pasie kraju — żniwa dobiegały końca.

Dla piotrkowskiego rok 1978 był dużo łaskawszy niż dwa poprzednie lata. Na przykład szacuje, się, że zasoby pasz będą tu o 20 proc. większe niż w roku ubiegłym. Pięknie wypadł jęczmień ozimy, uprawiany na razie na 1.100 ha. Dał on przeciętnie 4—5 kwintali więcej ziarna z hektara niż żyto. Może być stosowany na gorszych glebach, a „schodząc" z pól jeszcze przed rzepakiem, rozładowuje korzystnie żniwny szczyt.

Dopisały również — zasygnalizujmy — plony ziemniaczane wczesnych odmian. Spora wilgotność utrzymująca się i niska temperatura powinny być jednak ostrzeżeniem, iż czas rozpoczynać wykopki. Zwłaszcza, że na niektórych terenach atakuje już zaraza ziemniaczana...

Prawdziwym paradoksem tegorocznej akcji żniwnej jest to, że — choć już dość wcześnie było wiadomo, iż ziemia da dobry, wyższy niż poprzednio plon — walka o jego ocalenie trwała niemal w nieskończoność, niemal ponad ludzkie siły, tak jak w Piotrkowskiem, gdzie dwutygodniowe opóźnienie z jakim zaczęto żniwa, w ciągu kampanii wzrosło o następne dwa tygodnie...

I dziś — kiedy to, co się już udało wyszarpnąć, „ukraść" pogodzie i ocalić z wilgoci spoczywa pod dachem — nie jest przecież jednak jeszcze dane nikomu odpocząć...

CO NAM DAŁ FESTIWAL...

Rozmowa z HALINĄ OLEJNICZAK – przewodniczącą Komisji Kultury Zarządu Łódzkiego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich

— Pozwól, że zamiast zasypać cię liczbami ze sprawozdań, podzielę się raczej paroma uwagami i refleksjami. Na temat VI Festiwalu Kultury Studentów PRL (zakończenie tego roku kulturalnego planowane jest w drugiej połowie października 1978), a także na temat tego, co — jako łódzka organizacja — chcielibyśmy zdziałać w najbliższej przyszłości, a co stanowi kontynuację festiwalowych, całorocznych doświadczeń. Można by oczywiście „załatwić" rozmowę statystyką, z której wynikałoby, ile to podjęliśmy przedsięwzięć, ile zorganizowaliśmy imprez: konkursów, przeglądów i giełd, dla ilu uczestników, ile rozdaliśmy wyróżnień i nagród etc., niemniej wolałabym uchylić się od tego: statystyki są u nas jeszcze niezbyt imponujące...

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo rzeczywiście są one niezbyt imponujące w stosunku do tego, ile się proponuje studentom w innych środowiskach. Więc jest za wcześnie, by się — wobec nich zwłaszcza — chwalić. Po drugie, nie chciałabym zamieniać rozmowy na sprawozdanie... W końcu uważam, ale jest to już mój zupełnie prywatny pogląd, że kultura w ogóle, a już z pewnością kultura studencka nie powinna być rozliczana z ilości konkursów i festiwali... A odpowiadając wprost na twoje pytanie... Czy w skali naszego, łódzkiego środowiska dorobek VI Festiwalu jest niewielki? Nie, tak chyba nie można powiedzieć. Pomysłów nie brakowało, ludzi także nie. W tej chwili działa w Łodzi 10 grup teatralnych, 7 kabaretów, 2 chóry, Akademicki Ośrodek Kultury z pracownią fotograficzną, grupą filmologów, literatów, plastyków, Studio Piosenki, wiele klubów, spośród których ogólnopolskie laury zbiera ostatnio przede wszystkim Klub UŁ „Na Piętrze". Naszym obowiązkiem i celem jest przechwytywanie wszystkich godnych uwagi inicjatyw.

Czy VI Festiwal Kultury Studentów przybliżył was do tego celu?

— Na pewno. Zacznę od stwierdzenia, że idee Festiwalu potraktowaliśmy zarówno jako pewien punkt wyjścia, jak i propozycję modelu funkcjonowania kultury studenckiej — w sensie struktury organizacyjnej, konkretnych metod, akcji i środków. Pod tym względem idee Festiwalu są niemal doskonałe. Festiwal umiejscowił również kulturę studencką w społecznym kontekście.

— A czym był dla twojego środowiska?

— Festiwal stworzył nam pole do obserwacji środowiska. Jego działań. Dzięki Festiwalowi dorobiliśmy się kadry działaczy. Dla nich rok ten był wprowadzeniem do pracy i sprawdzianem zarazem. Tym trudniejszym, że pracę przewodniczącej zaczęłam od redukcji swojej komisji. Zostali tylko ci, którzy naprawdę mieli i mają coś do powiedzenia.

— I sprawdzili się?

— Tak. Mamy teraz grono ludzi naprawdę kompetentnych. Stopniowo też chyba udaje się nam przełamywać mocno zakorzeniony pogląd, że aktyw jest do rządzenia, a nie do pomocy. Gdybyż jeszcze nasi działacze mieli świadomość, że ich praca jest na uczelniach doceniana...

— Wspomniałaś już o sprawie mecenatu nad młodą twórczością artystyczną. Jak widzisz jego rolę?

— W czasie VI Festiwalu ramy organizacyjne dla mecenatu stworzyła przede wszystkim akcja „Debiuty", realizowana pod hasłem „Pokolenie, które wstępuje". W łódzkim środowisku objęliśmy tą akcją twórców wielu dziedzin. Naszym zdaniem bowiem mecenat nie polega na pielęgnowaniu jednej, wybranej dziedziny. Inną cechą ożywienia ruchu debiutów była w łódzkim środowisku masowość. U progu roku akademickiego 1977/78 naliczyliśmy 15 studenckich zespołów teatralnych. To chyba o czymś świadczy, nawet jeżeli połowa z nich to efemerydy...

— ...których, powiedzmy sobie szczerze, czasem jednak szkoda. Akademicki Ośrodek Kultury nie jest w stanie pomieścić wszystkich. Ale brak bazy to chyba nie jedyna przyczyna. Czy myślicie nad tym, by jakoś zaradzić tej efemeryczności?

— Efemeryczność jest w pewnym sensie zjawiskiem naturalnym w kulturze studenckiej. Może dlatego

Dalszy ciąg ze str. 1

Sezonowiec I JEGO LUDZIE

Foto: W. Parys

DRUGI KROK

Następnie zaczął robić drukowane kolorowo torby z folii. Wówczas była to nowość. Z sopockich zakładów kombinował całe bębny foliowego „rękawa". Uruchomił kilka spawarek, drukarki. Oczywiście nielegalnie. Bo tylko tak się robi „wielki szmal". Bez koncesji, bez podatków, bez czułej opieki wydziału finansowego. Robił więc te torby. „Opylał" przy pomocy armii handlarek, jak przedtem sprężyny. Na tym interesie zarobił prawie 300 tysięcy!

Wiosną zapanowała nagle moda na góralskie kierpce. Na ulicach można było spotkać pierwszych pojedynczych sprzedawców owych kapci, autentycznych górali. Sezonowiec wyczuł natychmiast duża forsę. Zaczął sprowadzać z Podkarpacia kierpce, hurtem. Wciągnięci do interesu gazdowie pracowali bez wytchnienia. Sezonowiec rzucił na rynek tysiące tych rzemiennych chodaków. Niemal w całym kraju sprzedawał je za pośrednictwem handlarek i armii poznańskich chłopaków ucharakteryzowanych na „górali". Od takich „górali" ludzie brali towar chętniej, bo niby z pierwszej ręki. To był pierwszy wielki interes Sezonowca. Duży zysk, po stówie na parze łapci!

Latem Sezonowiec zalał Wybrzeże i wszystkie chyba wczasowiska płócienny mi, kolorowymi czapkami plażowymi, szytymi przez rzeszę chałupników, z odpadów przemysłowych, które można było kupić za grosze, albo i niekiedy dostać zupełnie darmo. W tym interesie Sezonowiec współpracował z Januszem G. ze Zgierza, późniejszym potentatem gastronomicznym, który aktualnie odsiaduje parę lat „wczasów państwowych" za machlojki z goframi.

PIERWSZY MILION

Do jesieni Sezonowiec uciułał równy milion! Pierwszy milion w swojej karierze. Został nagle milionerem. To był dla niego następny szok! Miał masę forsy, ale nie mógł z niej korzystać legalnie. To były przecież „lewe" pieniądze. Może wtedy Sezonowiec wykoncypował swoją osobliwą filozofię big-businessu. Big-business, ale nie high-life! Ale przecież wiecznie nie można tylko robić „szmalu", tylko nielegalnie. Chociaż trochę człowiekowi od życia się należy. Chociaż skromnie, ale dostatnio! Tak wtedy pomyślał.

Zaczął pracować dla „Cepelii". Robił korzeniоplastykę, ludowe świątki i inne fidrygałki, nawet stylizowane meble. Hurtem, przy pomocy całej armii chałupników. Ale już półlegalnie, bo przez „Cepelię" załatwił sobie odpowiednie „papiery". To był dobry okres w jego interesach. Trafiały się duże, intratne zamówienia, np. na 15 tysięcy ludowych kapliczek na eksport.

Potem urwał się z tego interesu, zaczął działać na własny rachunek, legalnie. Po raz pierwszy robił dużą forsę legalnie i mógł ją legalnie wydawać. Otworzył zakład wytwórczy artykułów gospodarstwa domowego i użytku osobistego, który do dziś jest jego oficjalną firmą. Akurat „szedł" plastik. Sezonowiec przez dwa lata bawił się w drobiazgi z tworzyw sztucznych. Już się prawie ustabilizował, jakby przysnął. Ale plastikowy boom zaczął się kończyć. Na rynek weszły przedsiębiorstwa państwowe, z którymi trudno konkurować. Zyski spadały z każdym dniem. Chyba dlatego Sezonowiec nagle się obudził. A może już znudziły mu się grzebienie, guziki i mydelniczki, mały ruch, mały business? Sezonowiec nagle wyskoczył z tej swojej małej stabilizacji. To było nie dla niego, nie ten wymiar! Zaczął przygotowywać kolejny wielki business. Konkurenci też nagle się ocknęli, kiedy Sezonowiec zaczął „zwijać" plastik. Stało się jasne, że coś wielkiego kombinuje! Ale co?

POTKNIĘCIE

Znów zaskoczył wszystkich. Jako jeden z pierwszych w kraju wszedł na rynek z pocztówkami dźwiękowymi. Załatwił koncesję, sprowadził w RFN aparaturę do nagrań. Znów zagrał w wielkim stylu! By łatwiej panować nad rynkiem, znów stworzył „fuzje". Przystąpił do spółki z Samuelem G., wielkim łódzkim geszefciarzem. Ruszył całą parą!

Po pewnym czasie wspólnik wyjechał do Izraela. Sezonowiec został sam. Sam kręcił interes, sam robił „wielki szmal". Ale ten big-business niespodziewanie się skończył. Pocztówkami dźwiękowymi zainteresowały się urzędy finansowe. Sezonowcowi rąbnęli domiar. Bardzo duży. Miał pecha i wielkie kłopoty. Karta się odwróciła. Wszystkie nielegalne interesy szły gładko, a tu ten legalny nagle się wysypał. Krach! Dużo zdrowia i pieniędzy kosztowała Sezonowca ta wpadka. Długo nie mógł się pozbierać. Wrócił do swojego małego światka plastikowych bubelków, do groszowej stabilizacji, spokojnego, legalnego i dokładnie opodatkowanego groszorobienia.

Było niedobrze. Bardzo niedobrze! To był nie tylko krach w interesach, finansowy, ale i psychiczny. Zawsze był słabego zdrowia, teraz rozchorował się na dobre. Było niedobrze, ale przecież wreszcie jakoś doszedł do siebie.

NOWY POMYSŁ

Znów fortuna się odwróciła. Znów miał „cholerne szczęście"! To był bardzo szczęśliwy pomysł! Dla zdrowia, dla psychicznego odprężenia zafundował sobie tę wycieczkę. Orbisowską wycieczkę do Włoch. Wrócił zupełnie odmieniony, inny człowiek. Znów obudził się w nim wielki gracz. Z Włoch przywiózł nowy pomysł. Ortaliony!

Uruchomił armię chałupników. Na „cudze nazwiska" otworzył kilkanaście sklepów, m. in. i w Łodzi. Także w Łodzi działał wtedy jeden z zakładów Sezonowca, w którym zwykłą jedwabną podszewkę przerabiano na ortalion przy użyciu różnych środków impregnujących. To był fantastyczny interes, na wiele milionów! Tym razem był jednak bardzo ostrożny. Do gry wprowadził nowe metody działania.

Nigdy chyba nie będzie wiadomo, jak to było naprawdę, ale podobno Sezonowiec zorganizował coś w rodzaju prywatnej „agencji detektywistycznej". Jego ludzie zbierali poufne informacje o konkurentach. Zaczęły się donosy, telefony, anonimy. Zaczęły się dochodzenia, procesy, posypały się wyroki. Pewien rolnik spod Łęczycy który zamienił cebulę na ortaliony, dostał 5 lat „wczasów państwowych" i potężną grzywnę. Inni podobnie. Konkurenci sami zwijali w pośpiechu interesy, by uniknąć przymusowego „zwinięcia". Niewielu zostało. Sezonowiec mógł spokojnie robić „wielki szmal". Ale do czasu. Na rynek wkroczyła „konkurencja państwowa". Podaż przeskoczyła popyt, rynek gwałtownie się kurczył. Trzeba było wykombinować coś nowego.

DRUGIE POTKNIĘCIE

Sezonowiec wymyślił! Karniszel Nagłe ożywienie w budownictwie mieszkaniowym pociągnęło za sobą wielki popyt na ten artykuł, a przemysł znów nie nadążył za rynkiem. Sezonowiec zdążył. Przystąpił do spółki z łódzkim metalowcem, Romanem L. On prowadził zaopatrzenie i zbyt, a metalowiec produkcję. Interes ruszył na wielką skalę, znacznie większą niż by to wynikało z oficjalnej dokumentacji. Ale przecież tylko tak można robić „wielki szmal", produkując i sprzedając towar „poza ewidencją", a więc bez podatków.

Znów miał pecha! Ktoś „zakablował" wspólnika, Romana L., aresztowano. Interes trzeba było szybko zwinąć. Sezonowiec z niepokojem czekał na rozwój wypadków. Wierzył jednak, że wspólnik go nie sypnie, we własnym interesie. Zresztą Sezonowiec robił wszystko, by ratować wspólnika, wynajął najlepszych adwokatów, nie żałował forsy. Okazało się, że znów miał cholerne szczęście, bo jak to inaczej określić? Otóż Roman L. wykpił się ze sprawy, dokumentnie i ostatecznie! Po prostu zmarł przed rozprawą, serce nie wytrzymało. Sprawa przyschła. Sezonowiec odetchnął z ulgą. Z „wdzięczności" wystawił wspólnikowi wspaniały grobowiec, jakich niewiele w Łodzi.

HENDRIKSY

Cisza w interesach nie trwała długo. Sezonowiec znów wynalazł fantastyczny interes, jeszcze przed dyrektorem Domów Handlowych „Centrum". W kraju pojawiły się pierwsze koszulki z nadrukami, tzw. hendriksy, od nazwiska piosenkarza, którego konterfekt był drukowany właśnie na owych koszulkach, Jimmy Hendrixa. Sezonowiec natychmiast wyczuł, co się święci. Wykupił wtedy wszystkie chyba trykoty, jakie tylko były na rynku. Odciął konkurentów od surowca, którego sam miał pod dostatkiem. Wystarczyło teraz zorganizować parę drukarek i grupę zdolnych komiwojażerów. To było bardzo łatwe, chętnych nie brakowało. Popyt był wielki, rynek bardzo chłonny. Cała para ruszył więc interes, znany później pod hasłem „stówa od stempla". Tyle właśnie na jednym nadruku zarabiał na czysto Sezonowiec. A sprzedał owych koszulek kilkadziesiąt tysięcy.

Później były „las palmasy", kuliste sznurkowe lampiony. Co prawda, to nie Sezonowiec wymyślił ów interes, tylko łódzcy ewaniacy, ale on nie żałował forsy, by kupić pomysł. Na początku tylko kilka geszefciarzy robiło te lampiony, w tym i Sezonowiec, więc nie było dużej konkurencji. Zbyt był wielki i szybki. Przy tym Sezonowiec umiał się zabrać do interesu. Nie produkował towaru w jednym miejscu, bo transport był kołopotliwy. Lampiony były delikatne i zajmowały cholernie dużo miejsca. Sezonowiec uruchomił więc kilkanaście zakładów produkcyjnych na terenie całego prawie kraju. Surowce do produkcji łatwo było przewozić, a gotowe wyroby sprzedawało się na miejscu. Tak się kręcił ten business, póki nie zmarł śmiercią naturalną.

„ANTYKI"

Następny interes to gips! A właściwie różnego rodzaju drobiazgi z gipsu, najczęściej ozdobne wazoniki, robione na „antyki". Rzecz jest bardzo prosta! Najpierw robi się kauczukowe formy na modelu autentycznego antycznego wazonu. Potem w tych formach produkuje się serwisnie odlewy z gipsu sztukateryjnego, umieszczając wewnątrz szklane pojemniki, na kwiaty, bo sam gips przepuszcza wodę. Następnie odlewy wygładza się, suszy i maluje. Takie wazoniki z reliefami kwiatów, gołych nimf i innych różności można spotkać we wszystkich niemal prywatnych sklepikach „1001 drobiazgów". Zysk na sztuce niewielki, bo ledwie kilkadziesiąt złotych, ale przy dużych obrotach interes bardzo się opłaca. Oczywiście, ogromna część produkcji musi być robiona i rozprowadzana „poza ewidencją".

Jednak i z tego interesu Sezonowiec już się wycofał. Rozmnożyła się konkurencja, zarobki spadły. Na obecny sezon przygotowuje nowy big-business. Futrzaki! Kożuchowe rękawice o jednym palcu bardzo poszukiwane na rynku, bo powszechnie ich brak. Armia chałupników Sezonowca całe lato szyła futrzaki! I będzie szyć dalej, jeśli tylko starczy surowca. A w surowiec Sezonowiec dobrze się zaopatrzył. Duże zakłady kuśnierskie za grosze pozbywają się odpadów produkcyjnych, „zawadzających" w przepełnionych magazynach. Worek tego kosztuje ledwie parę złotych. A na jednej parze futrzaków, po odliczeniu wszystkich kosztów własnych, zarabia się na czysto te dwie, trzy stówy. To znakomity business! Jeśli owych futrzaków sprzedać ileś tam tysięcy, o co przy obecnym popycie nie tak znów trudno to łatwo obliczyć, ile to może dać zysku w sumie. Kolosalny pieniądz! Futrzaki weźmie chętnie każdy prywatny sklep z galanterią, każdy handlarz. A poza tym Sezonowiec znów chce „puścić w obieg" armię komiwojażerów ucharakteryzowanych na ludowo, czyli „górali".

JEŚLI WIĘC

Jeśli więc komuś zdarzy się spotkać w Poznaniu, Warszawie, Łodzi czy jakimkolwiek innymi mieście handlujących futrzakami górali, którzy mówią nie swoją akurat gwarą, lecz poznańską, śląską, kaszubską czy też zwyczajnie „po warsiawsku", niechaj go nie zdziwia osobliwości lingwistyczne w mowie komiwojażerów! To będzie znaczyło tylko tyle, że to znów ludzie Sezonowca!

ZBIGNIEW S. NOWAK

---

takim problemem jest dokumentacja tego ruchu. Grupy rozpadają się z różnych względów. Najczęściej są to przyczyny organizacyjne, brak bazy. Ideałem byłoby znajdowanie w tej mierze wspólnych rozwiązań przez SZSP i władze uczelni. Byłoby to możliwe z chwilą wprowadzenia kultury studenckiej do priorytetów szkoły wyższej... W Związku Radzieckim uczelnie bezpośrednio współdziałają z organizacją młodzieżową. Kiedy niedawno nauczyciele akademiccy z Gruzji wyliczyli mi, ile ich uczelnia (dla 9 tys. studentów!) posiada stałych teatrów, orkiestr, chórów, szczerze im pozazdrościłam.

— Czy sądzisz, że można u nas nakłonić pracowników nauki, by zamiast swoimi pracami doktorskimi, zajmowali się pracą kulturalną z młodzieżą?

— Nie uważam by miało się to odbywać w ramach jakiegoś osobnego, jeszcze jednego obowiązkowego przedmiotu, ani też kosztem zawodowych ambicji naukowców. Byłoby dobrze, gdyby zainteresowanie kulturą przenikało samoistnie, by rodziło wydarzenia, w których chcieliby uczestniczyć wszyscy: nauczyciele i studenci...

— I profesjonaliści?

— Oczywiście!

— Program edukacji estetycznej studentów przewija się od kilku lat w pracach Związku...

— Tak. W sytuacji, gdy — jak właśnie w Łodzi — ma się do czynienia z dwudziestotysięcznym środowiskiem ludzi, mocno pod każdym względem zróżnicowanych, nie uda się „zrobić kultury" jedynie siłami studentów. Co my mamy do zaproponowania przychodzącym na studia z małych ośrodków, tym, którzy nie mają żadnych nawyków w chodzeniu do teatru czy filharmonii?... Zaczęliśmy od cyklu Spotkań z kulturą XX wieku, aby przez instytucje Studenckiej Akademii Kultury, przez Premiery Studenckie dojść do propozycji (równoległej z propozycją Ministerstwa) wprowadzenia wychowania estetycznego do progarmu wyższych łódzkich uczelni. Założenia tej propozycji wykrystalizowały się w oparciu o doświadczenia Festiwalu Kultury Studentów.

— Jaki będzie tryb wdrażania tego programu?

— Przedstawimy go do zaakceptowania władzom uczelni na posiedzeniu kolegium rektorów poświęconym kulturze. Jeśli otrzymamy zgodę, w dalszych planach są spotkania z kadrą naukową, radami pedagogicznymi itd.

— A co o waszej propozycji sądzą instytucje kulturalne Łodzi?

— Osobiście wierzę, że można znakomicie pogodzić pasję studentów z mało na pozór elastyczną strukturą organizacyjną kultury profesjonalnej. Mamy w tej dziedzinie pewne doświadczenia, lepsze czy gorsze, z niemal wszystkimi placówkami kulturalnymi miasta. Opracowaniem programu wychowania estetycznego studentów zajął się komitet, któremu przewodniczy rektor PWSSP Wiesław Garboliński. Planujemy spotkanie z przedstawicielami instytucji kulturalnych w celu opracowania ofert programowych i zabezpieczenia środków na ich realizację.

— A dalej?

— Konkretne propozycje podzielimy między studentów zorganizowanych w klubach i grupach dziekańskich. W oparciu o wydany wcześniej informator ustalą oni najdogodniejsze dla siebie terminy. Jeżeli chodzi o wybór propozycji, to — o ile życzyć sobie tego będą studenci — jesteśmy w stanie rozmawiać nie tylko z Teatrem Wielkim, ale nawet z „Estradą"... Po cichu liczymy jednak, że „Estrada" i tak rychło się studentom znudzi...

— A jaki w tym programie widzisz udział studentów wyższych szkół artystycznych?

— Będziemy chcieli przeforsować włączenie do programu uczelni artystycznych praktyk instruktorskich dla studentów — w klubach i agendach kulturalnych SZSP.

— I wychowawców trzeba sobie wychować?

— Tak, a poza tym zależy nam na rzeczywistym przyciągnięciu twórców, zanim się jeszcze sprofesjonalizują... Zaproponujemy różne formy mecenatu. Praktykami zawodowymi w klubach, agendach i komisjach kultury Związku pragniemy również zainteresować studentów blisko związanych z kulturą kierunków uniwersyteckich (jest ich co najmniej dziesięć), a pracą instruktorską naukowców, twórców i działaczy kultury, zwłaszcza partyjnych.

— Czy wasza baza przetrzyma taką „inwazję kultury"?

— Nasza baza, acz skromna, nie jest wciąż w pełni wykorzystana. I nie zawsze mądrze. Na przykład jest nie do pomyślenia, aby cały klub w domu akademickim można było oddać plastykom. A dlaczego nie? Nie oszukujmy się, że wszystkich mieszkańców akademika uda się zintegrować przez tradycyjny klub. Może więc postawić na specjalizację? Przypisać kluby konkretnym grupom twórczym, niech one będą w nich gospodarzami! Nie są naszym celem kluby, w których po prostu „spędza się" wolny czas.

— Zasygnalizowaliśmy kilka spraw nie rozwiązanych, mówiliśmy o planach, które trzeba teraz wypełniać konkretami. Z jakim uczuciem żegnasz festiwalowy rok?

— Mam wrażenie, że nie udało się nam jeszcze w pełni skupić wokół Związku tych, którzy mogliby nam być potrzebni. Funkcjonuje wciąż jeszcze mit złej organizacji, brak wiary w możliwości pod tym względem. A to odstrasza. Liczymy jednak na realizację tego wszystkiego, cośmy sobie zamierzyli, wierzymy, że nasza współpraca z ludźmi którzy mogliby być autorytetami dla innych, dla środowiska, będzie coraz ściślejsza i coraz szersza. I to zarówno z twórcami studenckimi, jak i z profesjonalistami, ludźmi nauki — wychowawcami studentów. Jesteśmy w stanie wysłuchać wszystkich i skorzystać z ich doświadczeń. Bo w końcu liczy się szacunek i tolerancja dla kulturalnych upodobań. No i konkrety.

Rozmawiał:
KAZIMIERZ ZDROJEWSKI

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

ŁÓDŹ NA MAPIE KULTURALNEJ

Łódź. Ponad 800 tysięcy ludzi. Miasto wyrosłe niemal pod bokiem Warszawy. Bo co to jest te 134 kilometry? Niecałe dwie godziny jazdy pociągiem pospiesznym. To miasto nie ma zbyt wielkich i rozległych tradycji — szczególnie kulturalnych — mimo wielowiekowego żywota. Lecz żywota jakże nędznego dla większości jego mieszkańców. I oto stało się nagle z dnia na dzień przemysłową metropolią u schyłku ubiegłego stulecia. Stało się przysłowiową „ziemią obiecaną", swoistego rodzaju polskim Klondike (chociaż z czasem porównywano do Manchesteru), zarówno dla biednych jak i dla bogatych, dla poszukiwaczy przygód jak i łatwych, często nielegalnych zarobków. Nic też dziwnego że jednych miasto to wzbogacało, niemal z dnia na dzień czyniło milionerami, innych miażdżyło. Przez lata też całe było to miasto ludzkiej zbieraniny — chłopów, którzy rzucając swe liche poletka szli dorabiać się w przemyśle, drobnych kupców — ciułaczy, niebieskich ptaków i solidnych fabrykantów, a nawet bankierów.

Było też to miasto wielonarodowościowe: Polacy, Żydzi, Niemcy, Czesi, Ukraińcy, Rosjanie, Francuzi. Było to miasto niesłychanych kontrastów — wspaniałych pałaców, czynszowych kamienic slumsów i przysłowiowych lepianek. Z tych ostatnich słynęły Bałuty. Po drugiej wojnie światowej powoli, choć w coraz szybszym tempie, wszystko zaczęło się zmieniać. Znikać zaczęła przysłowiowa łódzka nędza, szczególnie robotniczych przedmieść. I oto nagle Łódź przeobraziła się w wielkoprzemysłową metropolię zamieszkałą przez ludzi, którzy zaczęli mieszkać w normalnych blokach, żyć normalnym, codziennym, wielkomiejskim życiem. Zaczęli się też zwyczajnie „ukulturalniać".

Na spotkanie tym ich nowym potrzebom przyszły nowe teatry, kina, biblioteki, domy kultury, różnego rodzaju miejskie oraz przyzakładowe kluby, ośrodki rekreacyjne. Do historii przeszły malutkie komercyjne salki kinowe jak i działające w dwudziestoleciu międzywojennym sztucznie podtrzymywane, nieustannie plajtujące teatrzyki kierowane przez ludzi znających się na sztuce, lecz nie mogących sprostać potrzebom finansowym. I odkąd państwo przejęło opiekę nad kulturą stała się ona oczywistością.

Komuś, kto przyjeżdża z zewnątrz, kto na co dzień nie żyje rytmem tego miasta, a zna jedynie historię Łodzi z drapieżnych opisów Reymonta, trudno się zorientować w „rozkładzie" obecnego codziennego życia tego miasta, a cóż dopiero w „rozkładzie" jego placówek kulturalnych, mimo iż większość z nich skupiona jest w centrum, które wyznaczają trzy ulice — Narutowicza, Piotrkowska i Kościuszki. Szczególnie Piotrkowska, najdłuższa arteria, miejscami tak wąska, że trudno się po niej poruszać samochodem. Kiedyś to znaczy jeszcze w wieku dziewiętnastym, zabudowana została dokładnie secesyjnymi (jak się to po latach ładnie nazywa), kamienicami o pięknych zewnętrznych wystrojach fasad, za to od wnętrza prezentującymi podwórza-studnie, pełne oficyn, przybudówek i nadbudówek. Od ulicy mieszkali co bogatsi, od podwórza biedniejsi. Dzisiaj kamienice te systematycznie się wyburza, a na ich miejscu wznoszone są olbrzymie przeszklone gmachy-biurowce, mające widać na celu mocniejsze podkreślenie nie tylko wielkomiejskości, ale i wielkoprzemysłowości miasta. Trudno jednakże przyzwyczaić się do ich sylwetek. Tamte secesyjne kamienice i kamieniczki były bardziej intymne, więcej mówiły o specyfice miasta, jego odrębności. Z upływem lat stawały się elementem nowych tradycji Łodzi. Ale widać miasto to musi płacić również swoją cenę za nowoczesność, za ambicje bycia metropolią nie tylko na dziś, ale również i na jutro.

Przy jednej z poprzecznych, niesłychanie wąziutkich uliczek od Piotrkowskiej, przy ulicy Struga przycupnęła w maleńkiej, niepozornej kamienicy jedna z licznych bibliotek publicznych. Niewielka salka — wypożyczalnia, równie mała sala czytelnicza bardzo często zamieniana w salę odczytową i reszta czyli kilka pokoi na dole i na pierwszym piętrze zastawionych książkami. Ludzie zaglądają tu jak wszędzie indziej do bibliotek. Trochę więcej, gdy ma być spotkanie z pisarzem lub jakiś odczyt. O czytelnika nie trzeba się tu ubiegać, o słuchacza również. Zawsze przychodzą ci sami, doskonale orientujący się w lekturach jak i kogo należy posłuchać.

Takich bibliotek w Łodzi jest w sumie 91, rozrzuconych po pięciu dzielnicach miasta. Pozornie jednak jest to tylko liczba imponująca. Należy bowiem pamiętać, że z bibliotek tych nie korzystają tylko miłośnicy literatury pięknej. Służą one ogromnej rzeszy uczącej się młodzieży, zarówno szkół ogólnokształcących, zawodowych, co i wyższych uczelni. Najliczniejszą sieć biblioteczną mają słynące sprzed lat z największej nędzy Bałuty, 26 placówek mieszczących się w oddzielnych pawilonikach, wszystkie o jednakowym rozkładzie, niemalże identycznym wewnętrznym ustawieniu stelaży, rozstawieniu czytelniczych stolików. Ale Bałuty obecnie to największa dzielnica Łodzi, licząca ponad ćwierć miliona mieszkańców. Zresztą dawne przysłowiowo nędzne Bałuty — dzielnica slumsów i biedoty, dziś reprezentuje nowoczesność. Nie kończące się osiedla, od wiosny do jesieni tonące w zieleni i kwiatach, zamieszkałe przez inteligencję zarówno techniczną jak i humanistyczną. Inne dzielnice również zmieniły swój dawny wygląd. Giną poniszczone, szare, kryte papą domki ustępujące miejsca licznym wysokościowcom. Inna sprawa że wszystkie one są do siebie podobne i chociaż otynkowane różnokolorowo, nie posiadają swojej indywidualności. Jakże łatwo pośród nich zabłądzić.

Wróćmy jednak do Śródmieścia, gdzie jak w każdym mieście koncentruje się życie kulturalne. W centrum Łodzi sąsiadują ze sobą Muzeum Sztuki Nowoczesnej (jedno z niewielu tego rodzaju w Europie, a w Polsce jedyne), z Teatrem Wielkim który nie tak dawno otworzył swoje podwoje. Zjeżdżały wówczas autokary z miłośnikami Melpomeny niemal z całej Polski, a przede wszystkim z Warszawy. Bo i akustyka i repertuar. Co prawda wydawać się wówczas mogło, że nie na długo starczy tego programu, nie na długo tych pielgrzymek. A tu właśnie w tym roku nowe wydarzenie w muzyce i operze. Od czasu bowiem, gdy w teatrze nastały rządy Bohdana Wodiczki, okazało się nagle, że to Łódź ma nie tyle ambicje co szanse przewodzenia w życiu operowym naszego kraju. Wystarczy spojrzeć na program. Co miesiąc nowa premiera. Zaczęło się w marcu od „Wolnego strzelca" C. M. Webera. A w planach nie znane prawie zupełnie polskiej publiczności sceniczne arcydzieła Ryszarda Straussa, Ryszarda Wagnera, Karola Szymanowskiego. I to wszystko własnymi siłami, bez „wypożyczania" muzyków, śpiewaków i aktorów z innych miast. Jeśli już, to jak wszędzie indziej krótkie gościnne występy.

Aktorów łódzkim teatrom dostarcza niejako łódzka Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, Filmowa i Telewizyjna im. L. Schillera. Inna sprawa, iż uczelnia ta nastawiona jest przede wszystkim na „produkcję" reżyserów i operatorów filmowych. To przecież absolwentem tej uczelni był Andrzej Munk z jej murów wyszli Wajda, Zanussi, Chęciński, Hoffman, Poręba, Ścibor-Rylski. Sama szkoła wyrosła niedaleko wielkiej wytwórni filmowej, w której realizuje się jedną trzecią całej naszej produkcji filmowej. Tutaj realizowało się w atelier niemal wszystkie telewizyjne seriale, zarówno historyczne jak i współczesne. Stąd w łódzkich hotelach nieustannie można spotkać co bardziej liczących się aktorów z całej Polski. Wróćmy jednak do łódzkich ambicji kulturalnych. Bo operowo-baletowym ambicjom Wodiczki towarzysza w Teatrze Nowym Kazimierz Dejmek oraz w filharmonii Henryk Czyż. Wszystko postacie z życia kulturalnego kraju znane, których też chyba nikomu nie trzeba przedstawiać. Można jedynie postawić pytanie, co na to łódzka publiczność, jak przyjmuje ambitne i trudne zarówno w realizacji jak i w odbiorze programy? Jednym słowem jak przyjmuje trud trójki artystów. Jeśli formą akceptacji jest fakt, iż bilety na wszystkie przedstawienia i koncerty wykupywane są na długo naprzód, to chyba nic tu nie trzeba dodawać. Czyżby więc snobizm? Nie tylko, choć i on tu jest nie bez znaczenia. Po prostu łódzka publiczność przez powojenne lata do teatru i muzyki przyzwyczaiła się, nauczyła się też je odbierać. Dawne lata pobytu Dejmka w Łodzi, jak i innych wybitnych reżyserów oraz muzyków przygotowały zarówno grunt jak i klimat pod obecne dyrektorowanie wspomnianej trójki.

Dotychczasowym sposobem prezentacji życia kulturalnego Łodzi można zapełnić nieskończoną ilość papieru, tworząc jeszcze jeden przewodnik po mieście. A przecież w tej krótkiej panoramie kultury miasta nie o to chodzi. Interesujące są bowiem dla czytelnika określone zjawiska oraz ich animatorzy. To oni kreują ruch umysłowy, nadają kształt i formę, wypracowują gusta odbiorców, kształtują przyszłe zapotrzebowanie na kulturę. Dlatego poniechajmy dalszej wyliczanki teatrów, muzeów, różnego rodzaju klubów (chociaż ich codzienna działalność niewątpliwie jest nie bez znaczenia), które posiadają swój w miarę nieuchwytny wkład w kształtowanie świadomości kulturowej. I korzystając z przywilejów gościa, który do Łodzi przyjeżdża nagle, na kilka dni w celu wyłapania tylko tego co charakterystyczne zajrzyjmy gdzie indziej. Ot, choćby do literatów.

Charakterystyczne też w Łodzi jest środowisko literackie. Warszawa ma swoje Krakowskie Przedmieście, Kraków ulicę Krupniczą, Łódź ma swoją ulicę Mickiewicza. Tutaj w jednym olbrzymim budynku znajduje się nie tylko siedziba oddziału związku, ale również mieszka wielu miejscowych pisarzy. Ten budynek to cała historia pisarskiego środowiska, historia, która rozpoczęła się zaraz po wojnie. Przeżywała wówczas Łódź swoje wielkie dni, kiedy niemal połowa pisarzy z Warszawy osiadła w tym mieście, bo to i bliżej było do stolicy i pomimo wszystko nie ten klimat co w środowiskowo hermetycznym Krakowie. Zresztą Kraków, jeśli już kogoś przyjął, jak np. nieżyjącego już Stefana Otwinowskiego, to na zawsze. Łódź nie potrafiła zatrzymać na dłużej warszawiaków. Stąd może dziś nie jest to tak liczne środowisko jak w Warszawie czy w Krakowie. Nie jest też tak intelektualnie nośne, jeśli będzie się przyjmować jako miarę wielkość nazwisk. Nie zapominajmy jednak, że to w Łodzi mieszkali przez jakiś czas Piętak, Ważyk, Jastrunowie, Śpiewakowie. I że to po latach uciekli niejako z Łodzi do Warszawy Pogonowska, Konrowski, Piechal.

Lecz bynajmniej nie osłabiło to łódzkiego środowiska i w dalszym ciągu Łódź ma swoich liczących się poetów i powieściopisarzy — Wanda Karczewska, Tadeusz Chróścielewski, Igory Sikiryccki, Władysław Rymkiewicz, Bernard Sztajnert, Jerzy Wawrzak (przez lata prezesujący łódzkiemu Oddziałowi Związku Literatów i naczelny tygodnika „Odgłosy"), Leon Gomolicki, Wiesław Jażdżyński. Doczekała się też Łódź i swoich młodych, już w tym mieście urodzonych i wychowanych, pisarzy. Przede wszystkim poetów. Nie są oni wszyscy w swoim pisarstwie tak błyskotliwi, a przez to i zauważalni jak np. w środowisku warszawskim, krakowskim czy wrocławskim, niemniej jednak pracowici, nieustannie kolejnymi książkami zaświadczający swoje pisarskie istnienie. I tak jak wszędzie można by i o tym środowisku opowiadać najróżniejsze anegdoty i autentyczne historie, relacjonować o przyjaźniach i zawiściach, bez których trudno sobie wyobrazić codzienne życie tych ludzi, całego środowiska. Lecz nie to jest ważne. Licząca się jest ich twórczość. A tutaj znowu daje się zauważyć ciekawe zjawisko. Otóż pisarze ci mało piszą o samej Łodzi, o jej mieszkańcach, ich codziennym życiu i sprawach. I to w mieście, które posiada własny tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", obchodzące w tym roku dwudziestolecie swego istnienia. Inna sprawa, że tygodnik ten nie posiadł nigdy tej siły przebicia, co krakowskie „Życie Literackie", wrocławska „Odra" czy białostockie „Kontrasty". Ale przecież pismo to spełnia niebagatelną rolę nie tylko w życiu samego środowiska literackiego i artystycznego miasta, ale również i łódzkiego społeczeństwa. To właśnie „Odgłosy" patronowały wielu literackim i reporterskim akcjom mającym na celu zaprezentowanie panoramy współczesnej Łodzi. Choćby ogłoszony z początkiem lat sześćdziesiątych konkurs na reportaż „Opisanie Łodzi", którego efektem była książka „Ucieczka przedmieścia", gdzie sąsiadowały ze sobą nazwiska Jerzego Ambroziewicza, Janusza Roszki, Stefana Bratkowskiego. Te „Odgłosy" wraz z pisarskim środowiskiem łódzkim i ojcami miasta patronują od lat Łódzkiej Wiośnie Poetyckiej.

Jakby na przeciwwadze, chociaż w ścisłej ze środowiskiem łódzkich pisarzy współpracy, działa w tym mieście również od lat dwudziestu Wydawnictwo Łódzkie. Nie jest to zbyt wielka oficyna wydawnicza, jeśli się zważy, iż rocznie wydaje niewiele ponad 50 pozycji książkowych. Ale to właśnie tu swoje książki wydaje większość łódzkich pisarzy, tutaj też zadebiutowali prawie wszyscy łódzcy poeci jak i naukowcy młodego pokolenia. Zresztą wydawnictwo nie ogranicza się tylko do edycji książek pisarzy miejscowych. I na pewno długa byłaby lista nazwisk twórców z innych miast, nie wyłączając Warszawy, których książki sygnowane są przez tę oficynę wydawniczą.

Współpracuje też z wydawnictwem Uniwersytet Łódzki, powołany do życia dopiero po wojnie, a mimo to mogący się pochwalić niemałym wkładem nie tylko czysto pedagogicznym, ale też i naukowym, szczególnie w dyscyplinach humanistycznych. To przecież w Łodzi przez wiele lat wykładali już nieżyjący poloniści Juliusz Saloni oraz Dürr-Durski a w dalszym ciągu wykładają prof. Stefania Skwarczyńska, prof. Zdzisław Skwarczyński, prof. Zbigniew Kuchowicz (autor głośnej książki „Barbara Radziwiłłówna"). To na wydziałach prawa i historii Uniwersytetu Łódzkiego zajmują się młodzi naukowcy problematyka współczesnych zagadnień związanych z prawem międzynarodowym.

Kreśląc portret kulturalny tego miasta stale przyłapuje się na dokonywaniu swoistej wyliczanki. A tu jeszcze nic nie napisałem o malarzach i rzeźbiarzach, którym, jakby nie było, przewodzi sam wielki Rząsa. Sprawozdawca dostaje lekkiej zadyszki a tu już czas się kończy. Kończy się delegacja. Trzeba wracać do Warszawy ostatnim osobowym pociągiem odchodzącym z nieprzelotowego dworca Łódź-Fabryczna — symbolu dawnego miasta, które dziś już przestało istnieć. I tylko pozostał ten dworzec o wciąż jeszcze dawnej żeby nie rzec secesyjnej zabudowie. Ale już i tu nowoczesność wkroczyła z całym rozmachem. Podziemne przejścia, bezkolizyjne skrzyżowania i sylwetka nowoczesnego hotelu. I tylko z daleka, gdzieś po prawej stronie przycupnęło kilka secesyjnych kamieniczek i samotnie stojący kościół przypominający, że miasto to miało też swoją świetność bez mała sto lat temu.

(Tygodnik społeczno-kulturalny „Argumenty", nr 37)

Foto: W. Małek

LEGENDA DO MAPY

Urodzaj na temat łódzki w ogólnopolskiej prasie świadczy o tym, że istnienie niedaleko Warszawy ogromnego ośrodka miejskiego staje się tajemnicą poliszynela. Cóż, pod latarnią jest najciemniej, toteż oślepieni stołecznym blaskiem reporterzy przyjeżdżają do „polskiego Klondike" podejmując się ambitnego zadania oznaczenia Łodzi na mapie kulturalnej kraju. A że nie zawsze są za pan brat z kartografią, Łódź wypada im gdzieś na egzotycznych antypodach. Tych odkrywców z bożej łaski wszystko musi w tym mieście dziwić, bo bez zdziwienia nie ma odkryć.

Podobnie postąpił Tadeusz J. Żółciński, który stawiając pierwsze kroki na łódzkim bruku skonstatował od razu, że „to miasto nie ma zbyt wielkich i rozległych tradycji — szczególnie kulturalnych — mimo wielowiekowego żywota". No cóż: co słowo, to nieprawda. Łódź przemysłowa, a więc Łódź w kształcie dzisiejszym, liczy przecież niewiele ponad 150 lat. I w ciągu niespełna dwóch wieków, a praktycznie w ciągu sześćdziesięciu lat niepodległej Polski, dała krajowi, w kulturze właśnie, wartości, jakich mogą jej pozazdrościć ośrodki znacznie bardziej utytułowane. W Łodzi działali reżyserzy teatralni tej miary co Adwentowicz, Zelwerowicz, Schiller, zaś kierownikami literackimi teatrów byli tacy poeci jak Bolesław Leśmian. Miejskie nagrody stały się wzorem dla innych ośrodków, a ich laureatami (tylko w okresie międzywojennym) byli: Aleksander Świętochowski, Julian Tuwim, Aleksander Brückner, Zofia Nałkowska, Tadeusz Kulisiewicz, Kazimierz Twardowski, Władysław Strzemiński. W latach trzydziestych wykorzystując poparcie lewicowych intelektualistów Łódź stała się najpoważniejszym ośrodkiem polskiej sztuki awangardowej, czego wyrazem działalność grupy „a.r." Nie przypadkiem właśnie w Łodzi działa dziś jedyne w Polsce Muzeum Sztuki Nowoczesnej, zawdzięczające swe wspaniałe zbiory inicjatywie tamtych artystów, którzy potrafili zarazić swą ideą twórców o światowej sławie.

Nie była więc Łódź w przeszłości taką kulturalną pustynią, jak by to chcieli przedstawić publicyści widzący tu tylko „przysłowiową łódzką nędzę". Dzięki integrującej funkcji kultury wielonarodowościowe miasto (Polacy, Żydzi, Niemcy) stało się miastem polskim. Jak atrakcyjna była kultura polska świadczą o tym losy niektórych fabrykanckich rodzin niemieckiego pochodzenia, które w okresie okupacji hitlerowskiej twardo stanęły na gruncie polskości płacąc za to, jak Geyerowie, śmiercią. W relacji T. J. Żółcińskiego obce żywioły niepokojąco się mnożą. Nasz odkrywca dostrzega w Łodzi problem Czechów, Ukraińców, Rosjan, Francuzów Dalipan, mogło się zdarzyć, że jakiś Czech albo Francuz zatrzymał się przejazdem w „Grand Hotelu", ale żeby z tego robić zaraz problem narodowościowy!

I tak jest nieustannie. Publicysta „Argumentów" odkrywa problemy, których albo nie ma, albo dawno już zostały odkryte przez kogo innego i opisane tyle razy, że brzmią jak truizmy. Żółciński uważa widocznie, że skoro postanowił napisać o mieście s y m p a t y c z n i e, to każdy banał jest dobry, usprawiedliwiony życzliwymi intencjami. Szczodrze więc sypie swoje szklane paciorki między tubylców licząc na to, że będą je zbierać na wyprzodki, skoro nie muszą za nie płacić złotem. Publicysta „Argumentów" zatraca tak dalece dar obserwacji, że właściwie każde zdanie wymaga jakiejś korekty czy komentarza. Chodzi właściwie o drobiazgi, ale cały artykuł składa się z takich drobiazgów wyliczanych bez ładu i składu. Może Żółciński nie wiedzieć, że ulica Kilińskiego jest dłuższa od Piotrkowskiej, ale, na Boga, gdzież on widział tę zwężającą się miejscami Piotrkowską? I tak bez końca, bez końca. Aż ręce opadają. A co najważniejsze w swojej długiej wyliczance nie zobaczył Żółciński prawdziwej hierarchii łódzkiej kultury dnia dzisiejszego.

Nie dostrzegł więc nowych dzielnic mieszkaniowych z ich dynamicznie rozbudowaną siecią placówek kulturalnych.

Nie dostrzegł problemu zintegrowania z metropolią przyłączonych niedawno terenów, które tworzą województwo miejskie.

Nie dostrzegł, że najsilniejsze w Łodzi środowisko twórcze plastyków nie ma galerii z prawdziwego zdarzenia, odpowiednika warszawskiej „Zachęty". Żółciński „wręczył" Aleksandrowi Ścibor-Rylskiemu dyplom ukończenia szkoły filmowej, ale nie dostrzegł zespołu realizatorów filmowych „Profil", dzięki któremu Łódź, miasto przemysłu filmowego, stało się także ośrodkiem twórczej myśli filmowej.

Nie dostrzegł Żółciński w Łodzi Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych z jego unikatowymi w skali kraju wydziałami, chociaż nowy, imponujący gmach uczelni widoczny jest z szosy warszawskiej.

Obraz środowiska humanistycznego Łodzi jaki daje Żółciński mógłby przystawać do jakiejś filii Uniwersytetu, których pełno po mniejszych ośrodkach, a nie do czołowego ośrodka naukowego kraju.

* ★ *

Udostępniamy jednak publikację T. J. Żółcińskiego Czytelnikom „Odgłosów" ze zrozumiałych względów, nie tylko polemicznych. Towarzysząc na co dzień twórczości i działalności kulturalnej naszego miasta, z żywym zainteresowaniem przyjmujemy opinie „pozałódzkie", tak bardzo nam potrzebne spojrzenia i osądy z zewnątrz, z ogólnopolskiej perspektywy. Łączy się to z nadzieją, że będą one coraz pełniejsze, pogłębione i zobiektywizowane na miarę rzeczywistych dokonań Łodzi kulturalnej.

REDAKCJA

recenzje

ŚWIADECTWO PRAWDY

Wiele mamy książek o hitlerowskich obozach koncentracyjnych (opowiadań, powieści, wspomnień), natomiast bardzo szczupła jest literatura o losie Polaków na robotach przymusowych w Niemczech. Za jedną z najlepszych prac na ten temat uważam powieść Aleksandra Janty-Połczyńskiego „Kłamałem, aby żyć", która ma tę przewagę nad innymi, że autor potrafił napisać ją z humorem, a nawet z pewną przymieszką ironii w spojrzeniu na swoich bohaterów. Myślę, że warto by rzecz tę wznowić, po raz ostatni, jeśli się nie mylę, wydano ją u nas przed trzydziestu laty.

Obecnie do książek, podejmujących zagadnienie robotników przymusowych, przybyła nam nowa pozycja: „Żelazne liście" Włodzimierza Krzemińskiego, którą przeczytałem z zainteresowaniem nie tylko dlatego, że opisywane wydarzenia znam z autopsji i mogę niejako uwierzytelnić ich prawdziwość. Włodzimierz Krzemiński, który dał się poznać jako sprawny narrator, napisał książkę ciekawą, wzbogacającą niewątpliwie naszą wiedzę o życiu Polaków na robotach w Trzeciej Rzeszy. Walorem „Żelaznych liści" jest także i to, że akcja ich nie dzieje się jedynie w środowisku polskim i niemieckim, lecz że występują tam przedstawiciele innych narodowości, głównie Francuzi, Rosjanie i Ukraińcy. Napisałem: akcja i zastanowiłem się, czy jest to powieść z rozwijającą się akcją. Mam nawet wątpliwości, czy jest to powieść, jak zapewnia nas nota na okładce książki. Myślałbym raczej, że to sześć opowiadań, a może sześć portretów, które dałoby się publikować oddzielnie bez obawy, że każdy z nich, wzięty z osobna, stanie się niezrozumiały i nieczytelny. Prawda, przez wszystkie opowiadania przewijają się te same postacie, a zatem łączy je nie akcja, lecz środowisko ludzi, skazanych na wspólne bytowanie. Spór o to, czy w „Żelaznych liściach" mamy do czynienia z powieścią, czy z powiązanymi w luźną całość opowiadaniami, można uznać za akademicki i dla naszych tutaj rozważań mało istotny. Porzućmy go więc i zajmijmy się tym, co książka sobą przedstawia.

Najbardziej uderzająca w „Żelaznych liściach" jest zwyczajność, chciałoby się powiedzieć: powszedniość egzystencji ich bohaterów. Wtrąceni w rzeczywistość ograniczającą ich życie i działanie, wiodą żywot szary, nie efektowny, choć nie pozbawiony podskórnego dramatyzmu. Trzeba się też w książkę Krzemińskiego wczytać, aby dostrzec jej walory i „rozsmakować się" w nieefektownych na pozór opisach. Bo to nie jest powieść (jeśli pozostać przy tej nazwie) porywająca, w której wydarzenie goni wydarzenie. Mała atrakcyjność fabularna to zresztą grzech całej naszej literatury współczesnej. Statyka nie dynamika losów ludzkich jest tutaj charakterystyczna. Nawet jeśli autor opisze nam dramat (aresztowanie Poldiego za romans z Niemką i zadręczenie go w obozie na śmierć), to w sposób pośredni, poprzez relacje innych ludzi, czyli, że rzecz całą widzimy jakby z oddalenia, jakby przez zasłonę niwelującą ostrość faktów. Podstawową sprawą dla robotników przymusowych w Trzeciej Rzeszy było utrzymać się przy życiu, przetrwać. Praca od rana do nocy, kiepskie jedzenie i przerażająca tęsknota do tego, co było i tego, co będzie lub być może po wojnie, znamionują nastroje panujące w tej książce. Bo przecież nikt z nich (lub prawie nikt) nie wątpił, że Hitler poniesie klęskę. Dlatego bohaterowie Krzemińskiego żyją jakby w trzech czasach: tym, który jest, tym który kiedyś był i tym, który nadejdzie. Z dużą umiejętnością Krzemiński przedstawia obsesje erotyczne zarówno robotników (Polaków, Francuzów), jak i kobiet niemieckich, w których, w miarę upływu czasu, narasta trudna do opanowania tęsknota do erotycznego przeżycia. Pożądanie i strach — oto co charakteryzuje tych ludzi: wolnych i uwięzionych, tych, co są u siebie i tych, co w niewoli.

W ogólności podoba mi się dyskrecja, z jaką Krzemiński rysuje swoje obrazy. Nie znajdziemy w jego książce rozdzierających scen, dramatycznych gestów, szokujących symboli. Ludzie są ludźmi i nic co ludzkie nie jest im obce. Ustrzegł się autor biało-czarnych schematów i w tym upatruję jeszcze jedną wartość „Żelaznych liści".

Wydaje się, że czas, kiedy wojnę i okupację opisywało się w kategoriach martyrologicznych, ze swoistym i zrozumiałym wówczas koloryzmem, należy do przeszłości. Po tym, cośmy już napisali, po „Dniach klęski", „Dymach nad Birkenau", „Pożegnaniu z Marią" i tylu, tylu innych, nadeszła pora ujmowania tamtej rzeczywistości od innej strony: trzeba ukazać jej codzienną podszewkę, zapis dnia powszedniego, który także obfitował w dokonania bohaterskie, ale w innej skali i odmiennej atmosferze. Jak mawiał Tadeusz Breza: chodzi o to, aby kto inny napisał o czym innym — inaczej.

I jeszcze jedno: każde z opowiadań Krzemińskiego posiada swoją własną stylistykę, swój własny koloryt językowy. Jeśli bohaterem jest Francuz, znajduje to swoje odbicie również w strukturze słownej, a jeśli Ukrainka Werka (nawiasem mówiąc przypisana do środowiska polskiego, w którym nie czuje się dobrze), autor przenosi nas w nieco inny krajobraz literacki narracji.

Słowem: lektura ciekawa, ale dla tych, którzy umieją czytać. Zwolennikom łatwych efektów „Żelaznych liści" Włodzimierza Krzemińskiego nie polecam.

JAN KOPROWSKI

Włodzimierz Krzemiński: „Żelazne liście", Wydawnictwo Łódzkie 1978, stron 224, cena: zł 23. —

SPÓR O WSPÓŁCZESNOŚĆ

O nierządne królestwo
i zginienia bliskie,
Gdzie ani prawa ważą,
ani sprawiedliwość
Ma miejsce...

Tak oto, słowami Jana z Czarnolasu, chciałoby się podsumować zbiór szkiców Zbigniewa Irzyka pod wymownym tytułem „Królestwo literatów" (Warszawa 1978). Przedmiotem tej kontrowersyjnej książki jest spór o literaturę współczesną, a ściślej mówiąc spór o bieżące życie literackie. Są to ambicje niecęsto wśród dzisiejszych krytyków spotykane i dlatego warto im się nieco bliżej przyjrzeć.

Krytyka literacka w wykonaniu Irzyka staje się dyscypliną prowokującą. Umie on postawić problem, to znaczy potrafi nie tylko wyłowić go spośród współczesnych zjawisk literackich, ale również uwikłać w inspirujące czytelnika emocje. Te we wspomnianych szkicach stają się najważniejsze. Bez specjalnego trudu przecież zauważyć można, że system argumentacji warszawskiego krytka apeluje głównie do naszych uczuć i odczuć — poczucia godności narodowej, niepodważalnej wartości literatury, ambicji twórczych itd.

Wywody autora „Królestwa literatów" sprowadzić można do kilku tez. Teza pierwsza: istnieje kontrast między rzeczywistymi dokonaniami naszej literatury współczesnej, a nadmiernie i w dodatku sztucznie rozbudowanym życiem literackim. Kontrast ów najlepiej ilustruje bezskuteczne oczekiwanie na wielkie dzieło, będące panoramą polskich losów i doświadczeń. Literatura — powiada krytyk — staje się coraz bardziej swego rodzaju azylem, stanowi dla wielu „cichą przystań bliżej niesprawdzonej działalności, glejt usprawiedliwiający pewne lenistwo umysłowe, cwaniactwo, brak wykształcenia, słabość i chwiejność charakteru". Teza nie tyle ryzykowna (choć mocnymi przecież słowami wyrażona), co po prostu nieprecyzyjna, ułatwiona i dlatego, być może, efektowna. Czy rzeczywiście nie ma poważnych dzieł o naszych losach i doświadczeniach? Czy wśród setek utworów prozatorskich, poetyckich i dramatycznych, jakie się u nas w ostatnim czasie ukazały brak jeszcze rzetelnej panoramy polskich dziejów współczesnych? Zazdroszczę Irzykowi takiej autorytatywnej jednoznaczności. Sam zresztą wymienia przy innej okazji sporo wybitnych książek. Chyba, że czeka tylko na arcydzieła. Ale tu sprawa się gmatwa, bo po pierwsze skąd je brać, a po drugie o arcydziełach rozstrzygają dopiero potomni. Jeśli zaś chodzi o azyl, to myślę, że dostarcza go bardziej Związek Literatów niż sama literatura. Przynależność do związku jest niewątpliwie swego rodzaju nobilitacją (społeczną, towarzyską), zwłaszcza dla twórców młodych, niedawnych debiutantów. Sama w sobie niczego jednak nie rozstrzyga i nie załatwia (pomijam, rzecz prosta, stypendia czy wyjazdy zagraniczne). Są w związku autorzy jednej książki, są poza związkiem autorzy kilku tomów, jest to więc wyróżnik raczej formalny, nie decydujący w żaden sposób o jakości utworów. A że egzystują w naszej literaturze autorzy drugorzędni, czy nawet trzeciorzędni? Cóż z tego! Zawsze byli. Kiedyś może nawet więcej, bo każdy mógł wydać płody swego ducha „nakładem własnym autora". I nikomu to specjalnie nie przeszkadzało, a czasem nawet pomogło. Znam zresztą kilku wybitnych poetów, którzy w ten sposób przed wojną debiutowali. A że hochsztaplerów spotkać można również w literaturze? Gdzie ich nie ma? W literaturze może nawet więcej niż gdzie indziej. Ale za to tu ich łatwiej wykryć i po prostu stępić (jeśli nie w wydawnictwie, to krytycznym piórem).

Teza druga: „nasza literatura jest chora; jedno z zasadniczych źródeł jej klęski upatruję właśnie w przeroście znaczenia literatów, ludzi bez własnych przekonań — nad pisarzami". Słowa jeszcze mocniejsze. Wizja zasię trochę utopijna: oto podstawowym kryterium rozpoznawania prawdziwego pisarza mają być zagadnienia moralne w wielorakich aspektach, jak na przykład wymierzanie sprawiedliwości światu, nieustępliwość w kwestiach merytorycznych wobec wydawców, odporność na pochlebstwa krytyków (jak również na opinie mniej pochlebne), konsekwencja w twórczości, czyli, mówiąc obrazowo, pisanie przez całe życie jakby jednego wielkiego, rozpisanego na głosy, utworu. Jest to kryterium sensu stricto normatywne i tak przez autora „Królestwa literatów" sformułowane: „podstawowym i niezbędnym warunkiem autorytetu pisarza jest jednorodność i konsekwencja ideowa jego dzieła, wyrażająca się w zgodności przekonań, które głosi jako człowiek, z tym, co realizuje w praktyce literackiej w kolejnych swoich utworach". Postulat głęboko słuszny, lecz jakże go sprawdzić na co dzień w konkretnych przypadkach, poza oczywiście ewidentnymi skrajnościami? I czy kłaść nacisk na konsekwencję, a nie na to, co się głosi? W tym przypadku też chyba zabrakło precyzji. Chora literatura — to chore treści, jakie upowszechnia. Czy o to chodziło Irzykowi? Częściowo, jak domyślałem się w trakcie lektury, i o to. Głównie wszak o nieprawidłowości życia literackiego (powierzchowność, nadmiar konkursów niewiele nowego wnoszących, przerost różnego rodzaju „dni literatury", „rocznicowa" rytmika pism literackich itd.). Aby to życie trochę uporządkować nie trzeba aż moralnego panaceum, wystarczy zdrowy rozsądek i trochę dobrej woli. Choć nie kryję sceptycyzmu — powątpiewam na przykład, czy uda się zlikwidować koterie literackie. Jest to zjawisko tak stare przecież jak sama literatura. Często koterie stanowiły poważną siłę napędową w zjawiskach literackich. Jakże więc wyobrazić sobie i współczesną literaturę bez nich?

Teza trzecia: krytyka literacka opiera się na zasadzie prawdy dla siebie i prawdy na sprzedaż. Funkcję swą rzadko kiedy traktuje serio. Działa raczej z przymrużeniem oka, uprawia „zabawę w krytykę". Nie chce powiedzieć wszystkiego, co wie, bo się to nie opłaca z powodów towarzyskich, środowiskowych, redakcyjnych, czy innych. Poszukuje więc pretekstu, mówi wycinkowo, bądź ogólnie. We współczesnej krytyce — twierdzi Irzyk — nastąpiła dewaluacja pochwał. Panegiryk zastąpił pamflet. Czasopisma nie prowadzą polityki recenzenckiej, obowiązuje prawo przypadku. Brak krytyków wielkiego formatu. Gdzie współczesny Irzykowski, gdzie Boy? Gdzie wspaniałe polemiki? Narzekania na krytykę (nie tylko literacką notabene), jakkolwiek nie powstały z niczego, są również wyrazem pewnej mody ukształtowanej w ostatnich zwłaszcza kilku latach. Liczne wypowiedzi w tej kwestii wskazują na jeszcze jedną, nie zauważoną przez Irzyka, prawidłowość. Oto najczęściej obecnie narzekają na krytykę... sami krytycy. Chowają się za wygodnym parawanem samokrytyki. Konstatują fakty, stwierdzają impas, kreślą kierunki naprawy, lecz na realizację oczekują ze strony kolegów. Nie ulega tedy wątpliwości, że upragnioną przez wielu pozycję krytyka — przewodnika zdominował krytyk — kondotier. Nie można jednak mimo wszystko kwestionować istnienia nazwisk dużego formatu w krytyce. W pewnym momencie Irzyk przypomina sobie o nich, choć zdaje się sugerować, że to po prostu za mało. Utyskiwania na krytykę wynikają zapewne w znacznej mierze z zapotrzebowania na literacką dyskusję, na ożywczą polemikę, na swobodną i wyrazistą wymianę poglądów. A tę właśnie w pierwszym rzędzie zapewniać powinna krytyka, chociaż po prawdzie zależy to bardziej od ogólnej atmosfery literackiej niźli od samej sprawności krytycznych piór.

Prowokacje Zbigniewa Irzyka obliczone są — jak już wspomniałem — na wywołanie określonych emocji, na pobudzenie twórczej irytacji. I to się w zasadzie „Królestwu Literatów" udaje. Bo nawet jeśli odrzucimy przesadę w widzeniu niektórych zjawisk, jeśli oczyścimy jego wywody ze stylistycznych przejaskrawień, rzeczywiście niedomogi życia literackiego będą widoczne. Tyle tylko, że musimy zdać sobie w tym momencie sprawę z dwóch przynajmniej uwarunkowań. Po pierwsze książka Irzyka poświęcona jest programowo negatywnym przejawom współczesnego życia literackiego, o pozytywach mówi więc raczej skromnie, jeśli je w ogóle dostrzega. Po drugie, i istotniejsze, ani autor „Królestwa Literatów", ani nikt inny chyba nie jest w stanie przewidzieć praktycznych skutków diagnozy zawartej w tej krytycznej wypowiedzi. Nie wystarczy utyskiwać na ułatwione życie literackie. Trzeba mieć jeszcze świadomość, że takich rzeczy nie załatwia ani dekret, ani najlepsza nawet książka krytyczna. Rządzą tu bowiem prawa procesu historycznoliterackiego, cały zespół zjawisk i wzajemnych zależności. Ale na proces ów można przecież wpływać. Choćby przez upowszechnienie i wprowadzenie w czyn starej dewizy słynnego skądinąd markiza de Sade:

„Nikt cię nie zmusza do rzemiosła, które wykonujesz; jeśli wszelako na nie się zdecydowałeś, czyń je dobrze. Przede wszystkim nie uważaj go za podstawę swej egzystencji; dzieło twoje odczuje ciężar twoich potrzeb, przeniesiesz na nie swoją słabość; będzie straszyło bladością głodomora. Masz przecież do wyboru inne zajęcia; rób buty i nie rób książek. Nic przez to nie stracisz w naszych oczach, a skoro nie będziesz nas nudził, może nawet będziemy cię bardziej cenić".

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

SYBERIA

W polskiej tradycji narodowej, za sprawą głównie romantyków, słowo Syberia, oznaczające właściwie olbrzymią krainę rozciągającą się od Uralu do Oceanu Spokojnego, ma szczególną wymowę. Był to historyczny obszar naszej martyrologii od czasów konfederacji barskiej aż po ostatnie dni caratu. Nawet Prus, ten programowy antyromantyk, nazywa Syberię „drugą polską ojczyzną". Na te tereny posłał Władysław Orłowski bohatera swojej najnowszej powieści „Idę razem z wami" wyposażając go wszakże w świadomość już naszego czasu. A dla naszej formacji umysłowej jest przecież Syberia coraz częściej krainą niespożytych bogactw naturalnych, nieskażonej przyrody i... powstającego przemysłu.

Dla Ernesta Rybickiego „trochę historyka, trochę mistyka", naprawdę zaś naczelnego inżyniera zjednoczenia energetycznego, Syberia ma początkowo posmak tamtej martyrologicznej tradycji. W rozmowie z młodym entuzjastą syberyjskich elektrowni Olegiem Griszinem powie nawet: „Syberia wpisana jest tak trwale w historię mojego narodu, że zobaczenie jej jest dla każdego z nas czymś ważnym". A. Griszin zareplikuje: „Te wspomnienia, wciąż żywe dla polskiego narodu, wcale was z nami nie dzielą ani nie różnią".

W momencie podróży służbowej jest Rybicki jednym z najbardziej samotnych i godnych współczucia ludzi. Starzejący się już mężczyzna, utraciwszy zaufanie żony, jest przedmiotem wzgardy znacznie młodszej od siebie kochanki. Niepowodzenia osobiste i zawodowe spychają go na drogę alkoholizmu i lekomanii, coraz częściej traci też busolę w poczynaniach ze współpracownikami. Dla zneurastenizowanego menażera, jeśli to słowo pasuje do człowieka właściwie schorowanego a już na pewno miękkiego, lot na Syberię jest właściwie rodzajem ucieczki od przygniatających go spraw. Spodziewać się więc możemy, że ten psychiczny portret niezbyt pociągającego bohatera, na dalszych kartach powieści ulegnie pogłębieniu, sama zaś podróż i jej opis stanie się tylko sztafażem dla podkreślenia stanów emocjonalnych Rybickiego. Staje się jednak inaczej, powieść „Idę razem z wami" przekształca się w typową relację podróżniczą, naszpikowaną faktami, nazwiskami i datami, której nieprześcigniony wzorzec stworzył Juliusz Verne. A głównym bohaterem staje się Syberia wraz z jej przeszłością, już zamkniętą, i teraźniejszością, która musi fascynować. Trasa Rybickiego wiedzie przecież z Moskwy do Nowosybirska, potem jest Irkuck i stanowiący jego ozdobę Bajkał, niemal dziewiczy, zagubiony w tajdze Brack, wreszcie Ust' — Ilimsk.

Trzeba przyznać, że o tej Syberii potrafi Orłowski opowiadać zajmująco posługując się jak medium swoim bohaterem. Zajmująco i rzetelnie. Okazuje się, że w przeszłości gnała nas w tamte strony nie tylko martyrologia, że zasłynęliśmy także jako badacze i odkrywcy. Wystarczy przywołać takie nazwiska jak Jan Czerski, Benedykt Dybowski, Godlewski, Witkowski, że wspomnimy najważniejsze. Orłowski raz po raz wplata historyczne życiorysy w curriculum vitae swego fikcyjnego bohatera. I Rybicki ogromnie zyskuje jako erudyta, którego myśli przesycone są refleksją wykraczającą poza sprawy przyziemne, doraźne. Powoli wciąga go magia Syberii. Stanie się jej entuzjastą jak Griszin, który na początku musiał mu przecież zachwalać jej uroki.

Orłowski stanął tu przed wielką szansą, mógł napisać w tym momencie książkę, jakiej nikt przed nim do tej pory nie napisał: powieści, która mówiłaby o tym, co łączy współczesne generacje Polaków i Rosjan przecież właściwie nie ma, autorzy wykpiwają się reportażami, ale są to tylko półśrodki. Lecz i on uległ, jak Rybicki, magii Syberii i o ten temat nie tknięty przez prozę artystyczną właściwie tylko się oparł, rozwiązując go na płaszczyźnie braterstwa broni. Można powiedzieć: szkoda, skoro temat współczesny wprost kusi nas nowymi faktami takimi jak gazociąg Orenburski, jak wspólny radziecko-polski lot kosmiczny. Ale jako sukces autora należy zapisać to, że uprzytomnił nam mało znane fakty z przeszłości i podporządkowując je wymogom powieściowej dramaturgii ukazał nową Syberię jakże różną od tamtej, której obraz, za sprawą lektur romantyków, wciąż jeszcze mimo wszystko gdzieś tkwi w naszej podświadomości. Okazało się, że powieść podróżnicza nie przeżyła się jako gatunek, co także trzeba zapisać na konto plusów autora.

KONRAD FREJDLICH

Władysław Orłowski: „Idę razem z wami". Wydawnictwo Łódzkie, 1978, str. 212, cena zł 20,—.

JAN BĄBIŃSKI

...GDYBY HITLERA ZGŁADZONO

O godzinie 12.40, dwudziestego lipca 1944 roku, ładunek wybuchowy o wadze jednego kilograma rozerwał się w odległości dwóch metrów od nóg stojącego w swej kwaterze Adolfa Hitlera. Ładunek podłożył pułkownik von Stauffenberg. Miało to być sygnałem obalenia władzy nazistów w Trzeciej Rzeszy. Chodziło o utworzenie nowego rządu, skłonnego do zawarcia kompromisowego pokoju z zachodnimi mocarstwami. Jednak Hitler nie zginął. Po dwunastu godzinach pucz całkowicie się załamał, a führer wygłosił przez radio przemówienie o „zbrodni największej w długiej historii narodu niemieckiego".

Konspiratorom przyświecał cel zasadniczy. Chcieli po zamachu przechwycić błyskawicznie ster państwowych rządów. Gdyby Hitler odszedł, zaszyfrowany kodem sygnał „Valkiria" miał być podany do ośrodków dyspozycyjnych niemieckiego Wehrmachtu. To armia miała przejąć kontrolę w okresie przejściowym. Następnym sygnałem miano powiadomić dowódców armii, że utworzono nowy rząd, na którego czele stanął generał Beck.

Wtedy też miało dojść do aresztowania przywódców nazistowskich i co wyższych rangą esesmanów.

Aby plan mógł się powieść, przynajmniej trzy warunki musiały być przedtem spełnione.

Po pierwsze generał Fromm miał dać rękojmię, że sygnał „Valkiria" dojdzie do właściwych w armii osobistości. Po drugie sami konspiratorzy mieli uprzednio opanować Berlin i berlińską radiostację. Po trzecie i ta pewność musiała istnieć, że głównodowodzący Wehrmachtem na froncie zachodnim, więc marszałek von Kluge, istotnie zechce wszcząć z Eisenhowerem rozmowy w sprawie zawieszenia broni. Żaden z tych warunków spełniony nie został. I to właśnie ułatwiło Hitlerowi szybkie opanowanie sytuacji.

Generał Fromm połączył się z Główną Kwaterą Hitlera i dowiedział się, że führer żyje. Więc natychmiast zmienił front. Nie udało się też zajęcie strategicznych punktów w Berlinie. Goebbels udanie skontratakował. Wreszcie sam fakt, że Hitler zamach przeżył, odstręczył marszałka von Kluge, od jakiejkolwiek akcji we własnym imieniu na Zachodzie. — Nic się nie da zrobić — powiadomił konspiratorów. — Führer przecież żyje. Koniec, kropka, nie ma o czym mówić.

Dziś, kiedy mija kolejna rocznica wybuchu II wojny światowej, wielu historyków wraca do kwestii puczu z 20 lipca 1944 roku i do ewentualnych następstw, które by mógł przynieść w wypadku powodzenia. Obszerny artykuł opublikował na ten temat w londyńskim „Timesie" doktor John Rae z Westminster School. Co by było, gdyby Hitler został zamordowany w 1944 roku, zastanawia się doktor Rae. I odpowiada długim wywodem, który by można streścić w ten mniej więcej sposób.

Autor uważa, że nawet gdyby Hitler poszedł do ziemi, to wcale to jeszcze nie dałoby żadnej gwarancji, że konspiratorzy istotnie władzę by uchwycili i ją rzeczywiście utrzymali. Nazwiska konspiratorów, z wyjątkiem może von Stauffenberga, zbytniego zaufania nie budziły. Byli to ludzie raczej na ogół nie znani. Głównie byli to arystokraci pruscy i emerytowani oficerowie. Jeszcze kilku liberałów i chrześcijańskich idealistów. I to wszystko. Prawdopodobnie Hitler miał rację — pisze doktor Rae — kiedy mówił, że „krąg konspiratorów był wąziutki i nic nie miał wspólnego z duchem panującym w Wehrmachcie i nic wspólnego nie miał też z niemieckim narodem."

Załóżmy jednak, że wszystko się powiodło i nowy rząd z generałem Beckiem został w końcu utworzony. Co dalej? Rząd musiałby zdobyć poparcie opinii publicznej. Musiałby również podjąć pertraktacje w sprawie zawieszenia broni.

Ten rząd pilnie by potrzebował wsparcia chociażby Rommla czy Speera, osób niezwykle wówczas w Trzeciej Rzeszy popularnych. Rommel leżał jednak wówczas już w szpitalu, Speer zachowywał się dwuznacznie i jego stanowisko budziło wiele wątpliwości. Konspiratorzy liczyli, że zyskają poparcie społeczne po zdemaskowaniu zbrodni w obozach koncentracyjnych. Doktor Rae ma jednak wątpliwości i pisze: — „wcale to jednak pewne nie było, czy naród by stanął u boku konspiratorów, jeśliby się powiedziało, jakich potwornych zbrodni dopuszczono się w imieniu tegoż właśnie narodu".

Prawdopodobnie wiele też zależało od ułożenia stosunków nowego rządu z zachodnimi mocarstwami. Tak przynajmniej uważa angielski historyk. I dodaje, że błąd był zasadniczy i kalkulacje fałszywe. Konspiratorzy planowali poddanie się Wehrmachtu na froncie zachodnim. Anglo-amerykańskie dywizje miałyby w krótkim czasie i bez walki zająć całe Niemcy. Sądzono, że Churchill i Roosevelt zgodzą się na te sugestie. Był to rachunek bez pokrycia. Przywódcy zachodni żadną miarą nie mogliby się wówczas zdecydować na zdradę Związku Radzieckiego. A przyjęcie propozycji konspiratorów taką zdradą by było. W poprzek tych zamiarów stanęłyby same narody. Ani Anglicy, ani Amerykanie na to by nie poszli. Te narody znajdowały się pod ogromnym wrażeniem heroicznej walki ludów Związku Radzieckiego z hitlerowskim najeźdźcą. Odwrócenie się plecami do Stalina było nawet dla Churchilla czymś w ówczesnej sytuacji nie do pomyślenia. Roosevelt również nie chciał ani słyszeć o podobnym rozwiązaniu. Potrzebował Związku Radzieckiego jako głównego sojusznika w walce z wciąż groźną Japonią.

Alianci byli zresztą w lipcu 1944 roku panami sytuacji. Ich celem była bezwarunkowa kapitulacja Niemiec. Przecież nazajutrz po wybuchu bomby w Kwaterze Głównej, więc 21 lipca, von Kluge powiadomił Hitlera, że alianckie armie przerwą lada moment front na Zachodzie. Rzeczywiście. Tak się stało: 25 lipca, anglo-amerykańskie dywizje zalały szybko Francję i Belgię, zatrzymały się dopiero na Renie. Radzieccy żołnierze stanęli już wtedy na terytorium Polski. Wojna była rozstrzygnięta. Kapitulacja Trzeciej Rzeszy była już tylko kwestią czasu. Tak więc, kończy angielski historyk, nawet po zamordowaniu Hitlera konspiratorzy nigdy by swych celów nie osiągnęli. Prawdopodobnie po niewielu dniach znaleźliby się sami za kratkami, jako ofiary „kontrpuczu" dokonanego przez generałów zdecydowanych na walkę do końca i to na wszystkich frontach. Jest możliwe, że władzę przejąłby wtedy sam Himmler, gdyby oczywiście ten pierwszy pucz przeżył.

Angielski historyk utrzymuje, że po śmierci Hitlera wojna dopiero by rozgorzała na dobre. Sądzi, że do głosu doszliby ci najbardziej utalentowani generałowie, których zadufany w sobie Hitler zdegradował, zdymisjonował, lub odesłał w swych kolejnych wybuchach szału w stan spoczynku. Jest możliwe, że Guderian, wybitny przecież specjalista, zdołałby, wolny od ciągłych ingerencji führera, skonsolidować obronę Trzeciej Rzeszy w sposób bezbłędny i wojnę nawet przedłużyć. Z Hitlerem, czy bez Hitlera los Trzeciej Rzeszy byłby w końcu ten sam. Ogromne zniszczenia i bezwarunkowa kapitulacja. Powodzenie zamachu z 20 lipca 1944 roku w żadnej mierze biegu historii by nie zmieniło.

Na zakończenie jeszcze wyjątek z listu, jaki w tymże „Timesie" ukazał się po artykule doktora Johna Rae.

Autorem listu jest profesor Henry Koch z Uniwersytetu w Yorku. Profesor pisze:

„Marlis Steinert w swej książce „Hitlers Krieg und die Deutschen" udowodnił, że konspiratorzy nie mieli społecznego poparcia. Działali w próżni. Moim zdaniem nie tylko narodowi socjaliści, ale nawet krytycy hitlerowskiego reżimu potępiliby zabójców Hitlera w lipcu 1944 roku, kiedy walka na frontach toczyła się na śmierć i życie.

Stwierdzono przecież, że ten nieudany zamach tylko wzmocnił poparcie dużych kręgów niemieckiej społeczności dla reżimu, który był niczym innym jak bezprzykładną tyranią... A jeszcze i inny czynnik warto by wziąć pod uwagę. Czynnik psychologiczny właśnie. Gdyby zamach na Hitlera się powiódł, ożyłaby legenda o „nożu w plecy", jakże żywa w Niemczech po pierwszej wojnie światowej."

Tyle o głosach historyków angielskich. Można się z nimi zgodzić lub nie. Są na pewno zresztą dyskusyjne. Ale do myślenia dają. I to dużo.

MACIEJ ŁUKOWSKI

CUBA 78

(notatnik festiwalowy)

Program dziecięcy festiwalu był obok programu studenckiego drugim specjalistycznym, wyodrębnionym zespołem problemów, nad którymi debatowali przedstawiciele organizacji dziecięcych z całego świata. Dwa zasadnicze tematy, którym poświęcono główne obrady programu dziecięcego to „obrona praw dziecka" i zagadnienie „sztuki w wychowaniu dziecka". Konferencje teoretyczne toczyły się przy imponującej oprawie rozlicznych imprez kulturalnych i rekreacyjnych skupiających dzieci z całego niemal świata, mieszkające na terenie wspaniałego obozu pionierów im. Jose Marti.

Kiedy po raz pierwszy w drugim dniu festiwalu wyjechaliśmy na imprezę otwarcia tzw. „Święta lata" wiedzieliśmy o obozie im. Jose Marti stosunkowo niewiele, nie bardzo sobie też mogliśmy wyobrazić organizację obozu dla tak dużej liczby dzieci. Przyzwyczajeni do naszych koncepcji obozowania pod namiotami lub w ośrodkach stałych o dosyć typowej konstrukcji oczekiwaliśmy, być może podświadomie, czegoś podobnego i tam pod gorącym niebem tropiku. Obóz położony jest nad samym brzegiem oceanu ponad 30 kilometrów od Hawany. Cały czas jechaliśmy autostradą ułożoną między nadbrzeżnymi wzgórzami co pozwalało na podziwianie z jednej strony egzotycznej dla nas roślinności pokrywającej grzbiety wzgórz a z drugiej brzegu oceanu. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed bramą obozu. Kolorowe, szklane kwadraty z kolejnymi literami nazwy obozu zdobiły wejście. Po obowiązującym sprawdzeniu przepustki wjeżdżamy na teren. I tu pełne zaskoczenie. Nie ma baraków, namiotów ani szeregu jednakowych domków. Przed naszymi oczami wtopiona w soczystą zieleń, udekorowana oazami różnobarwnych kwiatów, delikatna zróżnicowana architektura jasnych domków, pawilonów willi, i bardziej okazałych budynków mieszczących sale widowiskowe i konferencyjne, szpitale, stołówki. Ocienione aleje stanowiące wewnętrzną sieć dróg, prowadzą do coraz to bardziej atrakcyjnych budowli. Tu mieszka jednocześnie 21 tysięcy pionierów. Obóz egzystuje nie tylko w okresie lata, ale spełnia swoją bardzo istotną rolę w czasie całego roku. Tu odbywają się 2- lub 3-tygodniowe turnusy w czasie których przybyłe dzieci uczą się, bawią, są pod opieką lekarską pozwalającą na przebadanie w ten sposób ogromnej liczby najmłodszych obywateli Kuby. Są tu i miejsca specjalistycznej opieki lekarskiej. Trzy szpitale pozwalają na stworzenie dogodnych warunków dla dzieci o schorzeniach cukrzycowych, chorobach serca i wielu innych.

Teraz obóz był miejscem pobytu tych, którzy wybrani jako ci najlepsi, razem ze swymi kolegami prawie z całego świata uczestniczyli w festiwalowych imprezach.

„Święto lata" to umowna nazwa całego szeregu imprez, które bez przerwy odbywały się na terenie obozu. Kiedy pokazano nam wszystkie tajniki obozu, pierwszym miejscem, które zaszokowało nas zupełnie, było rodeo. Autentyczne rodeo dla 9—11-letnich dzieci. Z pełną oprawą zarówno dekoracyjną jak i organizacyjną. Na trybunach zasiadali koledzy a na arenie próbowali się utrzymać na grzbiecie najautentyczniejszych byków najmłodsi z odważnych. Było i wiele inscenizacji stanowiących dodatkową atrakcję spektaklu, ale fakt utrzymania się na grzbiecie byka przez wymagane 15—20 sekund niczym nie różnił się od „dorosłych" zawodów. Funkcję bhp spełniali dorośli w kowbojskich kapeluszach, którzy w niebezpiecznych chwilach spieszyli na ratunek. W tle areny niczym specjalnie dobrana dekoracja falował spokojnie ocean. Mimo swej urokliwej soczystej barwy był on w tym miejscu bardzo niebezpieczny, przed kilkoma dniami w tej okolicy utopiła się trójka dzieci. Teraz nikt się już tu nie kąpie, dzieci mają własne plaże na wewnętrznym zbiorniku wodnym, takim niewielkim zalewie, na którym wybudowano przystań wodnych rowerów, po którym kursują spacerowe stateczki. Jak przystało na raj dziecięcy jest tam i wesołe miasteczko zakupione od Japończyków, a szczególna atrakcja — wspaniała kolejka linowa przeprowadzona nad najgłębszym zagłębieniem tamtego terenu i nad zalewem, jak się dowiedzieliśmy była japońskim upominkiem. Z maleńkiego 2-osobowego wagoniku kolejki jest imponujący widok z jednej strony na cały zalew, a z drugiej na centralny amfiteatr mieszczący jednocześnie 10 tys. osób. Właśnie w tym amfiteatrze odbywały się wszystkie imprezy kultralne. Jakby przylepiono go do stromego zbocza nad zalewem, tym samym stanowi konstrukcję przykuwającą wzrok.

Kiedy wróciliśmy do centrum obozu właśnie przygotowywały się do występu orkiestry dęte. Było ich bardzo dużo. Nie zdołaliśmy policzyć czy było ich dwadzieścia czy więcej. Każda miała inny strój a obok werbli i fanfar w każdej występował zespół marszowy, który tworząc jakby czoło kolumny wykonywał skomplikowane figury. Kubańczycy kochają się w kolorach zdecydowanych, jaskrawe umundurowanie orkiestr na tle soczystej zieleni stawało się zupełnie bajkową sceneria.

Historia obozu pionierów jest ciekawa, zaczęło się od dawnego osiedla willi wypoczynkowych z okresu przed rewolucją. Przez kilka lat domki nie były wykorzystywane i nie bardzo było wiadomo jaka będzie ich dalsza egzystencja. Decyzja Fidela Castro rozpoczęto tworzenie wielkiego obozu pionierów. Początkowo liczył 4.000 miejsc, 5 lat później przyjeżdżało już 10 tys. dzieci. W roku 1977 otwarto nowe pawilony na łączną liczbę 15.000 dzieci, a tuż przed festiwalem doprowadzono obóz do wielkości 21 tys. miejsc. Jest to obiekt autentycznie imponujący a warunki dla wypoczywających dzieci znakomite. Kiedy dokładniej poznaliśmy poglądy Kubańczyków, nie dziwiliśmy się takim nakładom na dziecięcy obóz. Dzieci cieszą się na Kubie specjalną sympatią. Jak twierdzą ci, którzy przyjechali na Kubę z Polski i teraz są jej stałymi mieszkańcami (małżeństwa polsko-kubańskie nie należą do wyjątków), ta opieka nad dziećmi przybiera czasami efekty rodem z naszych rodzin, gdzie miłość matczyna przerasta granice rozsądku. Dzieci mają tam specjalne prawa, są wychowywane w warunkach pełnej swobody. Dotyczy to oczywiście jedynie najmłodszych, kiedy zaczyna się okres szkolny, warunki zmieniają się zasadniczo. Dzieci uczą się i pracują a praca jest tu nieodłączną częścią wychowania. A dzieci na Kubie są śliczne. Bardzo zadbane, ubrane w różnobarwne stroje o skórze ciemnej i mleczno-czekoladowej o urokliwych buziach i fascynujących uśmiechach. Wzruszają i wywołują sympatię. Mieliśmy z nimi do czynienia przez cały czas festiwalu. Kiedy wyjeżdżaliśmy i przyjeżdżaliśmy do wioski to, jak ich nazywaliśmy, „dyżurny zastęp pionierów" witał nas i żegnał. Dzieci oblegały nas w czasie wszystkich spacerów prosząc o autografy.

We wszystkich dniach programu dziecięcego delegacja polska aktywnie uczestniczyła w obradach; wygłoszono 3 referaty a także zaproszono wszystkich do udziału w sympozjum na temat roli filmu w wychowaniu dziecka, które odbędzie się w Polsce z okazji Roku Dziecka w przyszłym 1979 r. Konferencja prasowa, która zakończyła cały program roboczy odbyła się jak wszystkie inne konferencje we wspaniałej, klimatyzowanej sali w centrum kulturalnym. Ciekawiło nas bardzo o co pytać będą dziennikarze, jakie sprawy są dla nich aktualnie najważniejsze. Podobnie jak i w innych festiwalowych miejscach, tak i tu padały pytania dotyczące przede wszystkim Chile i Angoli.

Program dziecięcy zakończyła uroczystość ogłoszenia kodeksu praw dziecka, który obowiązywać będzie na Kubie. Na tę uroczystość przybył sam Fidel Castro, który podał do publicznej wiadomości, że Kuba pomagając krajom afrykańskim buduje specjalne szkoły, w których uczyć się będą dzieci murzyńskie. Tu na Kubie zdobywać będą podstawy tak niezbędnej przecież edukacji. Chociaż jak twierdzą Kubańczycy analfabetyzm to dla nich już historia, ale kształcenie uważają za rzecz niezwykle ważną. Wielu spotkaliśmy Kubańczyków, którzy wykształcenie zdobyli na naszych wyższych uczelniach i do sympatycznych należały momenty, kiedy okazało się, że wśród obsługi naszej festiwalowej wioski, rekrutującej się z pracowników i studentów politechniki spora część mówi po polsku a inni przez czas trwania festiwalu uczą się tego języka.

Program dziecięcy zakończyliśmy na 2 dni przed uroczystościami zamknięcia festiwalu. Wróciliśmy do naszych delegacji wojewódzkich, aby wspólnie uczestniczyć w ostatnich imprezach centralnych. Z pobytu w obozie im. Jose Marti pozostają jednak niepowtarzalne wrażenia. Znając sytuację gospodarczą Kuby i jej liczne kłopoty w tym względzie takie obiekty jak obóz im. Jose Marti musi niewątpliwie szokować, tak jak szokowało nas planowanie Kubańczyków z dużym perspektywicznym wyprzedzeniem. Oni teraz budują autostrady z 4—5 pasmami każdej jezdni. Chociaż aktualny stan motoryzacji na Kubie nie usprawiedliwia takiego rozmachu, Kubańczycy twierdzą że nie stać ich na budowanie autostrad tylko na dzień dzisiejszy. Jest w tym planowaniu coś godnego naśladowania.

Foto: Archiwum

U PRZYJACIÓŁ

NOWA FALA W KINIE RADZIECKIM? Sukcesy filmów radzieckich ostatnich lat, również i na arenie międzynarodowej, są zdaniem wielu krytyków oznaką pojawienia się „nowej fali". Czy termin ten, odnoszący się swego czasu do dzieł twórców filmowych z Francji, jest rzeczywiście adekwatny do sytuacji w kinematografii radzieckiej? Na ten temat wypowiedział się ostatnio przewodniczący Państwowego Komitetu ds. Kinematografii — Filip Jermasz.

„Żaden gatunek sztuki nie może istnieć bez stałego dopływu nowych twórców — a co za tym idzie — nowych poszukiwań i rozwiązań, świeżego młodzieńczego zapału, pogłębionego aktywnym stosunkiem do procesów zachodzących w życiu. Każde więc pokolenie wnosi coś własnego, a wszystkie tworzą kino radzieckie" — stwierdza minister Jermasz.

Kto dziś tworzy radzieckie kino? Starsze pokolenie — to ludzie, którzy pomnażali sławę młodej ongiś kinematografii: Aleksandrow, Gierasimow, Chejfic, Doński, Jutkiewicz, Zarchi. Po wojnie pojawił się nowy zastęp filmowców: Bondarczuk, Czuchraj, Naumow, Ozierow, Rostocki. Następne pokolenie to Konczałowski, Szepitko, Tarkowski, Klimow, Sacharow, Szengelaja, Bykow i inni.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat produkcja radzieckiej kinematografii ustabilizowała się na poziomie 140—150 filmów rocznie. W ostatnim pięcioleciu debiutowało ogółem ok. 150 młodych reżyserów, a także liczna grupa scenarzystów, operatorów i aktorów. Dopływ nowych kadr jest zjawiskiem naturalnym, ale wymaga stałej opieki. W tym celu stworzono m. in. Centralne Studium dla scenarzystów. Na studium przeprowadzono szereg konkursów, które przyniosły interesujące rezultaty. Organizuje się również specjalne kursy reżyserskie dla osób wykazujących uzdolnienia w tym kierunku. W toku „normalnych" studiów w Głównym Instytucie Kinematografii każdego roku przybywa ok. 15 reżyserów-dyplomantów.

„W ostatnim okresie ukształtowała się plejada najmłodszych, bardzo interesujących artystów — mówi F. Jermasz — Sołowiej, Asanowa, Wsiljew, Ławrow i inni. Żywy, barwny i różnorodny w pomysłach i formie jest ten ruch naszej młodej kinematografii, ale określanie go jako „nową falę" jest chyba niewłaściwe, ponieważ cały dorobek młodych wywodzi się i na swój sposób kontynuuje najlepsze tradycje radzieckiego kina.

LITERATURA SWIATOWA W ZSRR. Na temat recepcji utworów światowej literatury w Związku Radzieckim w minionym 60-leciu wypowiedział się w wywiadzie dla Agencji Prasowej „Nowosti" Borys Stukalin, przewodniczący Państwowego Komitetu ds. Wydawnictw Poligrafii i Księgarstwa.

Min. Stukalin przypomniał, że na zorganizowanej w ub. roku w Moskwie retrospektywnej wystawie książek autorów zagranicznych, które ukazały się w latach władzy radzieckiej, zademonstrowano ponad 13 tysięcy edycji, co stanowiło ok. 20 proc. całości dorobku wydawniczego. Łączny nakład książek autorów z 136 krajów świata wynosił ok. dwa miliardy egzemplarzy.

Dalszy znaczny wzrost literatury przekładowej w ZSRR nastąpił po konferencji w Helsinkach. Dla przykładu: w 1971 r. opublikowano 63 mln egz. książek autorów zagranicznych, a w 1977 już ponad 110 mln. W latach 75—77 opublikowano utwory ponad 6 tys. autorów zagranicznych. Jedną z reprezentatywnych pozycji w tym zakresie stał się 5-tomowy almanach „Poezja europejska", w którym utwory najwybitniejszych poetów kontynentu wydrukowano w językach oryginałów i w przekładzie rosyjskim.

Obecnie dzieła zagranicznych twórców wydawane są w ZSRR aż w 50 różnego rodzaju seriach. M. in. „Biblioteka współczesnej fantastyki", „Współczesna dramaturgia zagraniczna", „Opowiadania pisarzy RFN", „Amerykańska nowela XX wieku", „Dwa wieki poezji francuskiej".

POLONICA KULTURALNE. Ukraińskie Wydawnictwo „Dnipro" przystąpiło do edycji 5-tomowego zbioru utworów Bolesława Prusa. W wydanym już I tomie znajdują się nowele i opowiadania polskiego pisarza.

W Stuttgarcie otwarto wystawę polskiego malarstwa z XIX i początku XX wieku. Największa z dotychczasowych ekspozycji polskiego malarstwa obejmuje 120 płócien, m. in. Matejki, Fałata, Michałowskiego, Wyczółkowskiego, Grottgera.

Nagrodę specjalną „Trójząb Neptuna" zdobył film Marka Pisarskiego pt. „Bałtyk jest jeden" na IX Międzynarodowym Festiwalu Filmów Telewizyjnych w Jurmale na Łotwie.

NIKARAGUA

NARÓD PRZECIWKO DYKTATURZE SOMOZY

Front Wyzwolenia Narodowego im. Saudino umacnia się coraz bardziej jako przodująca i stymulująca siła Szerokiego Frontu Opozycyjnego, do którego wchodzi 16 partii politycznych i 3 organizacje związkowe. Inaczej mówiąc, wchodzą doń nieomal wszyscy przeciwnicy prezydenta Somozy — od konserwatystów do komunistów.

Szeroki Front Opozycyjny żąda ustąpienia gen. Somozy, utworzenia tymczasowego wielopartyjnego rządu i przeprowadzenia wolnych wyborów. Kościół zajął analogiczną pozycję, a arcybiskup Managui zażądał usunięcia Somozy ze stanowiska prezydenta. Mimo tej zwartej jednomyślności opozycji, dyktator Nikaragui trzyma się kurczowo władzy i nie stracił nadziei na utrymanie się na stanowisku prezydenta, chociażby do zakończenia swoich pełnomocnictw w 1981 roku.

Nikaraguą rządzi konglomerat w składzie: dyktator Anastasio II Somoza Debayle, jego syn Anastasio III — oficer gwardii narodowej, Jose — syn Somozy z nieprawego łoża, dalsza rodzina, gwardia narodowa i ambasador USA. Rządy te trwają już 45 lat, od 1933 roku, kiedy to amerykańska piechota morska, okupująca ten kraj już od 20 lat, przekazała władzę wojskową miejscowej gwardii narodowej, stawiając na jej czele niejakiego Anastasio Somozę, absolwenta amerykańskiej szkoły wojskowej w West Point. Od owych czasów klan Somozy i amerykańskie kompanie kontrolują 80 proc. ekonomiki Nikaragui. Krewni Somozy spekulują działkami ziemi i nieruchomościami. Reżim dynastii Somozów utrzymują Stany Zjednoczone jako barierę „na drodze rozprzestrzeniania się komunizmu w Ameryce Środkowej".

Korupcja na wszystkich szczeblach, nędza mas i okrutne represje, jako odpowiedź na najmniejszy nawet odruch protestu, doprowadziły ten przegniły reżim na skraj przepaści. Dyktator może dziś liczyć tylko na cieszącą się złą sławą gwardię narodową, poparcie kilku bogatych właścicieli ziemskich i błogosławieństwo Białego Domu. Po zwycięskiej operacji wojskowej partyzantów z Frontu Wyzwolenia Narodowego im. Saudino przeciwko dyktatorowi (szturm na Pałac Narodowy — red.) wojna domowa ogarnęła niemal cały kraj. Ludność demonstruje wolę walki przeciwko krwawej dyktaturze kliki Somozy. W wielu rejonach kraju toczą się krwawe starcia uczestników ruchu antyrządowego z uzbrojoną po zęby gwardią narodową. W mieście Matagalpa — trzecim co do wielkości ośrodku Nikaragui — samoloty wojskowe zbombardowały dzielnice robotnicze pozostające pod kontrolą strajkujących. Brak na razie pełnego obrazu tej wyzwoleńczej walki narodu Nikaragui. Sytuacja Frontu Wyzwolenia Narodowego jest z pewnością trudna, bowiem Stany Zjednoczone na pewno nie porzucą swego sojusznika i wasala dopóty, dopóki nie znajdą odpowiedniego kandydata na jego miejsce.

W Nikaragui, kraju wyłącznie rolniczym, zrozpaczeni i wyzuci z ziemi chłopi siłą zajmują majątki ziemskie bogatych obszarników. Somoza kieruje do prowincji żołnierzy, którzy krwawo rozprawiają się z chłopami. W styczniu tego roku gwardia narodowa utopiła we krwi wystąpienie w Managui. Sześć lat po strasznym trzęsieniu ziemi stolica Nikaragui jest nadal kupą gruzów. Nie ma planu odbudowy miasta. Środki przekazane przez społeczeństwa nieomal całego świata na rzecz ofiar katastrofy rozkradziono, przy czym lwią część subsydiów przekazał Somoza na konta przedsiębiorstw należących do swojej rodziny. Przytłaczająca większość mieszkańców Managui gnieździ się w norach. 85 proc. mieszkańców stolicy jest pozbawionych takich elementarnych wygód, jak wodociągi, elektryczność, kanalizacja. Od kilku miesięcy specjalne oddziały gwardii „do walki z terroryzmem" patrolują ulice, dokonując masowych rewizji i aresztowań. W prowincjach hula rozpasana armia, oficerowie i żołnierze dokonują aktów gwałtu, wymuszają i grabią. Kiedy w lutym tego roku, w mieście Mosaja, 30 km na południowy zachód od stolicy, wybuchło powstanie, gwardia narodowa zdławiła je przy użyciu śmigłowców, czołgów i samolotów bombardujących.

Rewolucja, która ogarnęła dziś Nikaragуę, jest powstaniem narodowym jednoczącym wszystkie grupy społeczne — lewicę i prawicę, biednych i bogatych — w walce zbrojnej przeciwko dynastycznej dyktaturze Somozów, która utrzymuje się przy władzy wyłącznie dzięki bagnetom 7,5-tysięcy gwardii narodowej oraz politycznemu poparciu Partii Liberalno-Nacjonalistycznej Nikaragui — prywatnej partii Somozy. Wyraża ona interesy wielkich właścicieli ziemskich i biurokratycznej góry, powiązanych z kołami imperialistycznymi. Amerykańska gazeta „New York Times" zwraca uwagę iż „rewolucja stała się możliwa dzięki „zdradzie" najstarszej sojuszniczki rodziny Somozów — elity bogatych biznesmenów". Teraz z kolei biznesmeni, którym zależało na przyśpieszeniu rewolucji, są zaniepokojeni szybką radykalizacją sytuacji politycznej w kraju.

Tymczasem rząd USA oficjalnie ogłosił „neutralność", ale nieoficjalnie wyasygnował na wsparcie reżimu Somozy 12 milionów dolarów. USA od dawien dawna odgrywają w Nikaragui tak ogromną rolę, iż w Managui mówi się z gorzką ironią: „Kiedy Somoza spotyka się z amerykańskim ambasadorem — jest to po prostu posiedzenie gabinetu". Anastasio II Somoza jest jednym z najbardziej chciwych i okrutnych dyktatorów spośród wszystkich południowoamerykańskich reżimów represyjnych. Obok funkcji prezydenta zajmuje on także stanowisko głównodowodzącego gwardii narodowej, tej opoki sił zbrojnych kraju. Liczne skandale, których „bohaterem" jest Somoza niepokoją Departament Stanu, ponieważ USA i Nikaragua ściśle współpracują.

W ostatnich latach mnożyły się oświadczenia międzynarodowych organizacji obrony praw człowieka, iż dowodzona przez Somozę gwardia narodowa dopuszcza się licznych zbrodni, więzi niewinnych ludzi, stosuje tortury, morduje ludność wiejską i postępowych działaczy społecznych. Jak informuje „Washington Post", handlowe interesy prezydenta Somozy są tak szerokie i różnorodne, że, jak wyraziła się pewna amerykańska osobistość oficjalna, „Somoza po prostu nie może nie ciągnąć osobistych korzyści" z amerykańskich programów pomocy Nikaragui.

Amerykańscy przedsiębiorcy prowadzą aktywną działalność w tym kraju już od ponad 100 lat, ale stosunki między obu państwami nawiązano dopiero w 1914 roku, po podpisaniu odpowiedniego porozumienia. Porozumienie to na przestrzeni wielu lat przynosiło Amerykanom wielkie i różnorodne korzyści. Przede wszystkim wybrzeże Nikaragui wykorzystywano do wypadów przeciwko Kubie, po prostu jako bazę desantową, jak to miało miejsce w Zatoce Świń w 1961 roku. Dzięki amerykańskim pieniądzom i amerykańskiej broni gwardia narodowa jest dziś najlepiej wyszkoloną i najlepiej uzbrojoną armią w Ameryce Środkowej. Uważa się ją za prywatną armię Somozy.

Podjęte w Kongresie USA próby wstrzymania wojskowej pomocy Nikaragui w związku z informacjami o gwałceniu praw człowieka okazały się bezskuteczne, z jednej strony dlatego, iż przeciwstawiał się im sam rząd USA, a z drugiej — że Somozę łączą bliskie stosunki z wieloma amerykańskimi osobistościami rządowymi. Te ostatnie zawsze ratowały Somozę z opresji, kiedy niezadowolenie z jego rządów było szczególnie silne. Najbardziej wpływowe przyjaźnie w USA nawiązał Somoza w amerykańskiej szkole wojskowej w West Point, którą ukończył w 1946 roku.

Oficjalne koła Stanów Zjednoczonych są wysoce zaniepokojone rozwojem wydarzeń w tej środkowoamerykańskiej republice. Mnożą się obawy, iż sukcesy sił lewicowych mogą wywrzeć wpływ na sytuację w krajach sąsiadujących z Nikaraguą — w Gwatemali, Hondurasie i Salvadorze, gdzie dzięki poparciu i pomocy USA utrzymują się jeszcze u władzy reżimy dyktatorskie. Jak wynika z doniesień prasy zachodniej, w Waszyngtonie rozpatruje się przeróżne warianty bezpośredniej interwencji USA, nie wykluczając wysłania do Nikaragui wojsk amerykańskich lub ingerencji wojskowej pod sztandarem Organizacji Państw Amerykańskich.

JERZY CZECH

ROZWIANE ILUZJE

Stosunki między ZSRR a USA w dziedzinie handlowo-ekonomicznej, jak również w innych sferach, mogą się pomyślnie rozwijać tylko na podstawie całkowitej równości i wzajemnego nie wtrącania się do spraw wewnętrznych. Związek Radziecki zdecydowanie odrzuca wszelkie próby rządu USA wykorzystywania handlu w celach politycznych nacisków. Podobne próby, jak pokazała praktyka, są i będą, bezskuteczne i tylko komplikują stosunki radziecko-amerykańskie. F.W. Neel, kierownik katedry stosunków międzynarodowych na uniwersytecie w Clarmount, w artykule zamieszczonym w amerykańskiej gazecie „Los Angeles Times", pisze na ten temat m. in.:

„Iluzji rozwiać niełatwo, szczególnie gdy wiążą się one z głęboko zakorzenionymi w Stanach Zjednoczonych mitami o Związku Radzieckim. Kiedy w 1972 roku zrobiono pierwsze kroki na drodze odprężenia między ZSRR i USA, wielu Amerykanów było przekonanych, iż głównym — a zdaniem niektórych także jedynym — pobudzającym motywem, którym kierował się Związek Radziecki, było dążenie do rozwoju handlu z USA. Podobny punkt widzenia sugerował, iż radziecka ekonomika przeżywa bardzo poważne trudności i dlatego rozpaczliwie szuka zachodniej technologii. Temu mitowi towarzyszył inny błąd, że jakoby handel można wykorzystywać do wymuszania od Moskwy ustępstw politycznych.

Konsekwencją tych spekulacji były poprawki z 1974 r. do ustawy o handlu, które uzależniały udzielenie Związkowi Radzieckiemu ustępstw handlowych od spełnienia określonych warunków. Jednakże przesłanki, z których wychodzili inicjatorzy tej akcji okazały się błędne. Chociaż ZSRR „tak gorąco pragnął" (cudzysłów autora art.-red.) amerykańskiej technologii, to jednak pragnienie to nie było znów aż tak wielkie. Poza tym wszystko to, co Rosjanie mogliby otrzymać od Stanów Zjednoczonych równie dobrze mogłyby im sprzedać kraje Zachodniej Europy i Japonia.

Bezpośrednimi konsekwencjami wspomnianych poprawek było przyhamowanie rozwoju handlu między ZSRR a USA oraz znaczne zwiększenie obrotów handlowych między ZSRR i krajami Europy Zachodniej oraz Japonią. Tego wszystkiego nie należy uważać za niespodziankę. Nie tylko Rosjanie od razu oświadczyli Stanom Zjednoczonym, że poprawki do ustawy o handlu nie zdołają na nich nic wymóc, ale także prawie wszyscy amerykańscy eksperci do spraw Związku Radzieckiego, zarówno w instytucjach państwowych jak i spoza nich uprzedzali, iż podobne akcje nie dadzą pożądanych wyników.

Wielu ludzi w USA ani rusz nie może zrozumieć, że nie ma takich dźwigni, za pomocą których mogliby wywierać nacisk na ZSRR. Rosjanie nie robią z tego tajemnicy, że dają pierwszeństwo amerykańskiej technologii. Jednakże, jak oświadczyli eksperci min. handlu USA, nie ma ani jednego amerykańskiego wyrobu, którego by także nie produkowano — lub którego by nie można wyprodukować — w Zachodniej Europie czy Japonii i że przy tym wszystkim z reguły ta zagraniczna produkcja w niczym nie ustępuje produkcji amerykańskiej. Jeśli ZSRR odmawia się możliwości dokonania zakupów w USA, to może on się zwrócić do innych krajów, które dały wyraźnie do zrozumienia iż sprzedadzą swoje wyroby Rosjanom jeśli tylko nadarzy im się ku temu okazja. W konsekwencji, dochody i prace otrzymają zagraniczni, a nie amerykańscy biznesmeni i robotnicy.

A jeśli Stany Zjednoczone rzeczywiście zamierzają dokonać próby zmiany ustroju w ZSRR, to powinni do tego celu poszukać sobie innych środków a nie handlu. A czy w ogóle istnieją takie środki, to już zupełnie inna sprawa".

(C.)

DRAMATYCZNA PRÓBA RATOWANIA DIALOGU
ZNÓW BEZ RZĄDU
REKORDOWY PORZĄDEK DZIENNY

W minionym tygodniu uwaga komentatorów zagranicznych koncentrowała się **przede wszystkim na Camp David**, gdzie trwało spotkanie na szczycie St. Zjednoczonych, Egiptu i Izraela. Pisaliśmy, w jakich to okolicznościach prez. Carter zdecydował się na osobiste pośrednictwo z myślą o wznowieniu dialogu egipsko-izraelskiego oraz jakie wewnątrzamerykańskie kierowały nim powody.

Bliski Wschód jest obecnie na świecie najbardziej zapalnym rejonem, **gdyż ciągle utrzymuje się tam prowizorium** i nie stworzono podstaw do trwałego pokoju. Jednakże — raz jeszcze musimy to powtórzyć — nie na drodze separatystycznych, dwustronnych rokowań i porozumień można rozwiązać ten złożony problem. Głos muszą mieć wszyscy bezpośrednio zainteresowani, tylko wspólnie można bowiem wypracować zasady definitywnego zakończenia konfliktu.

W chwili, kiedy ślemy komentarz do druku, nie ma jeszcze wiadomości o zakończeniu szczytu w Camp David. Rokowania wyraźnie przeciągnęły się i właściwie nic nie wiadomo o ich przebiegu. Poza tym, że podjęto dramatyczną próbę ratowania separatystycznych rozmów. Czy otworzona zostanie im droga? Jeśli tak — osłabiony zostanie front arabski, a Izrael znajdzie się w dogodniejszej pozycji i będzie mógł trwać na swych nieprzejednanych pozycjach.

Wydarzeniem końca minionego tygodnia jest **obalenie „ponadpartyjnego" rządu da Costy w Portugalii.** Po zaledwie 17 dniach działalności — głosami socjalistów, konserwatystów i grupy deputowanych niezależnych odmówiono mu poparcia, odrzucając jego program. W ten sposób Portugalia wkroczyła w nową fazę kryzysu.

Czytelnikowi należy się w tym miejscu przypomnienie: kryzys, jaki powstał 27 lipca, spowodowany został wycofaniem z gabinetu trzech ministrów z ramienia Centrum Społeczno-Demokratycznego. Do rozpadu tego gabinetu musiało dojść wcześniej czy później, ponieważ sprzeczne były interesy partii socjalistycznej i wspomnianego CSD. Długotrwałe konsultacje polityczne, mające na celu sformowanie nowego rządu, nie przyniosły rezultatu. Wówczas prezydent Eanes zdecydował się desygnować na premiera Alfredo Nobra da Costę i tym samym utworzyć rząd technokratyczny o charakterze tymczasowym. Jednak fakt, że prezydent „nie zauważył" jak gdyby wyników wyborów parlamentarnych z 1975 roku, w których najwięcej głosów otrzymali socjaliści, formując rząd poza nimi, przyniósł następstwo w postaci odmowy jego poparcia. Zaczął się więc nowy kryzys. Prezydent Eanes rozpocznie zapewne znów rozmowy z partiami, które muszą brać pod uwagę formowanie nowego rządu z udziałem socjalistów.

A jakie stanowisko w powstałej sytuacji zajmują komuniści? Oczekują utworzenia gabinetu, który **będzie miał poparcie zarówno parlamentu, jak i szefa państwa.** Jest to możliwe w przypadku porozumienia partii lewicowych — komunistów i socjalistów z szerszymi siłami demokratycznymi. Ale na razie Portugalia jest znów bez rządu.

Zmieniamy teraz temat, aby przypomnieć, że **rozpoczyna się XXXIII sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ.** Uprzedził ją doroczny raport sekretarza generalnego ONZ — Kurta Waldheima, w którym charakteryzuje on problemy, związane z działalnością Organizacji w ostatnich 12 miesiącach. „Nigdy nie było jeszcze aktywniejszego lub żmudniejszego roku — czytamy w tym dokumencie — jednakże celem niektórych z najistotniejszych działań było raczej nie dopuszczenie do najgorszego niż osiągnięcie spektaktularnego rozwiązania".

„Świat jest dziś o wiele bardziej skomplikowany... Mamy więcej państw suwerennych, więcej organizacji, a przede wszystkim dużo większą świadomość tego, o co nam chodzi. Jednocześnie jednak używamy wzorów i metod postępowania z przeszłości, które nie zawsze pasują do naszych aktualnych problemów".

Kurt Waldheim omówił też stosunki Wschód — Zachód oraz rolę wielkich mocarstw.

Komentując tę ostatnią część raportu komentatorzy zwracają uwagę przede wszystkim na wyrażone mocno przekonanie, że **wielkie mocarstwa są zbyt doświadczone i rozważne, aby dopuścić do pogorszenia się stosunków między nimi w takim stopniu, by stanowiło to zagrożenie dla pokoju.**

Co można powiedzieć o tegorocznej sesji?

Porządek dzienny obejmuje **rekordową liczbę 131 punktów.**

W dniu otwarcia sesji przyjęte zostanie w poczet członków Organizacji 150 państwo, którym są Wyspy Salomona. W debacie otwierającej trzymiesięczne obrady zamierzają wystąpić przedstawiciele 142 krajów, co także uważa się za szczególny rekord.

Chociaż tematyka rozbrojeniowa omówiona została szczegółowo na specjalnej sesji — z pewnością będzie ona dominować w toku obecnej debaty. Na świat bowiem wciąż pada cień broni masowego zniszczenia...

W. SŁAWSKI

sport

PROGNOZA BEZ PROGNOZY

Wprawdzie w ostatnich mistrzostwach świata w piłce nożnej nie odnieśliśmy tak pięknego sukcesu, jak to miało miejsce w 1974 roku, ale można powiedzieć, że nasza reprezentacja wpisała się na listę najlepszych drużyn świata. Znajdowała się w czołówce. Użyłam czasu przeszłego celowo, gdyż ta reprezentacja, która to zrobiła już nie istnieje, a wszystko wskazuje, że nowej jeszcze nie ma. I wytworzyła się teraz sytuacja paradoksalna. Oto piłkarze polscy, którzy należeli do czołówki światowej, nie mogą sobie poradzić w rozgrywkach europejskich.

Nasza sytuacja w IV grupie eliminacji do mistrzostw Europy jest wprawdzie dobra, bo Polska pokonała drużynę reprezentacyjną Islandii, ale jest ta sytuacja jednocześnie bardzo trudna, gdyż pozostali do pokonania silniejsi rywale, a — jak już wspomniałam — reprezentacji nadal nie ma. Jest ona w trakcie budowy i przeciwnicy również doskonale zdają sobie z tego sprawę.

Co więcej, naszej — tworzącej się przecież — reprezentacji sporą szkodę wyrządzili piłkarze czterech klubów, którzy stanęli do rywalizacji w pierwszej rundzie rozgrywek europejskich pucharów. Żadnej z drużyn nie udało się wygrać. Nawet wrocławski Śląsk, który był niemal pewniakiem, tylko zremisował. „Życie Warszawy" opublikowało przed wyjazdem Śląska na Cypr rozmowę z trenerem wrocławskiej drużyny, Aleksandrem Papiewskim.

„Co to za drużyna ten Pezoporikos?" — pyta Andrzej Fafara.

„— Nie mam pojęcia — odpowiada Aleksander Papiewski. — Jedziemy w ciemno. Tyle wiem, że Larnaka, gdzie rozegrany zostanie mecz, to miasto portowe".

Z rozmowy tej wynika jeszcze jedno, że Aleksander Papiewski pracuje tylko do czerwca przyszłego roku. Dlaczego?

„— Nie mam zdrowia do takiej roboty. Trener piłkarski jest odpowiedzialny dosłownie za wszystko. Najdrobniejsze nawet sprawy ma na swojej głowie. To nie dla mnie..."

Nic więc dziwnego, że nie ma czasu, ani możliwości, aby zorientować się w możliwościach przeciwników. Nie wiem, na ile taką wiedzę posiadali trenerzy pozostałych zespołów, które nie popisały się w pucharowych eliminacjach, ale sądząc z rezultatów nie była to wiedza wyczerpująca, gdyż nie pozwoliła na znalezienie skutecznej metody na przeciwników. Poznański Lech takiej metody znaleźć nie mógł, bo zagrał podobnie, jak w ligowym meczu z warszawską Legią i przegrał zasłużenie. Dobrze, że tylko do pięciu. Mogło być więcej. Natomiast — jak utrzymują niektórzy obserwatorzy — ani przeciwnik krakowskiej Wisły — FC Bruegge, ani przeciwnik sosnowieckiego Zagłębia — SSV Innsbruck nie byli tego dnia w najlepszej formie. A więc byli do pokonania. Dlaczego ani Wisła, ani Zagłębie tego nie dokonały? A dlatego, że piłkarze — po pierwsze — popełniali szkolne niekiedy błędy — a po drugie — nie mieli koncepcji, w jaki sposób można byłoby pokonać przeciwników. Specjaliści twierdzą, że obaj przeciwnicy byli — jak to się mówi — w zasięgu możliwości krakowskich i sosnowieckich piłkarzy. Co więcej daje się jeszcze szanse krakowskiej Wiśle w meczu rewanżowym, który po pierwsze odbędzie się w Krakowie, a po drugie Wiśle wystarczy wygrać 1:0, aby wyeliminować słynną drużynę z Belgii. Tylko, co potem? I czy Wisła potrafi tego dokonać?

„Popisy" naszych drużyn w europejskich pucharach nie przynoszą dobrej sławy polskiej piłce nożnej. A zważywszy — jak już wspomniałam — że reprezentacja jest w trakcie budowy, wszystko to razem nie sprzyja do snucia pozytywnych horoskopów dla naszej przyszłości w mistrzostwach Europy. Z drugiej strony — może to i dobrze. Niepoprawni optymiści budzą nikłe nadzieje. W poprzednich mistrzostwach nikt nie dawał żadnych szans jedenastce CSRS. Wolę jednak być niepoprawną realistka.

Z tego też powodu niepokoję się o jedenastkę Widzewa. W Gdańsku zdarzyła się im pierwsza porażka. To nic, że było to w Pucharze Polski, że teraz będą mogli skoncentrować się na grze w lidze. Gorzej, że RTS Widzew posiadając — jak to określają fachowcy — najlepszą drugą linię w Polsce, nie potrafi skutecznie strzelać i w tej sytuacji zupełnie nie wiadomo, jak długo utrzyma jeszcze pozycję drużyny bez przegranego meczu. Ten przegrany mecz może się zdarzyć w każdej sytuacji, a za liderem gonią bezlitośni rywale. Jest więc o co się bać.

BOGDA MADEJ

NA BUDOWIE TRASY W-Z

15 grudnia, zgodnie z przyjętym zobowiązaniem, przekazany ma być do ruchu kołowego przeszło trzykilometrowy odcinek Trasy W-Z. Trzy przedsiębiorstwa podwykonawcze — Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Wodociągowo-Kanalizacyjnych nr 1, Wojewódzki Urząd Telekomunikacji oraz Mazowieckie Zakłady Gazownicze, wykonały już swoje zadania związane z realizacją największej w historii naszego miasta magistrali komunikacyjnej. Na budowę „weszły" brygady Szydłowieckich Zakładów Kamienia Budowlanego wykładając granitem strzegomskim i bułgarskim marmurem przejścia podziemne na Targowej i Sienkiewicza. Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze przygotowuje sie do urządzania trawników i zieleńców o łącznej powierzchni 10 hektarów wzdłuż całej Trasy W-Z.

Newralgicznym punktem budowy jest skrzyżowanie Trasy W-Z z ul. Piotrkowską. Na przełomie września i października, przed nadejściem mrozów, musi być wykonana konstrukcja przejścia podziemnego w stanie surowym. Robotami kieruje tu Jerzy Jarosz, który trzy lata temu rozpoczynał budowę Trasy W-Z od kopania ziemi pod dwupoziomowe skrzyżowanie Żeromskiego — Mickiewicza.

Foto: Konrad Turowski

Odcinek trasy widziany z wiaduktu dwupoziomowego skrzyżowania Żeromskiego – Mickiewicza

Tak wyglądało skrzyżowanie ulic Piotrkowskiej i Głównej jeszcze w ostatnich dniach kwietnia...

Widok na „łódzki Manhattan" z wiaduktu na ulicy Żeromskiego

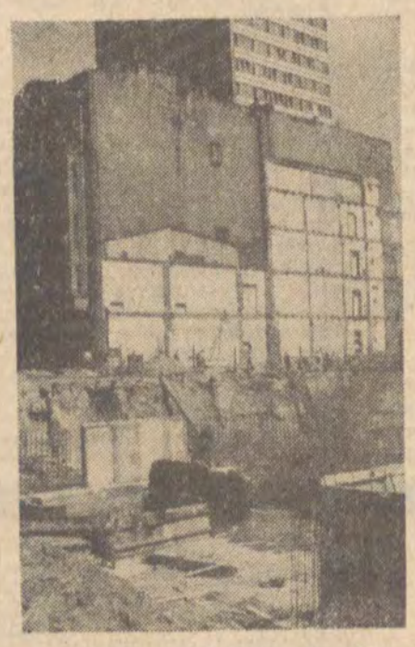

7-metrowej głębokości „dziurę" na Piotrkowskiej wypełni przejście podziemne

Ostatnie prace przed otworzeniem gotowej jezdni północnej Trasy W-Z od ulicy Targowej do ulicy Sienkiewicza

Betonowanie kanału zbiorczego instalacji komunalnych na ulicy Żeromskiego

Odcinek trasy W-Z między ulicą Wólczańską i ul. Żeromskiego w lutym...

Ta rzeźba przed Wytwórnią Filmów Fabularnych też należy do trasy W-Z

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

PORTRET RODZINNY ZE ŚWIĘTYM HIERONIMEM (3)

Przed kilku dniami — teścia nie było wtedy jeszcze w domu — zjawiło się dwóch jego nieznanych kolegów. I to była komisja bytowa. Przeciskając się nieumiejętnie przez siónkę zrzucili na ziemię brytwannę z gęsim szmalcem. Weszli do kuchni, zerknęli do pokoju, pochwalili ziele w oknie i poszli sobie nie bardzo nawet wyjaśniwszy teściowej, z jaką sprawą przyszli. A może i nie miała czasu ich słuchać. Dziś zaczął opowiadać nam teraz nie śpiesząc się i dozując efekty — wezwano go w pracy do kantoru i powiadomiono, że „mieszka kapitalistycznie", jak byśmy nie mieli jeszcze kraju demokracji i jakby teść „nie był ze stażem". Dowiedział się też, że postąpił nieprawidłowo nie pisząc podania, ale papierki w demokracji nie są ważne. Ważne jest, że tramwaje dostały właśnie od miasta dla swoich dwie wille w Helenówku. Każda na trzy rodziny. Są to „budowle lepsze" i pod lasem, a las to zdrowie. „Wy sobie — powiedzieli teściowi — pojedźcie, obejrzyjcie, czy wam się zdadzą". „Ale ja mam i córkę zamężną — powiedziałem — oni obydwoje pracują, a żona im dzieciaka chowa". „Zmieszczą się — powiedzieli, a my nie tacy, żeby prawidłowej rodzinie towarzysza stać na zdradzie"...

— ...Kazali mi się tylko śpieszyć z zadecydowaniem, bo jak nie, to wielu dobrych tramwajarzy by reflektowało. — Teść powiódł po nas triumfalnie wzrokiem. — Jazda. Wsiadamy wszyscy w podmiejski i oglądamy willę.

Jak nie wierzyć w cudowne odmiany losu! Gdybym był młodszy i nie tak zjedzony przez wojnę, śmierć i późniejsze perturbacje, to bym z radości skakał dookoła podwórka. Mój poprzedni fatalny humor okazał się — jakby powiedziała świadkini Jehowy — kolosem na glinianych nogach, a i prowadzenie ultimatywnej rozmowy z Linką też straciło sens. Jednakże ku ogromnemu zdumieniu stwierdziłem, że tylko ja i Wanda jesteśmy chętni do natychmiastowej jazdy.

— Tyś zawsze raptus na wszystko — studziła zapał taty matka Linki i nie miała wypisanej na twarzy zbyt promiennej radości. — Ktoś ci coś daje i od razu byś brał, bez żadnego porachowania.

— Tato, w niedzielę, jak będzie pogoda, pojedziemy z dzieckiem do lasu, nazbieramy jagód i obejrzymy sobie ten dom. Czemu nie.

Teść jednak okazał się stanowczy, więc teściowa podjęła niezbędne kroki organizacyjne:

— Pani Floriańska! Pani popilnuje linczynego rupsztyczka, bo mój uparł się (konspiracja), żeby teraz jechać do lasu na jagody.

W drodze do przystanku i potem w tramwaju kobiety ciągle mówiły o nagłym zapadnięciu ciotki Agaty. Podobno była od jakiegoś czasu rozdrażniona. W zystko jej z rąk leciało a wczoraj ździebka obiadu nie tknęła, choć Marta jej ugotowała czerninę z kluchami.

Ulica obok zajezdni helenowskiej prowadziła w las. Zabudowana była domkami tylko z jednej strony. Po drugiej stał jeszcze las. Rosły w nim wiązy, buki i jeszcze jakieś drzewa. Poszyty był leszczyną, a miejscami nawet mitycznym czarnym bzem i czeremchą. Domki były dość zadbane. Każdy w małym ogródku. Tamte dwie wille widać było już z daleka. Miały ściany z ceramicznej cegły, czerwoną dachówkę i taraski z balkonami.

— Całkiem ładny las — zwróciłem uwagę Linki na tę okoliczność, niebłahą dla rozwoju fizycznego i wzbogacania wyobraźni i wrażliwości naszego Tadeuszka. — Chłopak będzie miał się gdzie bawić w Siuksów i w „Pieszo przez Czarny Ląd".

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo z uchylonej furtki domku, który właśnie mieliśmy minąć, wynurzyły się te dwie białe, spasione, z wymierzonymi walecznie do przodu dziobami... Jak zawsze i wszędzie.

— Gęsi — oświadczyła zaciśniętymi ustami teściowa tak ponuro, jakby nigdy nie bywało tych ptaków u nich na podwórzu, nie mówiąc już o Kwiatkowicach.

— Pies! Przed chałupą jest pies — stwierdziła z kolei Linka: słowo „chałupa" wymówiła z intonacją jakby obszarniczki, zaś „pies" z odczuwalnym zaniepokojeniem.

— Całkiem przyjemny pies. I śmieszne te różowe łaty na białej piersi.

— Zatrzymałem się przed sztachetami.

— Chodźmy, bo cię uchla!

— Nasza nauczycielka, pani magister — uświadomiła nam dydaktycznym tonem Wanda — wykładała, że francuski doktor wynalazł szczepionkę, więc jak wściekły pies kogoś uchla, to mu nic nie będzie.

Polecenie wydane przez Linkę mieszkance drewnianego domku z dwuspadowym blaszanym dachem, żeby wegnała z powrotem na podwórze gęsi i wzięła psa na łańcuch, nie zostało przychylnie przyjęte.

— Widział to kto, żeby Jorika się bać! Rozkazywać mi tutaj będzie hrabini z Retkini! Kup sobie paniusia małpę w zoologu, jeśli paniusi pies konweniuje.

Za domkiem właścicielki psa natknęliśmy się na wóz cygański. Stał obok drogi na płytkiej, trochę amfiteatralnej polance. Kotlarz obtłukiwał młotkiem czerwoną, lśniącą blachę, dwie dziewczyny przy dźwiękach harmonii ćwiczyły pas czegoś, co przypominało przedwojenny slofoks. Obrazek jak z poematów Puszkina i Korzeniowskiego i z moich przedwojennych wakacji na Podolu. Już przed wojną rzadki, cóż dopiero dziś, gdy tak mało Cyganów przeżyło rzeź hitlerowską.

— Szybciej no! Niech Augustynek tak się nie obziera, bo obskoczą i wyrwą pieniądze! — Teściowa, i do teścia: — Gdzieś ty nas przywlókł na przedpiekle! — I do kruczowłosych, które przerwały służbę Terpsychorze i podbiegły do nas z talią: — Karty nichś! Odejść, Cyganka! No, dali go, dali go! Psiakręć!

Dom był obszerny, podpiwniczony, o dużych, wysokich pokojach. Na tarasie posadzka z terakoty. W ogródku rosły złote kule. Moje z dzieciństwa. Nic nie powiędły i wcale nie jako od wiatru krzew połamany. Otworzyliśmy drzwi wejściowe kluczem, który teść otrzymał w kantorze, i znaleźliśmy się w holu.

— Sionka jak jaka wozownia. Nie ma nawet jak brytfanków ułożyć. Chciałbyś pewnie, żebym jak ten kangur z kina po każdy garczek tam i z powrotem skakała.

Z drugiego pokoju schody wewnętrzne wspinały się spiralami na pięterko. Tam był też duży pokój z drzwiami na balkon. „Ten będzie nasz — zaanektowałem go błyskawicznie. Wyobraziłem sobie, jak tam będzie chyłkiem czatował na nas księżyc tuż za uchylonymi drzwiami balkonu. Rzeczywiście pachnie tu gdzieś morwa — wciągnąłem w płuca spory haust powietrza, tak różnego od tamtych zapachów miejskich, i szepnąłem konspiracyjnie Lince, że kiedy będzie zasypiała, księżyc wpadnie i zechce mnie porwać jak Kueferlina. Ale na szczęście zdążę krzyknąć: „Oto mnie w ręce porywa astrologiczny księżyc". Wtedy ty się obudzisz... i przytrzymasz mnie. Uśmiechnęła się po naszemu, ale podwórkowemu. Lubiła wiersz o Kueferlinie. W pierwszych tygodniach po ślubie przed zaśnięciem czy przed słodkościami przedsennymi często czytywaliśmy sobie w łóżku właśnie Gałczyńskiego.

— Przytrzymam, tylko nie za ucho, lecz zębami za nos, o tak, jak ten pies! — Roześmiała się pogodnie z gałczyńska, ale natychmiast zgasiła uśmiech i znów swój wyraz twarzy upodobniła do wyrazu twarzy teściowej, która właśnie stwierdzała, że takich schodów z pokoju do kuchni nigdzie się nie robi i że serce może się w przyszłości zatchnąć od łażenia w te i we wte.

— Stolarka trochę sfuszerowana — powiedziałem, żeby teściowa nie sądziła, że jestem bezkrytyczny, bo to by bardzo osłabiło siłę argumentów przeciwko jej niezrozumiałemu szukaniu w całym dziury. Tym bardziej niezrozumiałemu, że przecież mieszkają jak ostatni bideusze. — Tak, tu na pierwszym łuku poręczy sfuszerowana. Ale sama komunikacja pionowa między pokojami to właśnie ostatni krzyk nowoczesności. Najpiękniejsze wille na Saskiej Kępie, wzniesione tuż przed wojną, między innymi przez właściciela największego w Warszawie sklepu z materiałami piśmiennymi, Dziewulskiego...

— A u kogo będziesz dzieciaka zostawiała, kiedy potrza będzie wam jechać do Agaty czy na imieniny Turkowej czy za interesami? U tej tam obok psicy, żeby go pies uchlał? — Teściowa nie dosłuchała do końca moich argumentów i zwróciła się z tą perorą do Linki, która nie wypowiadała się dotąd wcale na „tak". Argumentując patrzała jednocześnie spod oka na skonsternowanego teścia.

— Stasiakowa bezpartyjniczka, jak i ja, a przecież mnie ostrzegała, że na wiosnę Ameryka będzie na naszej ziemi wojować Ruskich. A ty — teraz jednak zwróciła się do teścia — taki wojenny, taki świadomy, nie pomyślałeś, jak stąd tyli szmat drogi będziemy ganiać do miasta po farynę i sól, kiedy tamci atomem szyny tu pogruchoczą?! Myślisz, że tu ci żołnierze przyniosą?

— Co też mama! — obruszyła się całkiem słusznie Wanda: — nasza pani od wychowania obywatelskiego uczy: „Wojna nie jest nieunikniona, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą jej bronily do końca". Przeciw agresorom i wyzyskiwaczom, ma się rozumieć.

— A nie gadałabyś w kółko tych swoich wyumianek — z kolei Linka fuknęła na Wandę i huzia na mnie: — Ty to byś chciał mieć wszystko od razu! Wszystko tak zaraz łapu capu: szast, prast, graty wieźć a potem dopiero całe życie narzekać! Będziemy mieli stąd do pracy godzinę jazdy, i to jak dobrze pójdzie. A jak dzieciak, odstukać w niemalowane drzewo, na przykład zachoruje? W jaki sposób weźmiesz tu w nocy z miasta doktora? I kto ci tu w nocy przyjedzie do takiej dziury gorszej chyba niż Pabianice?

— A czy to nam na naszym podwórku źle? — powiedziała teściowa dziwnie miękko i niemal z rozrzewnieniem.

Wracaliśmy do tramwaju w kompletnym milczeniu. Pierwsza Wanda z buntowniczo podniesioną głową, Linka z teściową trzymały się cały czas po babsku pod ręce. My z teściem szliśmy na końcu. Teść palił junaka, a ja damskiego.

— Co ja jutro powiem w radzie? — powiedział raczej do siebie niż do mnie teść. — Będą mnie mieli za idiotę.

Nie powiedziałem mu, że trzeba było okazać wobec kobiet większą stanowczość, a nie milczeć jak trąba.

W drodze od przystanku do Ołowianej urwaliśmy się z teściem. Woźnicki był już zamknięty, bo zrobiło się nie wiedzieć kiedy późno, ale teść zastukał od tyłu i właściciel zaprosił nas z rewerencją do pokoju, chociaż zamówiliśmy tylko po piwku.

— Niech Augustynek wie — komentował teść melancholijnie nasze Waterloo — że kobieta kiedy się uprze, to... No, Anna Teodorowna na ten przykład. Augustynek może nie wie, kto ona, a to była Jejo Wielicznestwo! Imperatorskoje, proszę Augustynka. Wieliczestwo! To jak się ta caryca uparła najgorszego, powiadam, łachmytę, koniokrada, co samą jeno denaturę wypijał, uczyniła w państwie ważnym, wyższym nawet od jej cara-męża. Prosili Annę Teodorownę, żeby tego nie czyniła, a i do nóg jej padali, najwięksi urzędnicy, największe z tamtego czasu burżuje. Ale kobieta się uparła, widzi Augustynek... — I w tym stylu dalej mówił, przytaczając różne przykłady upierania się kobiet i historycznych, i dzisiejszych, szeroko znanych w dzielnicy.

Poczułem się jeszcze silniej niż przed zamówieniem kufelka związany z teściem wspólnotą naszej niedoli i węzłem męskiej solidarności. Powiedziałem do pana Woźnickiego „Wuju, jeszcze po bombce" i zwierzyłem się teściowi z niektórych pretensji do Linki, które zamierzałem jej dzisiaj wygarnąć, nim się dowiedzieliśmy o mieszkaniu.

Teść w milczeniu przyglądał się kurczeniu się jak po praniu jedwabnej kryzy nad naszym złotym jasnym i kiwał przy moich racjach na „tak" i na „nie". Na „nie" jednak — co dziwne i nie dziwne — częściej. Dziwne, bo dopiero co sam utyskiwał, a niedziwne — bo rodzony ojciec. Zaraz też zmienił i rodzaj uśmiechu: z krotochwilnie melancholijnego na rozbawiony i dydaktyczny razem.

— Ja Augustynkowi powiem tak, ale nie dlatego, żem jej ojciec, ale żem starszy. Starszy nie musi być mądrzejszy, tego nie mówię, ale jest bardziej uświadomiony i przez to bardziej problemowy. Ja Augustynkowi powiem. Tego, żebyście moi państwo, pasowali do siebie tak całkiem jak klucz i zamek, to nigdy tak nie będzie. A co dopiero za młodu. Ja i z moją jak Augustynek dziś świadkował, warczymy na siebie jak barsy. Moja na mnie, nie ja. A przecież nie można powiedzieć, jest bardzo za mną i z żadną drugą lepiej by mi nie było. Tak samo i wy, państwo młodzi. Będzie wam co rok bliżej do siebie. Wiem, Augustynka drażni, że ona jest rodzinna i że na podwórku z babami rajcuje. Ona się z nimi chowała. A rodzina, proszę Augustynka, to ważna rzecz. A jeszcze jak jest z gruntu użyczliwa i nie wałkonie, i, jak to się mówi, wszyscy za jednego. Rodzina, to proszę Augustynka, grunt... Dali go, idziemy! Bo i ty, stary sznapsiarzu — to do Woźnickiego, który od paru chwil kontemplował tarczę ich zegara z wymalowanym wielbłądem na blacie — musisz się wyspać, żeby jutro ludzi do piekła podgotowywać — kuksnął go w bok. — No i nasze sowy już tam na nas obu z tęgimi kijami czekają.

Teść uśmiechnął się znów krotochwilnie. A może nieradośnie. Nie znam się zbyt na uśmiechach.

cdn.

CZWARTY SPÓŹNIONY

Sądząc z tego, że na okładkach pierwszych trzech numerów **„Przeglądu Społeczno-Ekonomicznego Miasta Łodzi"** widnieją daty 1974, 1975, 1976, miał to być rocznik. Rytm ten został zachwiany, skoro numer czwarty ukazał się po przerwie, dopiero w roku bieżącym. Fakt to ważny nie tylko z punktu widzenia pewnego porządku właściwego wydawnictwom tego typu, nie tylko z punktu widzenia ambicji bądź co bądź wielkiego organizmu administracyjno-gospodarczego, nie tylko z punktu widzenia potrzeby istnienia takiego wciąż się rozrastającego kompendium wiedzy o Łodzi. Istotne jest też oddanie czytelnikowi książki zawierającej materiał w miarę świeży. Oczywiście postulat świeżości w odniesieniu do przeglądu tego rodzaju należy rozumieć inaczej niż kiedy chodzi o dziennik, tygodnik czy nawet miesięcznik lub kwartalnik, bowiem sprawy dużej aglomeracji rozwijają się i są realizowane w skali okresów wieloletnich, ale opóźnienie dwuletnie sprawia, że choćby dane statystyczne, wyniki doświadczeń sięgają już trzech lat wstecz. Charakterystyczny jest tu temat pozycji Łodzi w nowej (z 1975 roku) strukturze organizacyjnej władzy i administracji terenowej.

W poprzednim, trzecim numerze problem ten omawiał **Jerzy Lorens.** Scharakteryzował cechy województwa miejskiego łódzkiego w nowym podziale administracyjnym. W czwartym numerze „rocznika", a więc po przerwie dwuletniej, ten sam autor pisze o roli województwa miejskiego łódzkiego w makroregionie środkowym, chociaż zarówno w jednym jak i drugim aspekcie istnieje już jakaś, znana autorowi suma doświadczeń w działaniu nowej struktury, ale o tym dowiemy się, jeżeli dobrze pójdzie — za rok.

Od pierwszego numeru komitet redakcyjny przyjął podział materiału według dość dziwnych kryteriów. Ugrupowano go w działy: I. Studia i artykuły, II. Łódzkie inicjatywy, osiągnięcia i problemy, III. Łódź jako ośrodek ponadregionalny, IV. Łódź a świat, V. Informacje. Bez trudu można by dowieść, że prawie każdy z artykułów dałoby się przenieść do innego działu, nie sprzeniewierzając się nazwie tego działu. Segregacja materiału jest zapewne konieczna, ale według kryteriów istotnych dla czytelnika, czy raczej — użytkownika. Już przymiotniki zawarte w tytule publikacji: „Ekonomiczno-społeczny" sugerują, o jakie kryteria tu chodzi, wielość, zaś problematyki z jednej strony ekonomicznej, z drugiej — społecznej — narzuca konieczność dalszych podziałów. Do wniosku takiego musi chyba dojść każdy recenzent, bowiem potencjalnego czytelnika — a dla niego pisze się recenzję — nie interesuje, jakie o Łodzi napisano studia, jakie zaś artykuły (patrz dział I.) będzie natomiast, zgodnie ze swoimi zainteresowaniami szukał materiału albo o przemyśle, albo o handlu, albo o charakterze nowo budowanego centrum miasta, albo o takich czy innych aspektach życia społecznego. Czyniąc więc zadość tak rozumianym oczekiwaniom potencjalnych użytkowników, należałoby wyodrębniać tego typu tematykę.

Niektóre aspekty społeczne rozwoju województwa miejskiego łódzkiego w latach 1976—1980 są przedmiotem artykułu **Maksymiliana Jutty** i **Kazimierza Wasilewskiego.** W artykule przedstawiono towarzyszący rozwojowi gospodarczemu — rozwój szeregu elementów życia społecznego, jak budownictwa mieszkaniowego, odpoczynku, kultury, służby zdrowia, oświaty itp. Trzeci punkt widzenia w charakterystyce łódzkiej aglomeracji znajdujemy w artykule **Włodzimierza Obraniaka.** Autor zastanawia się nad cechami ludności zamieszkującej województwo miejskie łódzkie. Trzy wymienione prace dają dość szczegółowy obraz dzisiejszej Łodzi w aktualnej strukturze administracyjnej kraju. Wszystkie one biorą za punkt wyjścia zmiany jakie zaszły w tej dziedzinie w roku 1975.

Znaczna część artykułów poświęcona jest problemom przemysłu. **Michał Jadczyk,** opierając się o doświadczenia zdobyte w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Automatyki i Urządzeń Precyzyjnych „Mera-Poltik" oraz o literaturę światową, analizuje „niektóre aspekty procesów innowacyjnych w przemyśle elektromaszynowym". Autor dowodzi swoich tez w oparciu o wydarzenia zaobserwowane w produkcji zegarów, jednakże przedstawione zjawiska są charakterystyczne dla całego przemysłu elektromaszynowego, a nawet gałęzi zupełnie odrębnych. **Lech Załęczny** prezentuje dzieje łódzkiego przemysłu maszyn i aparatów elektrycznych, omawia działalność największych zakładów działających w tej branży oraz charakteryzuje powiązania przemysłu z zapleczem naukowym. Przemysłowi, tym razem wełniarskiemu poświęcony jest też artykuł **Zdzisława Zaorskiego** oraz dwie informacje zamieszczone w ostatniej części numeru.

Kilka opracowań dotyczy problematyki społecznej. Bardzo mało miejsca poświęcono nauce łódzkiej. W odróżnieniu od wyższych uczelni całego świata, wschodu i zachodu, uczelnie łódzkie nie mają swojej stałej prasy. Oczywiście rocznik, jakim jest omawiane pismo, nie wypełni tej luki. Ale niewątpliwie jest tu miejsce na jakieś sumujące publikacje z tej dziedziny. Chyba, że w środowisku naukowym tej roli „Przeglądu" się nie docenia i nie ma komu na te tematy pisać?

Dział IV, zatytułowany „Łódź a świat" zawiera tylko jedną publikację, mianowicie **J. Urbankiewicza** „Łódź na mapie świata". Przedstawiono w niej kontakty naszego miasta z krajami wszystkich kontynentów, we wszystkich niemal dziedzinach. W świetle przytoczonych danych kontakty te wyglądają imponująco.

Cenną innowację stanowi umieszczony po raz pierwszy w omawianym numerze „Przegląd ważniejszych wydarzeń społeczno-gospodarczych w województwie miejskim łódzkim w roku 1976".

JERZY URBANKIEWICZ

zdarzenia i zwierzenia

KRZYWE ZWIERCIADŁO PRZED EKRANEM

Myślę, że mi zarówno Czytelnicy, jak i Władysław Orłowski wybaczą zajęcie się w tym felietonie tym, co się dzieje na szklanym ekranie. Oczywiście, korzystając z praw felietonisty, pozwolę sobie przystawić do ekranu krzywe zwierciadło. Telewizję bowiem mamy — co prawda — znakomitą ogólnie biorąc, ale jest jednak sporo szczegółów do których można (a nawet trzeba) się przyczepić.

Irytował mnie niegdyś w „Pegazie" doc. **Trybusiewicz,** który przede wszystkim starał się ładnie wyglądać i ta jego przemożna chęć wyglądania i podobania się zacierała treści które docent przekazywał. Jeśli oczywiście przekazywał bo tego nigdy nie byłem pewien.

Dziś nie ma już w „Pegazie" doc. Trybusiewicza, ale za to na polu sportowym znów nam się ujawnił red. Jaroszewski. Stało się to z okazji lekkoatletycznych mistrzostw Europy Żeby było sprawiedliwie, mieliśmy w TV dwu sprawozdawców — świetnego Krzysztofa Wyrzykowskiego i Artura Jaroszewskiego, który nas często irytował.

Komentarze jego wyglądały mniej więcej w ten sposób: **„I oto biegnie, biegnie cała stawka sześciu zawodników"**, a na ekranie widzimy, jak było siedmiu; albo taki odkrywczy komentarz: **„Biegną, biegną, a każdy chce wygrać, każdy biegnie po ten złoty medal".**

Nie trzeba pracować w Redakcji Sportowej TV, aby wiedzieć, że każdy biegnie po to aby wygrać. Widz chciałby wiedzieć, jacy są faworyci, jakie czasy osiągali w ostatnich miesiącach itp. Red. Jaroszewski natomiast z reguły opowiadał własnymi słowami to, co widać na monitorze — i to często opowiadał mylnie.

Ale dość sportu — wróćmy do kultury. **„Pegaz"**, jak wiadomo miał parę rozbrajających wpadek myląc **Toeplitza z Hamiltonem, „Granicę" z „Romansem Teresy Hennert"**, uśmiercając żyjącego prof. R. oraz próbując przeprowadzić wywiad z... nieżyjącym od paru lat pisarzem, Tadeuszem Brezą. Pisał o tym w „Kulturze" KTT.

Po dłuższej przerwie zmusiłem się jednak do obejrzenia „Pegaza". Bez zmian. Pewien profesor wygłasza taką mniej więcej zdumiewającą opinię: **„Poezja współczesna nie widzi różnicy między słowem artystycznym a proza codzienną, powszednią..."** Jest to przecież nonsens, ale trudno mieć pretensję do profesora. Musiał tu chyba zawinić niefortunny montaż wypowiedzi, nie wierzę bowiem, aby profesor mógł sobie pozwolić na takie fałszywe uproszczenia.

Potem obejrzałem sobie w **„Pegazie"** prywatną uroczystość młodego plastyka, **Artura T.**, który wystawia jakieś pretensjonalne graty mające być rzekomo „propozycją artystyczną". Z tego, co widziałem, była to śmieszna, niepoważna mistyfikacja. Komentarz „Pegaza" który bywa bardzo ostry i pryncypialny, gdy sprawa dotyczy prawdziwej sztuki, tu raptem był koleżeński, przyjacielski i — niestety — zupełnie bezkrytyczny.

Najwięcej jednak zabawy dostarczają nam tzw. powtórki. Jakaż to frajda obejrzeć dziełko filmowe sprzed kilkunastu lat! Widzimy bowiem, jak szybko starzeją się mierne filmy, szybciej nawet niż występujący w nich aktorzy.

Z powtórkami zresztą bywa różnie. Czasem nawet odnosi się wrażenie że TV robi komuś przewrotne dowcipy. Oto spektakl teatralny sprzed kilkunastu lat. Etatowy „wybitny aktor" z całą gamą pretensjonalnych min, woli, sztucznie modulując głos: **„dzieci moje będą żebrały" — nic nie widziałem, nic nie wiedziałem..."** Jest dla mnie zagadką, czy TV ma świadomość, że ośmiesza etatowego „wybitnego aktora"? Jeśli nie — to niedobrze, jeśli tak — to po co?

Tak to wygląda, gdy do ekranu przystawić krzywe zwierciadło. Odstawmy je zatem, aby znów wszystko wyglądało po staremu i nasza telewizja nadal sprawiała dobre wrażenie. Ogólnie biorąc.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

KAROL OBIDNIAK

Karol Obidniak? Obidniak Karol,
Że mało pisze jego to walor.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

CZY NADEJDZIE CZAS POWROTÓW?

Stereotypy mają żelazne zdrowie. Kijem ich nie dobijesz. Jak raz powstaną, to wiele musi upłynąć czasu, aby uległy zapomnieniu, aby ich miejsce mogły zająć inne, bardziej odpowiadające rzeczywistości. Na przykład nasze wyobrażenia o wsi od dawna już nie odpowiadają prawdzie. Dzisiejsza wieś nie jest już taka „ciemna i zacofana", nie jest tak „zabita deskami" jak to ongiś bywało, a przecież wielu „zatwardziałych mieszczuchów" nadal ma takie o wsi wyobrażenia. I czasem nawet konfrontacja z wiejską rzeczywistością niewiele pomaga. Życie sobie płynie na wsi wartko, zmienia tę wiejską rzeczywistość, a nasze wyobrażenia o wsi polskiej nadal są anachroniczne.

Podobne wyobrażenia krążą i o Łodzi. Wiadomo Łódź, to „miasto kominów", „wielka wieś", „skupisko brzydoty", „całe miasto na Piotrkowskiej". Podejrzewam, że z tych stereotypów bierze się też nie najlepsze pisanie o Łodzi. Reporterzy i publicyści przyjeżdżają tu często, aby potwierdzić swoje o mieście wyobrażenia. A te wyobrażenia każą powątpiewać, czy coś tu się może wartościowego urodzić. I taką tezę próbuje się udowadniać nawet wbrew faktom.

Z zasady nie lubię polemik z tym nie zawsze najlepszym o Łodzi pisaniem, bo takie polemiki mają w gruncie znaczenie głównie wewnętrzne, służą jedynie podtrzymaniu własnego dobrego samopoczucia. I nie chodzi mi wcale o to, aby o Łodzi pisać tylko dobrze. Sami nieźle przecież znamy nasze niedociągnięcia, nasz minimalizm, dający tu i ówdzie znać o sobie brak wyobraźni, czy też nasza prowincjonalność, do której nie lubimy się przyznawać. I wcale nie uważam, że są to tylko nasze sprawy i wara innym od tego. Nie. Dobrze jest, jak ktoś „świeżym okiem" spojrzy na nasze podwórko i wytknie nam te czy inne braki. Ale, aby rzeczowo, aby w oparciu o fakty. Nawet odmienne zdanie, odmienna interpretacja tych samych spraw ma swoje znaczenie i — według mnie — jest bardzo pożądana. Być może nie wszyscy lubią, jak im się wytyka błędy i potknięcia, ale to już ich sprawa. Z tego też powodu nie wszyscy darzą miłością Romana Gorzelskiego za jego pisanie w „Szpilkach". Co prawda autor nie zawsze ma rację, często mija się z prawdą, ale czasami celnie atakuje, wywołując polemiki i wyjaśnienia.

Tym razem do zajęcia się pisaniem o Łodzi — do czego, przyznaję, nie miałem wielkiej ochoty — zmusiła mnie publikacja Jerzego Urbana w „Polityce". Autor jak sam stwierdza jest łodzianinem **„w trzecim pokoleniu ze strony matki, a czwartym co najmniej ze strony ojca"**. W Łodzi się wychował i tu nauki pobierał w **„elitarnym dosyć liceum"**, zna więc Łódź nie tylko z kursujących po kraju stereotypów, ale pamięta ją z dawnych lat. Przyjechał więc niejako sprawdzić to co w Łodzi podczas jego nieobecności dokonało się. I takie podejście dało znakomite rezultaty.

„Miasto numer dwa" Jerzego Urbana wywołało w mieście sporo dyskusji na temat naszych spraw, odbiło się — jak to się mówi — szerokim echem. Odczucia są pozytywne. Jerzy Urban powiedział sporo prawdy o Łodzi, choć — przyznajmy — nie zawsze jest to prawda miła dla naszego ucha. Bo czyż może być miłym stwierdzenie, że **„Łódź to jedyne w Polsce wielkie miasto, którego nikt nie odwiedza bezinteresownie"**. Albo takie: **„Łódź tkwi w cieniu ponieważ jest — choć przestaje być — miastem brzydkim i dlatego również, że jej dzieje nie wyrastają z głębszych, czyli starszych pokładów polskiej historii"**. Ale mimo to Jerzy Urban potrafił dojrzeć ogrom przemian, jakie się w Łodzi dokonały, choć świadom jest też tego, że wiele lat żyć jeszcze będzie **„w ogólnopolskich wyobrażeniach stary stereotyp Łodzi jako miasta rudery i kominów"**, mimo, że coraz mniej już i rudery, i kominów. Nie przypadkiem zresztą Andrzej Wajda szukając obrazu starej Łodzi najeżonej kominami pojechał w tym celu na... Śląsk.

Zdajemy sobie sprawę z długowieczności stereotypów, ale też nie wolno się nam z tym godzić. Potrzeba nam sojuszników do zwalczania tych stereotypów, do kształtowania nowych wyobrażeń o Łodzi. Jednym z nich okazał się Jerzy Urban. Jego **„Miasto numer dwa"** pokazuje wielkie przemiany Łodzi, choć autor nie ukrywa krytycznych refleksji, jakie zrodziły się u niego po zapoznaniu **się z „łódzkim modelem oświaty"**. I słusznie. Wcale nie chodzi bowiem o to, aby o Łodzi ukazywały się laurki, ale publikacje, które wszechstronnie ukazują zachodzące tu złożone procesy gospodarcze i społeczne.

Często wracamy do tych czasów, kiedy Łódź pełniła obowiązki stolicy, żałując niejako, że czas ten się skończył. Było to wszakże ożywienie wywołane sztucznie, teraz dążymy do autentycznego rozwoju wszelkich dziedzin życia miasta i mamy już w tych dążeniach pewne rezultaty. Jerzy Urban wspomina też czas wielkiej emigracji z Łodzi. Pisze, że **„dziś nie ma powrotów"**. Może nie do końca to prawda, bo ten i ów do Łodzi powrócił, ale mile jest dowiedzieć się, że **„u dyspozytora posad na Uniwersytecie Warszawskim Łódź jest jednym z bardziej atrakcyjnych celów absolwenckich umizgów"**. A kiedy zgodnie z prognozą J. Urbana **„Polska przypomni sobie, że Łódź jest drugim co do wielkości miastem, i to godnym tej rangi, aspirującym do znaczenia odpowiadającego jej rozmiarom"**, to może i nadejdzie czas powrotów. Ale, czy jest to szczyt naszych marzeń? Myślę, że do tej pory wychowamy w Łodzi ludzi, którzy na stałe związą się z miastem, uznają jego atmosferę za najbardziej odpowiadającą swoim życiowym celom, co też służyć będzie miastu i krajowi.

MARCIN RODAK

DZIADEK

Zamarzł dziadek. Spostrzegłem to wczesnym rankiem, gdym rąbał lód w menażce, w której poprzedniego dnia Ziuta smażyła jajecznicę.

— A dziadek nie wychodzi — powiedziałem z niejakim trudem, czemu nie trzeba się zbytnio dziwić zważywszy, że oddech zamarzając nie ułatwiał otwierania ust.

— Rzeczywiście — odrzekła Ziuta nie przerywając tak zwanego „zbijania kożucha", co — jak wiadomo — jest od dawna wypróbowanym przez dorożkarzy sposobem ogrzania się.

— Hej, dziadku, wychodźcie — krzyknąłem, ale głos mój zagubił się w wietrzyku, wiejącym chwilami znad wzgórz, których urok podziwialiśmy już zeszłego roku.

Namiot dziadka stał cichy i jakby opuszczony, tylko zamki błyskawiczne błyskały srebrzyście.

— Może poszedł na spacer — rzuciła Ziuta, jak to kobieta, nie pamiętając, że już podczas pierwszego rannego spaceru wiaterek rzucił dziadkiem w stronę jeziora. To, że dziadek utrzymał się na śliskim i — co tu ukrywać — oblodzonym brzegu, zawdzięczał tylko swemu doświadczeniu życiowemu, które pomagało mu nie raz i nie dwa wychodzić ze śliskich sytuacji.

Trzeba było otworzyć namiot. Ale jak? Gdyby udało się go podgrzać, to może puściłby lód, który skuwał obie połówki ekspresu.

— Zapałkami podgrzej — krzyknęła Ziuta, jak to kobieta, ale rada była tyleż dobra, co niepraktyczna, bo zapałki — jeśli nawet która zaiskrzyła nieśmiało — gasły pod wpływem wietrzyku, który tymczasem zaczął przybierać na sile.

— Oj, dziadku, dziadku, co my bez ciebie zrobimy — ze szlochem rzuciła się Ziuta na śliskie płótno namiotu, przygarniając je w czułym uścisku, takim, jakim niekiedy zdarzało jej się obdarzać dziadka. Oj ta Ziuta, Ziuta, praktyczna to ona jednak jest. Kto by w takim momencie pomyślał o przyszłości...

I nie wiadomo, czy pomógł ów żar, jakim bez wątpienia przepojony był żal Ziuty po naszym ukochanym dziadku, czy — to też możliwe — to wcześniejsze Ziutowe „zbijanie kożucha", dość, że ekspres puścił. Naszym oczom ukazało się wnętrze namiotu, a w nim — dziadek. Dziadek — sopelek. Zmarznięty. Leżał sobie, biedaczysko, cichutki, spokojniutki. Z trudnością wynieśliśmy go przed namiot, zresztą razem z materacem, do którego dziadek przymarzł pleçami. Trzeba było dziadka ratować. Ziuta proponowała nacieranie, tyle że niezbyt było czym. Ja natomiast sugerowałem poprzedni sposób, dzięki któremu Ziuta dość szczęśliwie rozmroziła ekspres w namiocie. Ale położenie się na dziadku, choćby zamarzniętym dziadku, wydało się Ziucie niezbyt stosowne, tym bardziej że w tym zakątku nie byliśmy sami.

Tu i ówdzie ciemniały namioty urlopowiczów, którzy tak jak i my — wybrali ten uroczy zakątek na biwak.

— Może by go tak spirytusem — zaproponowała nieśmiało Ziuta, jak to kobieta, ani pamiętając, że ostatnią kroplę spirytusu wypiliśmy pierwszej nocy.

— Albo wodą kolońską — podpowiedziałem przewidując, że Ziuta, jak to kobieta, ukrywa przede mną jakieś tam resztki wody kolońskiej.

— Trzeba dziadka ratować — z tym dramatycznym okrzykiem Ziuta wyciągnęła spod kożucha resztę swojej ulubionej wody kolońskiej. Na zamarzniętą twarz dziadka spadło kilka kropel „Białego bzu". Dziadek otworzył oczy i pociągnął nosem.

— Czy to już wiosna? — szepnął z trudem.

— Nie, jeszcze lato — odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

MIROSŁAW KUŹNIAK

TANZANIA

Książka „Tanzania dzisiaj i jutro", której autorem jest Rajmund Ohly, znany afrykanista, od wielu lat wykładający na Uniwersytecie w Dar es Salaam, przedstawia proces formowania się państwa i narodu tanzańskiego. Historycy tanzańscy, jako datę narodzin narodu Tanganijczyków przyjmują dzień 9 grudnia 1961 roku, kiedy to byłe brytyjskie terytorium powierniczе Tanganika uzyskało niepodległość. Faktyczne jednak ukonstytuowanie się Tanzani nastąpiło w roku 1964, po zjednoczeniu Tanganiki i Zanzibaru wraz z wyspą Pembą.

Przedstawiając Tanzanię współczesną autor sięgnął również do jej przeszłości; retrospekcja historyczna sięga VIII wieku naszej ery. W przejrzystej, zrozumiałej dla każdego formie Rajmund Ohly zawarł niemal wszystko, co o dzisiejszej Tanzanii, jej sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej da się powiedzieć. Z przedstawionych przez autora faktów czytelnik sam będzie mógł wydedukować jaka będzie Tanzania przyszłości. W tej chwili państwo to należy do 25 najbiedniejszych krajów Trzeciego Świata. Takie pojęcia jak naród, państwo, klasa, moralność czy kultura nie mają w Tanzanii określonej definicji socjologicznej. Nie proponuje jej również autor książki. W to miejsce przytacza opinie, komentarze i stanowiska czołowych tanzańskich polityków, działaczy społecznych oraz prostych ludzi i porównuje je z faktami społecznymi.

W „Tanzanii dzisiaj i jutro" oprócz rozdziałów omawiających sprawy narodu, państwa, partii, klas, pracy, moralności, kultury znajdziemy również rozdział poświęcony tworzonemu przez Tanzanię socjalizmowi wschodnioafrykańskiemu — „ujamaa". W sumie jest książką, z którą powinni zapoznać się wszyscy, których interesują problemy współczesności i przyszłości młodych państw afrykańskich.

Rajmund Ohly — „Tanzania dzisiaj i jutro", Iskry, Warszawa 1978, str. 226, cena zł 34, —

DIABLE SPRAWY

Barbey d'Aurevilly... to nazwisko w drugiej połowie XIX wieku miało swój smak i swoją legendę. Budziło uczucia sprzeczne od irytacji i gniewu do podziwu i fascynacji. Ten wróg demokracji prowokował opinię republikańską do inwektyw i sarkazmów. Ten przeciwnik literatury realistycznej i naturalistycznej wywoływał ostre repliki Flauberta i Zoli. Ten piewca starego porządku i jego dwóch podpór — tronu i ołtarza — zniechęcał do siebie monarchistów i ludzi pobożnych. Zniechęcał? Kościół umieścił jego powieści na indeksie, władze Trzeciej Republiki wszczęły dochodzenie przeciw autorowi „Diablich spraw" za obrazę moralności, a dyrektor ultrakatolickiego dziennika odmówił dalszej z nim współpracy. Atakowany z prawa i z lewa, Barbey d'Aurevilly dopiero u schyłku życia zaznał spokoju, uznania, sławy. Skupił wokół siebie grupkę pisarzy zwanych dekadentami, programowo przeciwnych materializmowi i naturalizmowi. Dostrzegli oni jego odrębne miejsce w literaturze, godne bliskiego sąsiedztwa ze Stendhalem, Balzakiem, Boudelairem.

Tak przedstawia sylwetkę francuskiego pisarza we wstępie do książki „Diable sprawy" Jerzy Parvi.

„Diable sprawy" to sześć dłuższych opowiadań o wspólnym właściwie temacie, o miłości, zmysłach, pożądaniu. Skąd więc tytuł „Diable sprawy"? Głównymi bohaterkami opowieści są kobiety. „Czy nie mają dość diabelstwa w sobie — pisze Jules Barbey d'Aurevilly — by zasłużyć na tę słodką nazwę? Diable! Wszystkie są diable w jakimś stopniu. Ani jednej, do której powiedziałbyś serio: „Mój aniele!", i nie byłoby w tym przesady".

Niechże więc współczesny czytelnik osądzi, czy pisarz miał rację, widząc kobiety w taki właśnie sposób.

Jules Barbey d'Aurevilly — „Diable sprawy", przełożyła J. Guze, PIW, Warszawa 1978, str. 250, cena zł 50, —

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 - 1 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2025. I-10.